

NAUKA • BADANIA • KULTURA

Rok XXXIII (L) / nr 1–2 (416)

luty 2024 / cena 5 zł

ISSN 1230-9710

Ukazuje się od 1952 roku

GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

**Tu jest
moje miejsce**

s. 6

**74 metry
kosmosu**

s. 10

**Niedoceniany
Kopernik**

s. 23

Naturalne antybiotyki

s. 51



UNIwersYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU



Za nami Rok Kopernikański

Rok 2023 był dla naszego Uniwersytetu szczególny. 550-lecie urodzin patrona Uniwersytetu Mikołaja Kopernika uczczono licznymi imprezami o bardzo różnorodnym charakterze: od wydarzeń naukowych, kulturalnych po takie, w których uczestniczyły rzesze mieszkańców Torunia, regionu, a także goście z całego świata. Przypomnijmy sobie niektóre z nich uwiecznione przez naszego fotoreportera Andrzeja Romańskiego. (win)

Głos na stronie

Smutno mi, gdy piszę te słowa. I robię sobie anty-reklamę, bo kto ma ochotę czytać smutne teksty. Smutno mi dlatego, że trwa wokół nas brzydki spektakl. Kiedy w poprzednim felietonie napisałem: „Jeszcze tydzień, jeszcze dwa, jeszcze jeden transfer środków dla „naszych”, trochę bezpiecznych na lata stołków (oczywiście na koszt podatników). A potem pewnie będzie (obym się mylił): „im w Polsce gorzej, tym dla nas lepiej”, miałem cichą nadzieję, że okaże się fałszywym prorokiem. Niestety...

O ile przekazywanie gabinetów odbyło się w miarę cywilizowany sposób, to już „trupy” wypadające z niektórych szaf w owych gabinetach zwiastowały, że łatwo nie będzie. Nie będę się nawet odnosił do konkretnych spraw, bo sytuacja w polskiej polityce zmienia się z godziny na godzinę i prędzej trafiłbym szóstkę w tolotka, niż wiernie oddał obraz Polski w dniu, w którym będziecie Państwo ten tekst czytać.

Pozwolę sobie zatem raczej na refleksje ogólniejszej natury. Pierwsza: twórcom Konstytucji najzwyczajniej zabrakło wyobraźni. Ba, może nawet okazali się naiwni, sądząc, że polska demokracja będzie tylko z roku na rok bardziej kwitnąca – wszak Polacy po latach komunistycznego buta będą wręcz upajać się wolnością i demokracją; po latach wmaiwania nam, że naszym bratem jest Moskal, teraz będą chcieli wrócić na dobre do Europy. A tu taka przykra niespodzianka...

Refleksja druga: po dziesięcioleciach obowiązywania „surowej ręki sprawiedliwości ludowej”, funkcjonowania sądów, prokuratorów na telefon, pałowania myślących inaczej nie będzie powrotu do wyroków „na życzenie”, żenujących spektakli w sądach. I kolejna przykra niespodzianka. Żyjemy w kraju, w którym nie wiadomo który wyrok się liczy, bo zawsze do akcji wkroczyć może jakiś neo-sąd czy nibytrybunał.



Refleksja trzecia: przechodzimy przyspieszoną terapię zohydzenia prawa. Niemal każdego dnia trwa zabawa prawem. Kto kogo i jakim paragrafem łupnie. Ba, nawet ten sam paragraf dzielony jest niczym zapałka na czworo i interpretowany na wiele sposobów.

I co ma o tym pomyśleć zwykły śmiertelnik, czyli nie-prawnik. Nie tylko ma mętlik w głowie, ale może dojść do wniosku, że te wszystkie kodeksy, konstytucje są warte funta kłaków. A wyrok, którego może doświadczyć, zależy nie od sprawy, ale humoru czy sympatii politycznych sędziego. No to refleksja czwarta (i już ostatnia, choć ciśnie się ich więcej): pozostaje logika i przyzwoitość, a może w skrajnych przypadkach chłopski rozum. Ile to już mówiono o prezydenckim akcie łaski. Przecież wektor takiego aktu musi być wsteczny. W przeciwnym razie stałby się żelaznym listem, a w skrajnym przypadku licencją na bandyterkę. A blokowanie instytucji przez ludzi dawnego rozdania (bez względu na kogo pada)? Na rzeczony chłopski rozum da się porównać z tym, jakbyśmy sprzedali komuś dom, ale nowemu właścicielowi zafundowali niespodziankę – zachowali sobie klucze do niektórych pomieszczeń i zamierzali z nich dalej korzystać. Przyzwoici ludzie tak nie robią. O losie ojczyzny – jako wspólnego dobra – już nie wspominam. Zbyt to patetyczne!

Winicjusz Schulz

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**

Ten numer „Głosu Uczelni” został zamknięty

18 stycznia 2024 roku.

Redaktor prowadzący: Winicjusz Schulz

e-mail: glos-umk@umk.pl

www.glos.umk.pl



Tu jest moje miejsce

s. 6



Niedoceniany Kopernik

s. 23



74 metry kosmosu

s. 10



Polskie ślady we współczesnym Charkowie

s. 38

NAUKA • BADANIA • KULTURA
**GŁOS
UCZELNI**

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marcin Lutomierski, Maurycy Męczekalski, Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa

Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Marek Jurgowiak, Nikodem Pręgowski, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski.

Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

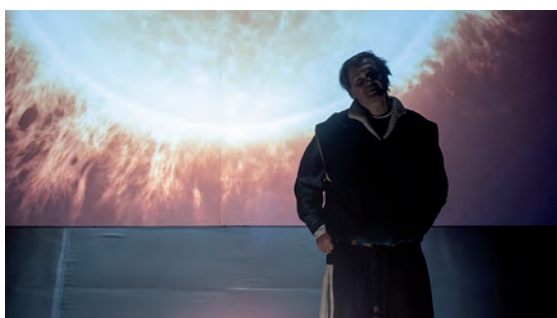
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



Naturalne antybiotyki

s. 51



Układ splątany. Kopernik i inni

s. 58



Ogrodnik rocka

s. 77

Głos na stronie	3
Tu jest moje miejsce	6
74 metry kosmosu	10
Wojny, DNA i bioinformatyka	19
Niedoceniany Kopernik	23
Kocham Frankonię	34
Polskie ślady we współczesnym Charkowie	38
Studiowanie w czasie wojny	45
Biochemik, intelektualista z Noblem – Tadeusz Reichstein	47
Naturalne antybiotyki	51
Od Kolumba do... Batorego	54
Układ splątany. Kopernik i inni	58
Nowy Jork. W poszukiwaniu kuchni żydowskiej	62
Baśnie w życiu dzieci	67
Sztuka w naturze	75
Ogrodnik rocka	77
Seminarium im. Profesora Jerzego Wojciecha Borejszy	85
Wręczenie pierwszej Nagrody im. Profesora Stanisława Salmonowicza	87

A portrait of Prof. Maria Lewicka, an elderly woman with short grey hair, wearing a blue and white checkered shirt under a light grey cardigan. She is resting her chin on her hand and looking thoughtfully at the camera. The background is a blurred outdoor scene with trees and a white railing.

Tu jest moje miejsce

Z prof. Marią Lewicką – laureatką Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej – rozmawia Ewa Walusiak-Bednarek

Fot. Andrzej Romański

– Najserdeczniej gratuluję tej wspaniałej Nagrody. To piąty Polski Nobel dla naukowca z naszego Uniwersytetu. Proszę powiedzieć, dlaczego Pani badania zostały docenione przez Fundację? Trudno chyba zostać zauważonym, uprawiając humanistykę.

– Ja tak nie sędzę. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej docenia badania, które są w jakimś sensie nowatorskie i nowe, i które zarazem są rozpoznawane w skali międzynarodowej. Jest oczywiście pewien problem z polską humanistyką. Niektórzy humaniści z uporem twierdzą, że ich nauka jest ściśle lokalna i że nie ma sensu próbować przebijać się przez międzynarodowe bariery publikacyjne. Jest to odwieczna dyskusja. Są humaniści,

którzy uważają, że nie należy pisać po angielsku, w międzynarodowych czasopismach – o lokalnych problemach. Że ten lokalny kontekst, lokalna problematyka nie zostanie rozpoznana, doceniona, zrozumiana. To jest nieprawda. Moje badania mają bardzo lokalny charakter. Dotyczą pamięci miast w Polsce i poza jej wschodnią granicą, które zmieniły swoją przynależność państwową po drugiej wojnie światowej, a więc na przykład Lwowa i Wrocławia. Jeden z moich artykułów, pierwszy opublikowany na ten temat w międzynarodowym czasopiśmie, ma obecnie ponad 1000 cytowań. Nawet dziś komuś, kto nie ma subskrypcji tego czasopisma, go wysłałam. Ciągłe ktoś o niego prosi. Z różnych krajów świata. Także na przykład Irańczycy czy Indonezyjczycy. Ten temat jest naj-

wyraźniej ciekawy dla całego świata. Poza tym Fundacja na rzecz Nauki Polskiej przyznaje cztery nagrody rocznie i wśród nich zawsze jest jedna z zakresu humanistyki. Zawsze docenia się humanistów. W istocie moje „lokalne” badania dotyczą problematyki międzynarodowej. Problematyka relacji człowieka z miejscem to problematyka zdecydowanie uniwersalna. W pewnym sensie zapoczątkowałam w Polsce badania dotyczące związków człowieka z miejscem, przywiązania do miejsca, tożsamości lokalnej, powiązania jej z pamięcią. To jest temat uniwersalny, ale jego konkretne realizacje są oczywiście lokalne, bo miejsce ma zawsze wymiar lokalny.

– Dlaczego 20 lat temu zajęła się Pani tą problematyką?

– To już więcej niż 20 lat. W latach 80. zajmowałam się problematyką poznawczą w powiązaniu z poznawczą psychologią społeczną; problematyką podejmowania decyzji, racjonalnością człowieka. Sformułowałam wtedy pewien model teoretyczny, który nadal jest moim zdaniem aktualny. Niemniej, moje publikacje były dość lokalne, choć anglojęzyczne, i sprawiły, że w tamtym okresie nie został on międzynarodowo rozpoznany. Do podjęcia innej problematyki zachęcił mnie mój kuzyn, który jest architektem. Pracował w Wielkiej Brytanii i widział potrzebę udziału psychologów, badań środowiskowych w procesie projektowania. A ja lubię zmieniać obszary zainteresowań. Pomyslałam – czemu nie? Psychologia środowiskowa, dziedzina psychologii, która mówi o tym, jak środowisko fizyczne wpływa na nasze funkcjonowanie, była już wtedy trochę znana w świecie, ale w Polsce niemal nieobecna. Teraz obserwujemy gwałtowny wzrost zainteresowania środowiskiem, co oczywiście jest konsekwencją zmian klimatycznych. Ale mnie bardziej interesowało środowisko miejskie, które zresztą staje się coraz bardziej dla nas środowiskiem naturalnym. Świadczy o tym gwałtowny wzrost urbanizacji w świecie. To w miastach najczęściej organizujemy swoje życie, mimo że lubimy też nieraz wyjechać na wieś. Tak więc zaczęłam się zajmować problematyką środowiskową i zaczęłam szukać w niej jakiejś teorii. Czegoś, co byłoby teoretycznie ciekawe. Jestem osobą o dość dużym zacięciu teoretycznym. Wtedy właśnie wymyśliłam „miejsce” jako konstrukt teoretyczny. Zaczęłam od klasycznych badań dotyczących ro-

zumienia miejsca prowadzonych przez geografów humanistycznych w metodologii fenomenologicznej. Te badania to był wynik takiej refleksji fotełowej, w zaciszu domowym. Ale było tam także mnóstwo pomysłów nadających się do badań empirycznych. A to jest gratka dla psychologa, który lubi wszystko mierzyć i ważyć. Tak się zaczęły moje badania dotyczące znaczenia miejsca i przywiązania człowieka do miejsca. Psychologia środowiskowa to zdecydowanie dziedzina aplikacyjna, ale można w niej znaleźć bardzo ciekawe wątki teoretyczne głębszej natury. Jako czysta dziedzina aplikacyjna nie do końca mi wystarczała. Stąd właśnie „miejsce”! Potem napisałam książkę *Psychologia miejsca*, która jest podsumowaniem moich, moich studentów i współpracowników dziesięcioletnich badań. Po polsku. Bardzo mnie cieszy, że jest ona czytana, wykorzystywana. Trzeba pisać i po polsku, i po angielsku, jeśli chce się istnieć w obu tych kontekstach kulturowo-społecznych. Książka jest czytana przez przedstawicieli różnych nauk, socjologów, geografów, architektów. I to też jest niezwykłe, że udało się przekroczyć granice różnych dyscyplin naukowych, bo prace psychologów często nie są zauważane przez przedstawicieli innych nauk społecznych czy humanistycznych.

– W Pani teorii przywiązanie do miejsca stanowi fundament naszego trwania. Jest więc dla nas ważne. Czy ludzie bez więzi z miejscem, na przykład stale przeprowadzający się, są czegoś pozbawieni? Są jakieś koszty braku umocowania w miejscu?

– Myślę że tak! Bardzo dynamicznie rozwija się w tej chwili dyskusja, która jest też częścią moich badań, o wszechobecnej mobilności i jej konsekwencjach. Jak to wpływa na więź z miejscem? Czy jesteśmy w stanie przywiązać się do miejsca, zakorzenić się, gdy jesteśmy mobilni, gdy zmieniamy miejsca zamieszkania? Badania pokazują, że miejsce jest ważne. Ale jednocześnie badania pokazują, że nie dla każdego. W naszych badaniach wyodrębniła się grupa osób nieumiejscowionych. Dla nich ważniejsze są relacje społeczne, praca, rodzina – niż konkretna lokalizacja. To, gdzie życie się toczy, nie jest takie ważne, o ile oczywiście to miejsce spełnia określone standardy. Jest to w pewnym stopniu związane z wykształceniem. Osoby z wyższym wykształceniem są bardziej mobilne, bo chcą być mobilne. Żyją w „przestrze-

niach przepływów” raczej niż w „przestrzeniach miejsc”, używając języka hiszpańskiego socjologa Manuela Castellsa. Ale to jest tylko pewna grupa. Zdecydowana większość osób jest w jakiś sposób przywiązana. Czasami bardziej warunkowo, instrumentalnie, czasami bardziej emocjonalnie. Są takie amerykańskie badania z lat 80., które pokazują, że częste przeprowadzki mają bardzo zły wpływ na rozwój dziecka. Przede wszystkim w zakresie budowania kapitału kulturowego i społecznego. Przeprowadzki to zawsze rozrywanie więzi; przyjacielskich, rodzinnych, sąsiedzkich. Dziecko potrzebuje bezpiecznego miejsca, w którym może przez jakiś czas być, z którym wiąże wspomnienia. To ważne dla budowania naszej tożsamości. Natomiast nie jest tak, że mobilność wyklucza przywiązanie, że wyklucza zakorzenienie.

– Jak to należy rozumieć?

– Człowiek może się zakorzenić nawet wtedy, gdy jest mobilny. Może oswoić nowe miejsce, przyswoić je sobie. To też nas bardzo interesuje. W jaki sposób to się dokonuje? Dzięki czemu to się dokonuje? Zmieniamy miejsce zamieszkania, migrujemy. Co powoduje, że zaczynamy czuć, że to miejsce jest nasze?

– Proszę o tym szerzej opowiedzieć.

– Z naszych badań wynika na przykład, że gdy człowiek zaczyna się interesować lokalną historią miejsca, zaczyna też czuć się jej częścią. Historia miejsca staje się częścią jego biografii. Jego biografia nakłada się na historię tego miejsca. Na przykład gdy człowiek przeprowadza się do nowego domu, to często interesuje się tym, co kiedyś było w tym miejscu, kto tu mieszkał przed nim. To pozwala mu je oswoić, poczuć, że jest się kontynuatorem historii tego miejsca.

– Nie chodzi więc o kwestie jakościowe typu szerokie ulice, park, piękna architektura, teatr?

– Chodzi. Są miejsca, do których łatwiej się przywiązujemy, i miejsca, do których przywiązujemy się gorzej. Refleksję na temat przywiązania do miejsca rozpoczęłam pytaniem, czy ludzie są bardziej przywiązani do historycznych dzielnic niż do blokowisk zbudowanych na surowym korzeniu.

Generalnie tak właśnie jest. Emocjonalny związek z miejscem, które ma za sobą historię, jest silniejszy. Oczywiście są rozmaite motywacje, dla których ludzie chcą w danym miejscu mieszkać, ale ciągłość tego miejsca ma duże znaczenie. Poczucie, że to miejsce nie urodziło się teraz. Nie zbudowaliśmy go na surowym korzeniu. Dlatego na przykład torunianie są bardzo związani z Toruniem, bo Toruń ma historię na dotyk. Ale też na przykład lwowianie... Pierwsze nasze badania prowadziliśmy we Lwowie. Byłam zaskoczona, jak bardzo Polacy, którzy tam mieszkali, a teraz też Ukraińcy – są przywiązani do tego miasta. Ale ważna jest też struktura fizyczna Lwowa – siatka ulic, historyczna architektura, czytelność miasta i wewnętrzna harmonia. To wszystko buduje mity Lwowa. I przekłada się na emocjonalne związki. A więc na pewno ma znaczenie, w jakim miejscu się mieszka. Ale duże znaczenie ma również to, co z tym miejscem robimy.

Poza tym przywiązanie może przyjmować różne formy. Mnie osobiście interesują dwie. Nie ja je wyodrębniłam, tylko pewien Amerykanin, prowadząc wywiady z mieszkańcami swojego miasta. W moich badaniach ilościowych ujawniły się one bardzo wyraźnie – w Polsce i w Ukrainie, ale też w innych miejscach. Pierwszą formą jest przywiązanie tradycyjne. Człowiek się gdzieś urodził, jego rodzina też tu się urodziła. Nigdzie się stąd nie ruszali, nie mają żadnych porównań z innymi miejscami. To jest miejsce „zastane”, odziedziczone po przodkach, ale też silnie związane z własną biografią. Drugi rodzaj to przywiązanie aktywne. Chcę śledzić dzieje miejsca, interesują mnie różne rzeczy z nim związane, oprowadzam gości po tym miejscu, angażuję się w jego zmiany. To jest miejsce „odkryte”. Ten drugi typ przywiązania jest niezależny od czasu zamieszkania. Często zresztą ludzie, którzy przyjeżdżają do nowego miejsca, angażują się bardziej niż ci, którzy tu mieszkają od wieków. Zresztą z reguły jest tak, że jak gdzieś człowiek długo mieszka, to wiele rzeczy przestaje mu przeszkadzać. Widzę to po sobie. Muszę sobie ciągle przypominać, że do pewnych rzeczy nie wolno mi w Toruniu przywyknąć, jeżeli chcę żyć w fajnym mieście. Takie przyzwyczajenie rodzi bierność. Gdy człowiek przyjeżdża w nowe miejsce, to cały czas porównuje je z innymi miejscami i to go może skłonić do działania. A to z kolei pomaga się zakorzenić. Aktywny tryb przywiązania świetnie wiąże się z mobilnością.

– Co nam daje przywiązanie aktywne?

– Podobnie jak i pierwszy rodzaj przywiązania – poczucie ciągłości i tożsamości. Miejsce staje się częścią naszej tożsamości. Osoby bardziej przywiązane są też bardziej zainteresowane historią swojego miejsca, ale też – co wyszło w moich badaniach – historią swojej rodziny. Mają więc silniejsze poczucie koherencji osobistej. Jednocześnie bardziej ufają innym. Osoby aktywnie przywiązane mają bardziej rozbudowany kapitał społeczny niż osoby przywiązane tradycyjnie. Nie tylko kapitał lokalny; rodzina, sąsiedzi – kapitał o wiele szerszy. To sprzyja otwartości na inność i aktywności na rzecz miejsca.

– To chyba mnie w wynikach Pani badań najbardziej zaskoczyło. Jak to możliwe, że im bardziej poznajemy historię naszego miejsca, tym jesteśmy bardziej otwarci na inność?

– Ważne jest to, że sami odkrywamy tę historię. Nie jesteśmy wówczas jednostronni, stajemy się otwarci na fakty. Pasjonaci historii są przeważnie nieuprzedzeni. Odkrywają, że tu mieszkał Żyd, a tu – Niemiec. Zaś tam – Polak, który mówił po niemiecku. Są dumni ze swoich odkryć. Nie będą chcieli zamalowywać sztyldów na sklepach, żeby nie było widać, kto je prowadził. Wręcz przeciwnie – odkrywają to i chcą, żeby inni o tym wiedzieli. Ale to działa tylko wtedy, gdy sami jesteśmy odkrywcami. Nie chodzi więc tu o historię podaną z góry, z jasnym politycznym przekazem. Nie chodzi o historię w wydaniu byłego ministra Czarnka, w stylu; „My tu zawsze byliśmy, ukształtowała nas wyłącznie religia katolicka, wyznajemy te same wartości od Mieszka I”. Historia jest o wiele bardziej złożona. Historia Polski i historia naszych miejsc. Historia naszych małych czy nawet miniojczyzn. Kiedy kupiłam mieszkanie na Moniuszki, z przeznaczeniem zresztą dla nowych pracowników psychologii, zaczęłam interesować się historią tego domu. Pomagała mi w tym Kasia Kluczwajd i inni lokalni historycy. Dzięki temu oswoiłam to

miejsce, stało się moje. Wiem, kiedy został zbudowany ten dom, kto go zbudował, wiem oczywiście, że dom zbudował Niemiec, także prawdopodobnie Niemcy potem tu mieszkali. Gdy sami coś odkryjemy, to wartością jest właśnie to odkrycie. To, jakiej grupy etnicznej czy narodowości dotyczy, ma charakter absolutnie drugorzędny, jest tylko informacją. Odkrywanie historii miejsca powoduje wzrost przywiązania do niego. A gdy ta historia jest złożona, wielokulturowa, to z kolei sprzyja większej otwartości na odmienność, otwartości na inność, również obecnie. Moim zdaniem lokalna historia powinna wejść do programów naszych szkół. Ale nie podawana z góry, opracowana i zinterpretowana, lecz odkrywana samodzielnie przez uczniów; historia praktyczna. Gry miejskie mogłyby być jednym z narzędzi dydaktycznych. Odkrywanie lokalnej historii uświadamia jej niezwykłą złożoność. Widzimy dobitnie, że jesteśmy dziedzicami ludzi, którzy pochodzili z innych grup etnicznych, mówili innym językiem. Jesteśmy dumni z tego dziedzictwa i traktujemy je jak własne.

– Na koniec jeszcze tradycyjne pytanie; co ta Nagroda znaczy dla Pani?

– Cała ta nagroda zostanie przekazana na fundację toruńskiej psychologii, którą w Instytucie zakładamy. To bardzo dobry start! Fundusze pozwolą nam wychodzić na zewnątrz z naszymi działaniami. Staramy się bardzo łączyć teorię z praktyką. Przykładem jest choćby nasz Instytut – stworzyliśmy w nim miejsce zgodnie z wszystkimi zasadami, jakie dyktuje nam psychologia środowiskowa. To miejsce, które stworzyliśmy, siedziba Instytutu – jest dla mnie i dla moich współpracowników bardzo ważne. Ono jest częścią naszej tożsamości. Pieniądze z Fundacji na rzecz Nauki Polskiej pozwolą nam na prowadzenie różnych działań na rzecz tego i szerzej rozumianego miejsca – naszego miasta.

– Bardzo dziękuję za rozmowę.



74 metry kosmosu

Z dr Anną Zarębą – adiunktem w Katedrze Konserwacji-
Restauracji Architektury i Rzeźby Wydziału Sztuk Pięknych
UMK – rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Andrzej Romański

– Dla wielu mieszkańców Torunia, a zwłaszcza osób związanych z Uniwersytetem paneau na auli UMK to tak stały element krajobrazu, że – zaryzykuję stwierdzenie – przestali już na nie zwracać uwagę. Ale z pewnością nie uszło ich uwagi to, że nagle w zeszłym roku mozaika na jakiś czas zniknęła. Co się stało i to w Roku Kopernikańskim?

– Paneu Staefana Knappa z pewnością jest jednym z najlepiej rozpoznawalnych elementów wystroju architektonicznego miasteczka uniwersyteckiego i znaczna część torunian czuje duży sentyment do dzieła. W trakcie demontażu wiele osób

podchodziło i z niepokojem dopytywało się o przyczyny naszych działań, upewniając się, że okładzina na pewno wróci na swoje miejsce. Podczas prac także stale mieliśmy duży odzew ze strony mieszkańców, często dzielili się swoimi wspomnieniami z dzieciństwa czy historiami o zabieraniu dzieci i wnucząt na spacer do „bąbelków”. Wiele osób spoza Torunia zna paneau z teledysku do piosenki Agnieszki Osieckiej *Okularnicy* i także to budziło zainteresowanie naszymi pracami.

– **Powróćmy do samego dzieła. Może najpierw warto przedstawić jego autora. Kim był Stefan Knapp?**

– Stefan Knap urodził się w 1921 roku w Biłgoraju i podobnież od dziecka przejawiał talenty artystyczne, niestety nie podjął edukacji w tym kierunku i w późniejszych latach uczęszczał do szkoły technicznej we Lwowie. W 1940 roku został zaarrestowany podczas łapanki i skazany na pięć lat pracy reedukacyjnej. Z obozu w Archangielsku na mocy traktatu Sikorski-Majski został zwolniony w 1941 roku, wstąpił do armii Andersa, a po przedostaniu się na Zachód do Wielkiej Brytanii, ukończył w Glasgow kurs pilotażu. Przydzielono go do Dywizjonu 318. Po wojnie zdecydował się pozostać na wyspach. Podjął edukację w londyńskiej Central School of Arts and Crafts, kontynuował do 1950 roku w The Slade School of Fine Arts. Jeszcze podczas wojny zmodyfikował nazwisko na Knapp.

Początkowo Stefan Knapp uprawiał „tradycyjne” malarstwo ekspresjonistyczne, zainteresowanie emalią wiążemy z pierwszą połową lat 50., i podobno łączy się z dość romantyczną historią zabytkowej emaliowanej broszy, którą Stefan Knapp zobowiązał się naprawić, by oszczędzić zmartwień pewnej młodej damie. Jest to historia wyczytana na stronie miasta Biłgoraju i nie wiem czy jest prawdziwa. Ale takie anegdoty zawsze zwiększają przyjemność ob-

cowania z dziełami sztuki i poddawania ich pracom konserwatorskim. Na swój sposób personalizują zabytki.

– Jak doszło do tego, że jego dzieło z Londynu trafiło do Torunia? I to do tego drogą morską?

– Od lat 60. Stefan Knapp regularnie bywał w Polsce, ale panneau z Auli UMK jest pierwszym jego dziełem wykonanym na zamówienie polskiej instytucji. Stefan Knapp wykonał instalację bezpłatnie, samodzielnie pokrywając wszystkie koszty. Rzeczoznawcy mieli znaczny problem z wyceną dzieła, gdyż w związku z unikatową, nieznaną u nas techniką wielkoformatowej emalii na blasze, nie było odpowiednich standardów kosztorysowych. Dzieło zostało wykonane w Anglii. Z miejscowości Wormsley w 1972 roku polsko-angielskie towarzystwo transportowe dostarczyło je do portu. Całość spakowano w siedem skrzyń o łącznej wadze około 1,5 tony. Statek „Wodnica” przewiózł je z Londynu do Szczecina, skąd przetransportowano je do Torunia. Za montaż trwający między listopadem 1972 i styczniem 1973 odpowiedzialne było Bydgoskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. Artysta samodzielnie przyjechał doglądać przebiegu prac.





– Także technika, w jakiej panneau powstało, jest bardzo osobliwa. Metal, emalia, szkło, wysokie temperatury. Proszę przybliżyć nam techniki i technologie zastosowane przez Knappa. Przed przystąpieniem do prac musieliście je bardzo dokładnie poznać. Zdobyć tej wiedzy było sporym wyzwaniem?

– W Katedrze Konserwacji-Restauracji Architektury i Rzeźby mamy pracownię konserwacji metalu



o wieloletniej tradycji i z olbrzymim doświadczeniu, więc technika wykonania emalii i potencjalne problemy, jakich możemy się spodziewać z konserwatorskiego punktu widzenia były nam znane. Niemniej dzieło Stefana Knappa jest absolutnie unikatowe i technologia jego wykonania była dla nas w dużej mierze zagadką. Przede wszystkim Knapp jako jeden z pierwszych artystów zastosował wielkoformatowe okładziny z blachy emaliowanej, korzystając z współczesnych technik szklanych z wykorzystaniem autorskich receptur i rozwiązań formalnych, w tym charakterystycznej dla przełomu lat 60. i 70. palety kolorystycznej. Dodatkowo w Polsce mamy tylko kilka przykładów dzieł artysty, które nie zostały dotąd poddane szczegółowym analizom instrumentalnym, a w obcojęzycznej literaturze fachowej nie znaleźliśmy informacji odnoszących się ściśle do technologii wykonania paneli. Kilka twierdzeń, na które trafiliśmy w opracowaniach, było wręcz mylących. Często łatwiej nam „przewidywać” sposób wykonania obiektu przy dziełach dawnych, wynika to tak z naszego „opatrzenia się” i doświadczenia, jak i większej liczby wyników badań dostępnych w literaturze. Sztuka współczesna, w związku z jej eksperymentalnym charakterem, to ciągłe trafiać na niespodzianki i nowości. Czasami mamy przywilej porozmawiania z autorem lub dostęp do Jego zapisów, niestety nie w tym przypadku. Paradoksalnie „odkrywanie” techniki stosowanej przez Knappa w znacznym stopniu ułatwiły nam istniejące uszkodzenia mechaniczne, które umożliwiły podejrzenie, w jaki sposób artysta nakładał kolejne warstwy szklane, oraz pozwoliły nam pobrać próbki do badań instrumentalnych bez ingerencji w dobrze zachowany oryginał. Dzięki temu obok badań nieniszczących, wykonaliśmy także szereg analiz specjalistycznych, w tym badania metodą skaningowej mikroskopii elektronowej z analizatorem EDS, która dość precyzyjnie pozwala przeprowadzić analizę ilościową i jakościową składu chemicznego próbek. Dzięki temu zidentyfikowaliśmy większość tlenków barwiących odpowiedzialnych za unikatową paletę barwną zastosowaną na panneau. Olbrzymią pomocą było doświadczenie artystów ceramików, stosujących współczesne szkliwo, którzy podpowiadali, jak uzyskuje się poszczególne efekty wizualne. Uniwersytet dysponuje specjalistycznym sprzętem i świetnie przygotowanymi, doświadczonymi specjalistami. Prawdziwym wyzwaniem był jedynie bardzo krótki czas realizacji zadania i budżet, jakim dysponowaliśmy. Dużo pytań i spostrzeżeń rodzi się dopiero,

gdy usuniemy zabrudzenia, produkty korozji oraz wtórne uzupełnienia i możemy naprawdę przyjrzeć się oryginałowi. Zarówno rzetelna konserwacja, jak i badania wymagają czasu i przestrzeni na refleksję. Z pewnością naszą „znajomość” paneau warto byłoby pogłębić, niestety musieliśmy je zwrócić w określonym umową terminie.

- Na ile to techniki wymyślone przez samego autora, na ile wzorowane na innych artystach?

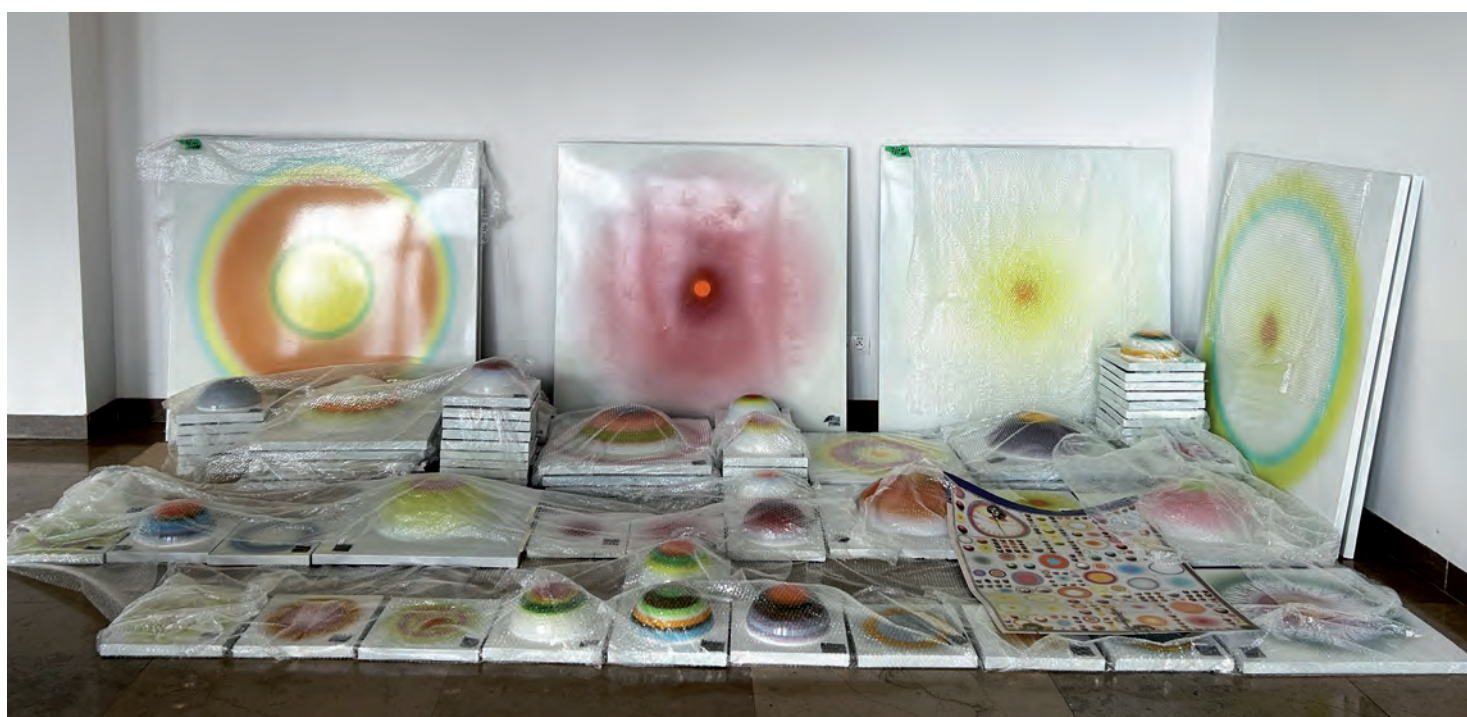
- Sama technika emalii znana jest od bardzo dawna, według niektórych źródeł od XIII wieku p.n.e., miała też być stosowana przez Celtów. Jej rozwój i szersze zastosowanie przypada na okres wczesnego średniowiecza. Z Bizancjum umiejętność stosowania emalii przeniknęła na Ruś Kijowską i tereny obecnych Węgier. Na Zachodzie największymi centrami jej produkcji były ośrodki nad Mozą, Renem oraz Limoges. I właśnie brosza z Limoges miała być powodem zainteresowania Stefana Knappa techniką emalii. Czy naprawdę tak było, pozostaje pytaniem. W owych czasach emalię wykorzystywano już przemysłowo do produkcji naczyń, więc użycie jej do wykonania obiektów w większej skali było technicznie osiągalne. Zastosowanie emalii jako nośnika artystycznego w kompozycjach wielkoformatowych, z pewnością było rozwiązaniem innowacyjnym. Pierwsze emaliowane prace Stefan Knapp zaprezentował na wystawie w 1954 roku,

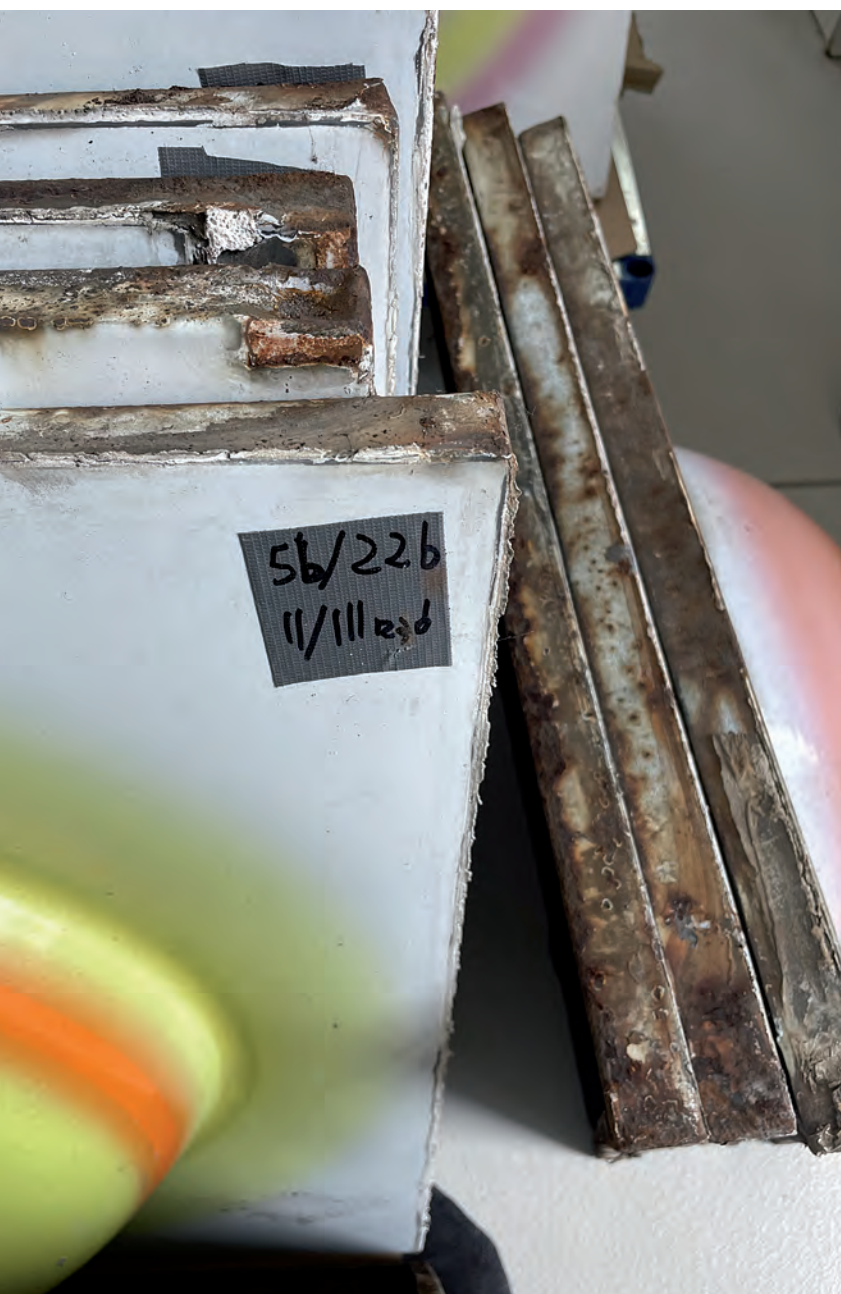
zdobywając przychylne recenzje. Talent artysty oraz potencjał emalii jako zamiennika murali i mozaik w ekspozycji zewnętrznej dostrzeżono niedługo później. W 1959 artysta wykonał słynną kompozycję na lotnisku London-Heathrow. Abstrakcyjna, niepokojąca w swej ekspresji i subtelnej, choć kontrastowej, kolorystyce kompozycja zyskała duże uznanie. Następnie artysta nawiązał współpracę z siecią handlową Alexanders, wykonując dla niej kompozycje na sklepach w Paramus, Valey Stream i na Manhattanie, gdzie po raz pierwszy zastosował znane nam formy półkoliste i estetykę wchodzącą w dialog z współczesnymi zjawiskami w kulturze popularnej.

W tym samym czasie prace w technice emalii wykonywał także artysta angielskiego pochodzenia, tworzący głównie w Australii, Bernard Hesling, nigdy nie odniósł jednak sukcesu porównywalnego z Knappem.

- Spróbujmy prześledzić drogę twórczą toruńskiej mozaiki w pracowni Knappa. Zapewne najpierw były szkice poszczególnych elementów? A może obrazy, bo przecież kolor odgrywa w niej olbrzymią rolę?

- Przy tworzeniu paneau w Toruniu artyście na pewno pomogło doświadczenie z dekoracją sklepu Alexander's na Manhattanie. Obie okładziny formalnie są niezwykle podobne. Jednym z wy-





zwań podczas prac było pilnowanie, by nie zgubić i nie pomylić numeracji „knappek”, jak pieszczołtliwie nazywali panele studenci i pracownicy naszej Katedry, gdyż zdawaliśmy sobie sprawę, że bardzo dużo czasu będziemy musieli poświęcić odszukiwaniu ich właściwego miejsca, mimo bardzo dobrej dokumentacji fotograficznej. Weryfikacja właściwej numeracji paneli przed odesłaniem zajęła nam niemal dwa dni, angażując kilka osób, drugie tyle zajęło rozkładanie ich w odpowiedniej kolejności dla ekipy odpowiedzialnej za montaż. Najbardziej zadziwiające jest to, że choć tylko cztery sztuki są rzeczywiście bardzo do siebie podobne, a reszta ma bardzo zróżnicowane zestawienie kolorów i rysunku, poszczególne panele trudno jest zapamiętać i łatwo ze sobą pomylić. Kolorowe kręgi mienia się w oczach i poniekąd zatracają indywidualny charakter, gdy tylko przestajemy oglądać je indywidualnie i z bliska. Chociaż kompozycja toruńskiego panneau z pewnością jest celowa, nie ma w niej oczywistych rytmów czy narzucającego się porządku wynikającego z zestawienia kolorów na panelach. Podobnie jak na Manhattanie. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że przemieszczenie części paneli nie zostałoby zauważone przez nikogo niedysponującego bardzo dobrej jakości zdjęciem w dużym powiększeniu. Podobną swobodę w komponowaniu miał również sam artysta. Po doświadczeniu konserwacji panneu i ciągłej walce o wygenerowanie powierzchni do bezpiecznego przechowywania i rozkładania „knappek” trudno mi wyobrazić sobie, że najpierw powstały szkice malarskie wszystkich paneli w skali 1:1, które artysta zestawiał razem, niemal 74 m² dzieło wymagałoby dysponowania olbrzymią przestrzenią. Koncepcja całości powstała na pewno, wymaga tego choćby podział pola na panele różnej wielkości, rozplanowanie liczby paneli płaskich i z wypukłościami. Czy namalowano w mniejszej skali poszczególne „knapki” z toruńskiego panneau lub część z nich, trudno powiedzieć. Wyobrażenia podsuwa mi obraz przyjemności płynącej z możliwości przeprowadzania ponad 250 eksperymentów formalnych pozwalających wypróbować różne zestawienia kolorów i proporcji okręgów, czerpania ze swoich doświadczeń i intuicji artystycznej, czasem znużenia powtarzalnością motywu czy zniechęcenia przy nieudanych elementach. Zdjęcia archiwalne pozwalają nam podpatrzeć artystę na końcowych etapach pracy, kiedy panneau jest komponowane we fragmentach pozwalających na dostęp do wszystkich elementów, więc być może umożliwiające przekła-

danie ich i szukanie właściwych rozwiązań. Precyzja i sposób wykonania portretu Mikołaja Kopernika i zegara, oraz fakt, że portret powielono w kilku egzemplarzach, wskazuje na prace z szablonami, więc na pewno powstał szczegółowy szkic w skali 1:1.

– Zwykle patrzymy na panneau jako całość, ale przecież składa się ona z kilkuset elementów. Co przedstawiają?

– Wszystkie znane mi źródła twierdzą, że panele mają symbolizować ciała niebieskie, skojarzenie takie jest oczywiste w kontekście panneau toluńskiego i olsztyńskiego. Znając bardzo podobną, wcześniejszą kompozycję z Manhattanu, można założyć, że artysta wykorzystał doświadczenie dialogu z op-artem oraz zjawiskami zaobserwowanymi w kulturze popularnej, gdyż doskonale wpisywały się w narrację kopernikańską. Gdy ogląda się panneau, skojarzenia z ciałami niebieskimi i pierścieniami Saturna narzucają się same.

– Czy miała Pani w swej karierze zawodowej do czynienia z podobnymi dziełami? Jakie doświadczenia okazały się pomocne?

– Na szczęście pracowaliśmy zespołowo, koncepcja prac konserwatorskich również tworzona była w oparciu o doświadczenia kilkorga pracowni-

ków Katedry Konserwacji-Restauracji Architektury i Rzeźby, zajmujących się nie tylko konserwacją metalu, ale także ceramiki, szkła oraz architektury, więc mogliśmy dzielić się pomysłami i obserwacjami. Osobiście z pewnością skorzystałam z doświadczeń zdobytych podczas prac przy mozaice ceramicznej autorstwa Stanisława Borysowskiego, także wykonanej z okazji rocznicy kopernikańskiej i stanowiącej element wystroju architektonicznego naszego miasteczka akademickiego. Zdobi elewację obecnego Wydziału Psychologii. Prowadziliśmy przy niej prace w ramach ćwiczeń terenowych ze studentami naszej specjalizacji. Obiekty eksponowane na zewnątrz, zwłaszcza te wykonywane eksperymentalnymi technikami często są problematyczne. Zwłaszcza przy zastosowaniu stopów żelaza, które ulegają korozji tlenkowej. Obawiam się, że przeceniamy trwałość metali i szkła, czy w przypadku mozaiki i panneau trwałość szkliva. Mozaika była bardziej problematyczna niż panneau, tessery wykonano ze źle dobranych surowców, wklejono je na podłoże ze zbrojonego betonu, na bardzo mocne zaprawy cementowe. Całość wadliwie zamontowano do elewacji. Na szczęście, mimo większego zakresu prac skala mozaiki była mniejsza.

– Nawet najlepiej zabezpieczone dzieło, ale wystawione przez kilkadziesiąt lat na działanie słońca, deszczu, wiatru, mrozu musiało uciepnieć. W jakim





**stanie były elementy mozaiki, gdy je demontowa-
liście?**

– O potrzebie podjęcia prac konserwatorskich przy panneau Stefana Knappa zaczęliśmy myśleć już kilka lat temu, obserwując rdzawe zacieki pojawiające się na panelach. Stan całości nie wydawał się alarmujący, ale zgodnie z zasadą, że profilaktyka jest mniej kosztowna niż prace ratunkowe, poddaliśmy ten pomysł pod rozagę. Prowadzimy stały monitoring dwóch rzeźb przed rektoratem oraz wspomnianej mozaiki na budynku Wydziału Psychologii i widzimy, że coroczna troska, choćby w postaci dezynfekcji, pozwala szybko eliminować niekorzystne zjawiska i stan obiektów pozostaje niezmienny. W przypadku panneau w 2023 roku zaobserwowaliśmy obłuzowanie się jednego z paneli, udało się zorganizować oględziny z podnośnika, które prze-

konały nas, że szybka interwencja jest wskazana. Kompozycja okazała się niczym nie zabezpieczona od góry, zatem deszcz i śnieg dostawały się za panele, gdzie zalegały dłuższy czas, powodując zniszczenie metalu, w tym konstrukcji oraz elementów montażowych. Od zewnątrz obserwowaliśmy rdzawe zacieki, co oczywiście świadczyło o korozji metalu, stanu emalii ze względu na zabrudzenia i smółki nie byliśmy w stanie ocenić.

**– Ten stan Was zaskoczył czy się tego spodziewa-
liście?**

– Technika emalii jest znana ze swej odporności, miałam nadzieję, że mimo długoletniej ekspozycji na zewnątrz panneau nie uległo daleko idącym zniszczeniom. Objawy korozji metalu były widoczne jeszcze przed demontażem, nie byliśmy jednak w stanie ocenić ich skali. Zajmuję się ceramiką i szkłem oraz dużo pracuję przy obiektach architektonicznych, których ważnym elementem są zabytkowe szklenia, nie wykluczałam zmian korozyjnych w obrębie samego szklenia. Panneau eksponowane jest na południowej elewacji, co jest bardzo niekorzystne zarówno pod względem potencjalnie szkodliwych zjawisk fizycznych, związanych z naprężeniami wynikającymi z różnic w rozszerzalności cieplnej metalu i szklenia, jak i chemicznych, mogących prowadzić do ługowania alkaliów i roztwarzania szkielestu krzemianowego emalii. Niestety skala zniszczeń zarówno podłoża metalowego, jak i emalii okazała się bardzo duża. Problematiczne były zwłaszcza najmniejsze panele z wypukłościami, gdyż czasze były dospawane do podłoża, a nie tłoczone, co sprzyjało gromadzeniu się wody i powstawaniu ognisk korozji.

**– Zjrzyjmy teraz do Waszej pracowni, gdzie ele-
menty dzieła Knappa trafiły. Jak przebiegał proces
konserwacji?**

– Muszę nas cofnąć na rusztowanie, bo przede wszystkim starannie ponumerowaliśmy panele in situ. Potem oczywiście wszystkie zostały sfotografowane. Jako, że nie mieliśmy możliwości zdjęcia przykładowego elementu przed demontażem całości, żeby opracować na nim metodykę prac, przez pierwszy tydzień poszukiwaliśmy optymalnej metody oczyszczania. Objęta zmianami korozyjnymi emalia jest mikroporowata i bardzo trudna do odczyszczenia. Jednocześnie metody bezpieczne dla szklenia nie są odpowiednie dla podłoża ze stopów żelaza,

więc dużo metod musieliśmy wyeliminować na wstępie. Dodatkowym problemem była stwardniała fuga akrylowa, którą musieliśmy rozmiękczać, żeby przy usuwaniu nie powstawały naprężenia. Rewersy były w gorszym stanie niż lica. Usuwanie metodą abrazyjną produktów i ognisk korozji niestety często prowadziło do perforacji metalu, musieliśmy zatem ograniczyć się do oczyszczania tą metodą jedynie otoków. W innych miejscach oczyszczaliśmy panele manualnie oraz chemicznie. Oczyszczanie zajęło nam ponad połowę czasu przeznaczanego na konserwację i renowację. W międzyczasie prostowaliśmy wszystkie większe deformacje. W związku z faktem, że konieczne było wprowadzenie metod mokrych bezpiecznych dla szklów, ale potencjalnie niekorzystnych dla metalu, bezpośrednio po oczyszczaniu, panele były chemicznie osuszane i natychmiast zabezpieczane taniną w alkoholu. Po 24 godzinach natomiast inhibitorem korozji, którego nadmiar należało usunąć, a po 72 godzinach zapuścić szczeliny i odspojenia emalii roztworem żywic termoplastycznych. W kolejnym etapie wszelkie uszkodzenia pokryć farbą podkładową, jednoskładnikową dla wyższej elastyczności, co wymuszało odczekanie kolejnych 72 godzin przed aplikacją szpachlówek do uzupełniania ubytków czy wklejania latek zamykających perforacje. Na koniec, po wyszlifowaniu kitów, aplikacja farb zabezpieczających i rekonstrukcje kolorystyczne. Przy 255 elementach, pracy w dużym zespole, włączającym studentów przychodzących jedynie w konkretne dni tygodnia, zachowanie tego reżimu i bardzo sprawnego tempa pracy było niezwykle trudne, zwłaszcza, że nie dysponowaliśmy żadną pracownią mogącą pomieścić wszystkie panele i pozwalającą na wygodne rozlokowanie obiektu o wielkości niemal 74 m².

– Co okazało się największym zaskoczeniem w trakcie prac – in plus, a może i in minus?

– In plus, z pewnością stopień zaangażowania studentów, dla których zapewne zmiana sposobu pracy nie była łatwa. Zwykle mają własne niewielkie obiekty i dużo czasu, żeby się nad nimi zastanowić i zrobić je spokojnie i z pietyzmem, na co sami nalegamy, a postaviliśmy ich przed zadaniem pracy zespołowej z obiektem wielkoformatowym, który wymagał bardzo intensywnego wysiłku i wzajemnej kontroli, żeby nie pominąć żadnego z etapów. Trudna z pewnością była powtarzalność niektórych czynności, np. uzupełnianie ubytków i opracowywa-



nie kitów – kończąc jeden element sięgało się po drugi, potem trzeci itd. Żartowaliśmy, że postępy prac najlepiej widać w tabelkach EXEL, gdyż „knappek” optycznie nie ubywało. Zachwylił mnie poziom empatii i zrozumienia względem koniecznego wysiłku i oczywistych trudności pojawiających się przy tak dużym zadaniu, realizowanym w zdecydowanie zbyt krótkim czasie. Cieszy mnie także otwartość, z jaką studenci dociekali przyczyn i skutków podejmowanych decyzji.

In minus, nawiązując do zbyt krótkiego czasu przewidzianego na prace, brak akceptacji niezmienności praw matematyki, oczywiście żartuję. Myślę, że po prostu zabrakło zrozumienia dla specyfiki prac konserwatorskich oraz właściwego opartego na dialogu, partycypacyjnego modelu planowania tego zadania. W związku z niekwestionowaną wartością i absolutną unikatowością panneau Stefana Knapka, wydaje mi się konieczne zaznaczyć, że przede wszystkim ze względu na szacunek i troskę należną dziełu sztuki, ale też dbałość o dobrostan oraz bezpieczeństwo osób zaangażowanych w projekt, tego typu zadania powinny być zaplanowane w sposób umożliwiający ich rzetelną i prawidłową realizację, z zachowaniem racjonalnego dobrego rytmu pracy. Konserwacja zabytków jest zwykle skomplikowana i prawie zawsze bardzo czasochłonna oraz wymaga skupienia. Nie ma etapów, które można zlekceważyć czy pominąć, bez szkody dla obiektu. Planowanie prac, w tym ocena czasu potrzebnego na ich realizację, oraz optymalnego sposobu ich or-

ganizacji i prowadzenia, powinna przebiegać w dialogu ze specjalistami, a przede wszystkim osobami bezpośrednio w nie zaangażowanymi.

– Jak udało się pozyskać materiały niezbędne do prac konserwatorskich?

– Pytanie powinno brzmieć raczej, jak udało się je wybrać spośród stosowanych w pracach konserwatorskich. Wszystkimi materiałami stawialiśmy kryterium bezpieczeństwa użycia w tym szczególnym przypadku, przy ekspozycji emaliowanych paneli w trudnych warunkach, na południowej, silnie nasłonecznionej ścianie. Sprawdzaliśmy przede wszystkim ich rozszerzalność cieplną oraz odporność na różnice temperatur i zmienne warunki atmosferyczne.

– Ponowny montaż był sporym wyzwaniem czy już tylko „wisienką na torcie”?

– Demontaż i montaż leżał po stronie innej jednostki UMK. Padł pomysł, że podobnie jak przy demontażu mamy cały czas być na miejscu, ale byłoby to niewykonalne, zwłaszcza, że pogoda w listopadzie była kapryśna i montaż trwał w przerwach między deszczami, więc trudno byłoby zaplanować obecność. Asertywnie się z niego wycofaliśmy, gdyż mamy swoje obowiązki dydaktyczne i właściwie nie mogliśmy w nim uczestniczyć, bez rezygnacji z zajęć. Starannie posegregowaliśmy „knappki” i przekazaliśmy duże wydruki z oznaczoną numeracją. Montaż poszedł dość sprawnie, choć nie obyło się bez uszkodzeń podczas prac. Zabezpieczyliśmy uszkodzenia przed zdjęciem rusztowań, ale jesteśmy świadomi, że przy tak niskich temperaturach i dużej wilgotności mogło być to nieskuteczne, na wiosnę przy okazji uzupełniania fugi planujemy zrobić przegląd i wprowadzić poprawki.

– Przedstawmy bliżej cały zespół, który podjął się konserwacji dzieła Knappa.

– W związku z krótkim terminem realizacji w prace realnie zaangażowani byli wszyscy pracownicy Katedry Konserwacji-Restauracji Architektury i Rzeźby, jeśli nie bezpośrednio – to wyręczając z innych zadań osoby najbardziej obciążone pracami przy panneau Stefana Knappa i koordynacją studentów. Za co serdecznie dziękuję.

Bezpośrednim współorganizatorem i osobą współodpowiedzialną za prace jest mgr Adam Kaźmierczak, specjalista w dziedzinie konserwacji szkła, wszystkie decyzje były konsultowane z mgr Arletą Piasecką, specjalistką w dziedzinie konserwacji metalu oraz prof. dr. hab. Piotrem Niemcewiczem, kierownikiem Katedry. Prace ze studentami prowadziły mgr Zuzanna Jarmulska-Król, mgr Agata Ogińska oraz mgr Piotr Maćko. Wszystkie wymienione osoby miały też oczywiście osobisty wkład w konserwację panneau. W części badawczej wsparli projekt swoim doświadczeniem i zaangażowaniem dr Grażyna Szczepańczyk i dr Andrzej Podgórski. Nieocenionym wsparciem byli nasi pracownicy techniczni mgr Monika Kujawa oraz Damian Rumiński.

Prace przy dziele Knappa realizowali studenci 2, 3, 4 i 5 roku studiów naszej specjalizacji w ramach Pracowni Konserwacji Zabytków. Szczególnie chcę podziękować grupie studentów 3 i 4 roku, którzy nie doczekawszy się konserwacji panneau w ramach ćwiczeń terenowych zdecydowali się zostać i pracować przy panelach w miesiącach wakacyjnych, biorąc na siebie najtrudniejszy i najmniej wdzięczny etap oczyszczania i zabezpieczania elementów kompozycji Stefana Knappa.

Dziękuję także doktorantkom, Paulinie Świntuszek oraz Kindze Klemińskiej, które wsparły nas swoim talentem przy rekonstrukcjach kolorystycznych.

– Na zakończenie może pewna zaskakująca propozycja z mojej strony: podczas remontu auli kilka lat temu w tajemniczych okolicznościach zaginął portret Kopernika ze ściany foyer. To także było dzieło Stefana Knappa. Może warto byłoby zrobić kopię tego portretu, skoro oryginał nie jest już do odzyskania, a Wasza ekipa świetnie poznała technologię stosowaną przez tego artystę.

– Może lepiej odnaleźć jeden z czterech pozostałych portretów wykonanych przez Stefana Knappa? :) Obawiam się, że pomiędzy teorią, czyli znajomością techniki wykonania, a praktyką, czyli umiejętnością zrobienia kopii w technice emalii, jest przepaść, której nie próbowałabym nawet zasypywać..., scalanie kolorystyczne uszkodzonych „knapek” skutecznie nauczyło mnie pokory względem talentu artysty i magii dziejącej się w piecu.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia z pracowni – nadesłane

Katarzyna Walczewska-Szewc, Wiesław Nowak

Wojny, DNA i bioinformatyka

Homo sapiens należy do wielokomórkowych organizmów eukariotycznych. W większości komórek mamy jądra, które zawierają kwas dezoksyrybonukleinowy, czyli DNA. Pojedyncza molekula DNA ma strukturę podwójnej helisy i jest ciasno upakowana, po rozwinięciu ma długość ponad 1 metra.

DNA obecny jest też w ciekawych strukturach komórkowych zwanych mitochondriami. DNA nie bierze się „z niczego”. Konkretnie sekwencje nukleotydów, z jakich zbudowany jest ten biopolimer, dziedziczymy po rodzicach. Co ciekawe, mitochondrialne DNA dziedziczymy tylko po matce. DNA

zawiera obszary kodujące, umownie nazwiemy je genami. Jest ich u ludzi około 20 000. Większość sekwencji podstawowych zasad DNA (A,T,G,C) to sekwencje niekodujące. Każdy człowiek ma unikatową sekwencję swojego DNA, chociaż nosi w niej ślady przodków. Określanie sekwencji przez długie lata było bardzo trudne i żmudne. W roku 2000 nastąpił przełom – opublikowano sekwencje wzorcowego ludzkiego DNA złożoną z ok. 3 miliardów takich „literek”. Koszt tego międzynarodowego projektu przewyższył koszt programu lotów na Księżyc. Nowoczesna genetyka już na podstawie niewielkiego fragmentu potrafi przypisać DNA do konkretnej



Fot. nadesłana



osoby. W sekwencjach DNA może być ukryta cenna informacja, np. o skłonności do pewnych chorób dziedzicznych. Pojawia się coraz więcej problemów prawnych związanych ze stopniem ochrony naszej informacji genetycznej.

Sekwencja ludzkiego DNA stanowi klucz do zrozumienia tego, co nas różni, a co łączy. Pozwala oceniać, m.in. czy istnieją szanse na powodzenie przeszczepu serca czy szpiku, ustalać związki pokrewieństwa, a nawet identyfikować miejsca pochówku władców. Nawet mikroskopijne ślady DNA, pozostawione na miejscu zbrodni, mogą prowadzić do zlokalizowania przestępcy, stając się nieocenionym narzędziem w rękach wymiaru sprawiedliwości. W mediach co rusz przetacza się dyskusja, do jakiego stopnia analizy DNA mogą stanowić twarde dowody na wskazanie sprawcy zbrodni. Rola analiz DNA i genetyki we współczesnej kryminalistyce jest fundamentalna. Bez tych analiz, niestety, nie może się obejść w przypadku masowych katastrof czy identyfikacji ofiar wojen. Niestety, wojen – zarówno tych bliższych, jak i dalszych – obecnie nie brakuje. Możemy dzięki DNA zidentyfikować szczątki ludzkie, a nawet określić, jaki jest w nas procent neandertalczyka (odp.: 1–4 %).

Dlatego doroczna konferencja „Bioinformatics in Toruń”, organizowana przez Polskie Towarzystwo Bioinformatyczne i Wydział Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK w roku 2023 miała nazwę **BARIFORCE** („**BIT23: Bioinformatics, Artificial Intelligence and Forensic Science**”). Jednym z celów tych międzynarodowych, dwudniowych warsztatów było zapoznanie uczestników z obecnymi trendami w kryminologii związanymi z analizami DNA i iden-

tyfikacją osób. Bioinformatyków w Polsce jest wciąż za mało. PTBI organizuje BITy (*spiritus movens* tej serii zapoczątkowanej w roku 2000 jest niżej podpisany WN) po to, by zachęcić różnych specjalistów do badania problemów związanych z przetwarzaniem informacji biologicznej. Bioinformatycy, łącząc wiedzę z biologii, medycyny, biofizyki, informatyki i matematyki, zajmują się DNA w sposób kompleksowy. To właśnie kompleksowe spojrzenie na DNA, a także na inne kluczowe elementy biologii molekularnej i genetyki, było głównym motywem przewodnim BIT23.

W tym specjalistycznym spotkaniu, które odbyło się w Instytucie Fizyki UMK (<https://www.ptbi.org.pl/website/conferences/bit23/>), uczestniczyło ok. 50 osób. Miały one okazję wysłuchać 18 referatów, były też dwie sesje posterowe i kilka „tutoriali” oraz bogaty program kulinarno-towarzyski. Organizacja konferencji była możliwa dzięki wsparciu ze środków budżetu państwa, przyznanych przez ministra edukacji i nauki w ramach programu „Dokształca Nauka II – wsparcie konferencji naukowych” (nr wniosku: KONF/SP/0440/2023/01). Organizacją kierowała dr K. Walczewska-Szewc (UMK), zaś pieniądze zbierał i wydawał dr hab. inż. Paweł P. Łabaj (UJ).

Konferencja rozpoczęła się od fascynującego wykładu dr. hab. Marcina Woźniaka, prof. UMK (Katedra Medycyny Sądowej CM UMK w Bydgoszczy), który zaprezentował ewolucję genetyki sądowej. Śledząc jej korzenie aż do lat 80., podkreślił, jak sekwencjonowanie nowej generacji (NGS) i bioinformatyka zrewolucjonizowały tę dziedzinę. Prezentacja prof. Woźniaka podkreśliła, jak znaczący mamy przełom w kierunku zastosowań metod o wyższej czułości i szerszym spektrum możliwości, zapowiada to nową erę w tej nauce sądowej. Drżycie przestępcy. Dr hab. inż. Paweł Łabaj oraz dr Michał Kowalski („Data Magician”) z Małopolskiego Centrum Biotechnologii i Uniwersytetu Jagiellońskiego wprowadzili słuchaczy w tematykę wykorzystanie analizy mikrobiomu gleby w nauce sądowej. Ta innowacyjna metoda wykorzystuje unikatowy skład mikrobiologiczny próbek gleby jako narzędzie sądowe, otwierając nowe drogi w precyzyjnych i nowoczesnych badaniach miejsca zbrodni i ekologii. Autorzy tych prezentacji mają za sobą współpracę naukową z policją. Dodatkowym punktem programu była prezentacja dr. hab. inż. Piotra Łukasiaka z Politechniki Poznańskiej, poświęcona mapie genomowej Polski (projekt „Genomiczna Mapa Polski” miał

budżet 100 mln zł) oraz wyzwaniom, możliwościom i szansom związanym z jej tworzeniem w kontekście bioinformatycznym. Wskazała ona na potencjał wykorzystania bioinformatyki w tworzeniu szczegółowych map genetycznych i ich zastosowań w różnych dziedzinach, w tym medycynie i kryminalistyce. Oczywiście zarówno preparatyka próbek, izolowanie materiału genetycznego, wykorzystanie NGS czy analiza komputerowa obszernych danych numerycznych są wysoce nietrywialnymi zadaniami. Metagenomika wymaga algorytmów i takowe „zautomatyzowane” podejście do metagenomiki omówił dr hab. Marcin Gołębiewski, prof. UMK („R pipeline for analysis of metagenomic/metatranscriptomic amplicon reads”).

Mimo że konferencja BIT23 odbywała się stacjonarnie, mieliśmy również możliwość śledzenia niektórych prezentacji online, co pozwoliło na dodatkowy dostęp do najnowszych osiągnięć naukowych. Jedną z takich prezentacji online był wykład dr. Scotta Tighe’a z Vermont Integrative Genomics Lab (USA), który zajął się metagenomiką środowisk o bardzo małej zawartości mikroorganizmów. Tighe skupił się na technicznych wyzwaniach i rozwiązaniach stosowanych w metagenomice, podkreślając ich znaczenie dla rozumienia złożonych ekosystemów mikrobiologicznych. Zespół, z którym współpracuje Scott Tighe, prowadzi obecnie fascynujące badania nad DNA mikroorganizmów zamieszkujących statki kosmiczne. Specjalne urządzenie do ekstrakcji DNA będzie zainstalowane na misji Space X.

Rosnące znaczenie bioinformatyki na arenie światowej staje się coraz bardziej widoczne w praktyce medycznej. Na konferencjach BIT wielokrotnie dyskutowano problemy medycyny spersonalizowanej, podkreślając nieuchronność tego trendu, który wynika z naszych genetycznych różnic. Prof. Andrzej Polański z Politechniki Śląskiej przedstawił oryginalne wyniki badań dotyczących roli mutacji somatycznych w rozwoju nowotworów. Kwestionując tradycyjne przekonanie o neutralności tzw. mutacji pasażerskich w komórkach nowotworowych, przedstawił dowody wskazujące, że mogą one wpływać na ewolucję raka. Badania prof. Polańskiego, wspierane przez genomikę statystyczną, sugerują bardziej złożone spojrzenie na wzrost nowotworów, napędzany przez połączenie mutacji sterowniczych i pasażerskich, co otwiera nowe perspektywy dla leczenia i badań nad rakiem.

Jednym z ważniejszych punktów konferencji była prezentacja prof. Joanny Polańskiej o syste-



mie wsparcia diagnozy COVID-19 opartym na AI – CIRCA. Prof. Polańska, z Wydziału Nauk o Danych i Inżynierii Politechniki Śląskiej, od lat współpracuje z Centrum Onkologii w Gliwicach. Omówiła wyzwania, przed którymi stoją systemy AI w środowisku klinicznym, zwłaszcza w kontekście heterogeniczności danych. System CIRCA, opracowany przy użyciu technik uczenia głębokiego i zaawansowanego przetwarzania obrazów, prezentuje solidne podejście do diagnozowania i monitorowania chorób, potencjalnie rewolucjonizując opiekę zdrowotną.

Każdego roku na konferencji BIT witamy stałych prelegentów, którzy swoją wiedzą i doświadczeniem wzbogacają program. W tym roku nie zabrakło absolwenta UMK, prof. Jarosława Meller z Cincinnati (Children's Hospital Medical Center i University of Cincinnati), który przedstawił postępy w mapowaniu heterogeniczności nowotworów na poziomie pojedynczych komórek. Skupiając się na raku komórek jasnokomórkowych nerki (ccRCC), charakteryzującym się wysokim stopniem heterogeniczności klonalnej, prof. Meller wykorzystał platformę transkryptomiki przestrzennej 10x Genomics Visium do badania organizacji przestrzennej guzów i identyfikacji różnych subpopulacji klonalnych, co stanowi przełom w zrozumieniu progresji raka i odporności na leki.

Podobnie, prof. Krzysztof Kuczera z University of Kansas (USA), regularny uczestnik konferencji BIT, przedstawił wyniki swoich podstawowych prac nad ścieżkami zwijania białek, koncentrując się na alfa-helisach i beta-hairpinach. Badania takie należą do szeroko rozumianej bioinformatyki strukturalnej. Dzięki wykorzystaniu komputerowych symulacji dynamiki molekularnej, jego zespół badał wpływ

sekwencji i długości na procesy składania fragmenców białek, dostarczając nowych mikroskopowych spostrzeżeń dotyczących podstawowych procesów formowania struktur drugorzędowych białek, co ma kluczowe znaczenie dla zrozumienia mechanizmów ich działania i regulacji.

Jednym z kluczowych punktów BIT23 był wykład prof. Adriana Roitberga z University of Florida (USA, h=74, >47 000 cytowań GS), poświęcony wykorzystaniu uczenia maszynowego w modelowaniu molekularnym. Profesor Roitberg przyjechał do Torunia i zaprezentował przełomowe podejście do modelowania molekularnego, wykorzystując głębokie sieci neuronowe. W swojej prezentacji skupił się na ANI (ANAKIN-ME), nowej metodzie opartej na zaawansowanych wersjach wektorów środowiska atomowego (AEV), które umożliwiają naukę sieci neuronowych w różnorodnych przestrzeniach konformacyjnych i konformacyjnych [1]. Przedstawiając ANI-1, potencjał opracowany na podstawie baz danych PDB, Roitberg ukazał, w jaki sposób *deep learning* może zrewolucjonizować nasze rozumienie i przewidywanie energii układów molekularnych. Nie wszyscy uczestnicy BIT23, dysponujący na razie inteligencją zwyczajną, byli do tego podejścia przekonani – zaprezentowane wyniki modelowania są owszem imponujące, jednak interpretacja fizyczna „odgadniętych” czy „ekstrapolowanych” przy pomocy metod AI wyników może już być problematyczna czy wręcz niemożliwa.

Inną ciekawą prezentacją online była sesja pytań i odpowiedzi z dr Michaliną Pacholską, byłą stażystką w słynnej obecnie firmie DeepMind i współautorką jeszcze sławniejszego programu AlphaFold2 [2], obecnie pracującą jako naukowiec w firmie Cosimmetry. Dr Pacholska dostarczyła fascynujących informacji nt. rozwoju świata sztucznej inteligencji i jej zastosowań w bioinformatyce, dzieląc się swoimi doświadczeniami w pracy nad jednym z najważniejszych przełomów w strukturalnej biologii białek. Jak być może część czytelników tego artykułu, wie Świętym Graalem biologii molekularnej jest poznanie struktur trójwymiarowych białek. Dzięki kosztownym i żmudnym badaniom technikami X-ray, Cryo-EM i wielowymiarowego NMR znamy około 100 000 struktur 3D. A sekwencji białek (struktur 1D, czyli kolejności liter w genie kodującym

białko – zbudowanym z DNA), uzyskiwanych obecnie dużo mniejszym wysiłkiem, znamy grubo ponad 100 000 000 (tysiąc razy więcej). Teoretycy od lat marzyli, że uda się kiedyś znaleźć algorytm przewidywania struktur 3D białek ze struktur 1D. I nagle „bingo” – program AlphaFold2, oparty na sztucznej inteligencji, rozwiązuje to zadania z nieprawdopodobną dokładnością. Spekuluje się, że jeśli przewidywania AlphaFold2 przyniosą konkretne korzyści w medycynie, AI (lub jej twórcy) dostanie Nagrodę Nobla (w walucie MWh?).

Na zakończenie BIT23 uczestnicy mieli okazję zapoznać się w praktyce z niektórymi technikami kryminalistycznymi, np. identyfikacją odcisków palców przy pomocy technik fluorescencyjnych, zaprezentowanymi przez sympatyczny zespół z Uniwersytetu Gdańskiego pod wodzą dr Anety Lewkowicz. Warto wiedzieć, że obecnie można uzyskać użyteczne kryminalistycznie próbki DNA nawet ze śladów zawartych w odciskach palców. Warto też pomyśleć, do czego to obecnie przydaje się fluorescencja, którą odkrywał i badał w latach 30. XX wieku twórca toruńskiej fizyki prof. Aleksander Jabłoński.

Celem tej krótkiej notki jest zwrócenie uwagi społeczności akademickiej na kilka oczywistych kwestii; (1) bioinformatyka żyje i ciągle się rozwija, przynosząc nowe, fascynujące odkrycia (2) bioinformatyka jest wybitnie interdyscyplinarna – w konferencji uczestniczyli profesjonalni biolodzy, matematycy, chemicy, informatycy, fizycy i zapewne inni specjaliści. (3) Bioinformatyka zaprasza do pracy naukowej lub nawet rutynowych analiz każdego, któremu niestraszne są komputery, bowiem software i hardware to podstawowe (tanie) narzędzia badawcze tej fascynującej części nauki.

[1] J.S. Smith, O. Isayev, A.E. Roitberg; *Chemical science* 8 (4), (2017) 3192–3203 (>1500 cytowań).

[2] J. Jumper *et al.* *Nature* 596 (2021) 583–589 (>16 000 cytowań).

Miroslaw Bochenek

Niedoceniany Kopernik

Mikołaj Kopernik był autorem pierwszych teoretycznych rozpraw ekonomicznych¹ w Polsce, w których wykazał nie tylko negatywne skutki psucia pieniądza oraz zaprezentował program reformy monetarnej, ale również przedstawił oryginalną kruszczową teorię pieniądza oraz sformułował prawo wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez pieniądz gorszy.

Chociaż tymi koncepcjami Wielki Astronom² wyprzedził swoją epokę, jego dokonania, a szczególnie autorstwo zasady wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez gorszy bezpodstawnie przypisywane jest Thomasowi Greshamowi, angielskiemu finansistcie, kupcowi i doradcy królowej Elżbiety I, dlatego też wszystkie zasługi i sława przypadły jemu, a nie M. Kopernikowi. W związku z tym nieporozumieniem nasuwa się pytanie o przyczyny uznawania przez ekonomię światową T. Greshama za autora tego prawa.

Wydaje się, że główną przyczyną przyznania autorstwa tego prawa angielskiemu finansistcie była nieznajomość traktatów monetarnych naszego Renesansowego Uczzonego. Mimo, że rozprawy te były poświęcone aktualnemu od V w. p.n.e. zagadnieniu psucia pieniądza, nie zostały one opublikowane za jego życia, gdyż pełniły rolę wewnętrznego dokumentu sporządzonego dla kapituły warmińskiej i biskupów. Szybko popadły w zapomnienie i przez 300 lat pozostawały w rękopisach, nieznanym kręgom naukowym. Spod jego ręki wyszły trzy traktaty monetarne oraz jeden list poświęcony tej problematyce. Zwyczajowo jemu przypisywany jest również skrót dokonany w XVI w. przez toruńskiego kopistę. Swoje rozprawy ekonomiczne M. Kopernik zredagował po łacinie w latach 1517–1526 na zlecenie biskupów warmińskich. Odnalezione po



Nicolas Oresme

wielu wiekach manuskrypty memoriałów nie są niestety oryginalnymi rękopisami M. Kopernika, prawdopodobnie te zaginęły bezpowrotnie. Również większość tytułów (odstępstwem były *Rozmyślenia*) nie pochodzi od autora; zostały one dopisane przez autorów poszczególnych kopii. Do naszych czasów zachowały się jedynie odpisy łacińskie i niemieckie sporządzone przez kopistów.

Pierwszy memoriał *Meditata* (*Rozmyślenia*) został ostatecznie zredagowany 15 sierpnia 1517 r. Jedna kopia traktatu była sporządzona przez Feliksa Reicha, kanonika kapituły warmińskiej i kustosza bi-

¹ Zawartość rozpraw monetarnych M. Kopernika została zaprezentowana w ubiegłorocznym „Głosie Uczelni” w numerach 1–2 oraz 9–10, dlatego też zainteresowanych czytelników odsyłamy do tych numerów.

² W niniejszym opracowaniu M. Kopernik jest również nazywany Wielkim Torunianinem i Renesansowym Uczonym. Pisane wielkimi literami określenia wskazują, że są one nazwami własnymi.



THE HISTORY OF ECONOMICS

HENRY DUNNING MACLEOD

bioteki warmińskiej, który wielokrotnie – wspólnie z M. Kopernikiem – reprezentował biskupa warmińskiego na sejmach pruskich oraz gromadził dokumenty dotyczące spraw pieniężnych, w tym traktaty Wielkiego Astronoma. Odpis ten został przekazany Radzie Miasta Gdańska³. Inne kopie łacińskie wykonano dla biskupa F. Łuzjańskiego, a następnie przekazano kancelarii królewskiej Zygmunta I podczas sejmu toruńskiego, który obradował w grudniu 1519 r. Uczestniczyli w nim król Zygmunt I, stany koronne oraz Rada Pruska. Jedna z kopii znalazła się w lwowskiej Bibliotece Ossolińskich. Aktualnie jest w posiadaniu Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Kolejna kopia traktatu przechowywana jest w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie⁴.

³ Zob. H. Schmauch, *Nicolaus Copernicus und die preussische Münzreform*, Krausenecks Verlag und Buchdruckerei, Gumbinnen 1940, s. 4 i n.

⁴ Zob. M. Gumowski, *Poglądy Mikołaja Kopernika w sprawach monetarnych*, w: *Kopernik na Warmii. Życie i działalność publiczna – działalność naukowa – środowisko – kalendarium*, Stacja Naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego (Instytut Mazurski) – Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 1973, s. 250 oraz M. Biskup, L. Zygmier, *Pisma ekonomiczne i administracyjne*, w: M. Kopernik, *Dzieła wszystkie*, t. 3:

Drugim pismem ekonomicznym naszego Renesansowego Uczzonego jest rozprawa *Modus cudendi monetam* (*Zasady bicia monety*) z 1519 r., uzupełniona w 1522 r., która stanowi niemieckie tłumaczenie pierwszego traktatu *Meditata*. Nazwę *Modus cudendi monetam* nadano temu traktatowi w XVI w. Memoriał ten został przygotowany w wersji niemieckiej na prośbę radców Prus Królewskich ze względu na słabą znajomość łaciny przez większość delegatów na zjazd stanów pruskich, którzy obradowali w języku niemieckim. Jest mało prawdopodobne, że przekładu dokonał sam autor memoriału. Większość badaczy przychyliła się do poglądu, że tłumaczenia na język niemiecki podjął się pisarz z Gdańska. Traktat ten M. Kopernik przedstawił osobiście 21 marca 1522 r. w Grudziądzu podczas zjazdu stanów Prus Królewskich oraz posłów króla Zygmunta I Starego, z biskupem włocławskim, Maciejem Drzewickim na czele⁵. Udostępniony przez M. Kopernika traktat został wpisany przez pisarza Rady Miasta Gdańska do recesu (protokołu), który zachował się do dzisiaj w Archiwum Państwowym w Gdańsku. Prawdopodobnie w drugiej połowie XVI w., tłumaczenie to uzupełnił jeden z tamtejszych sekretarzy o tytuły dla poszczególnych akapitów. Ponadto do kopii tekstu dołączono krótki łaciński wstęp, zawierający informację o autorstwie M. Kopernika oraz zwrot „modum cudendi monetam”, który dał tytuł tejże rozprawie⁶.

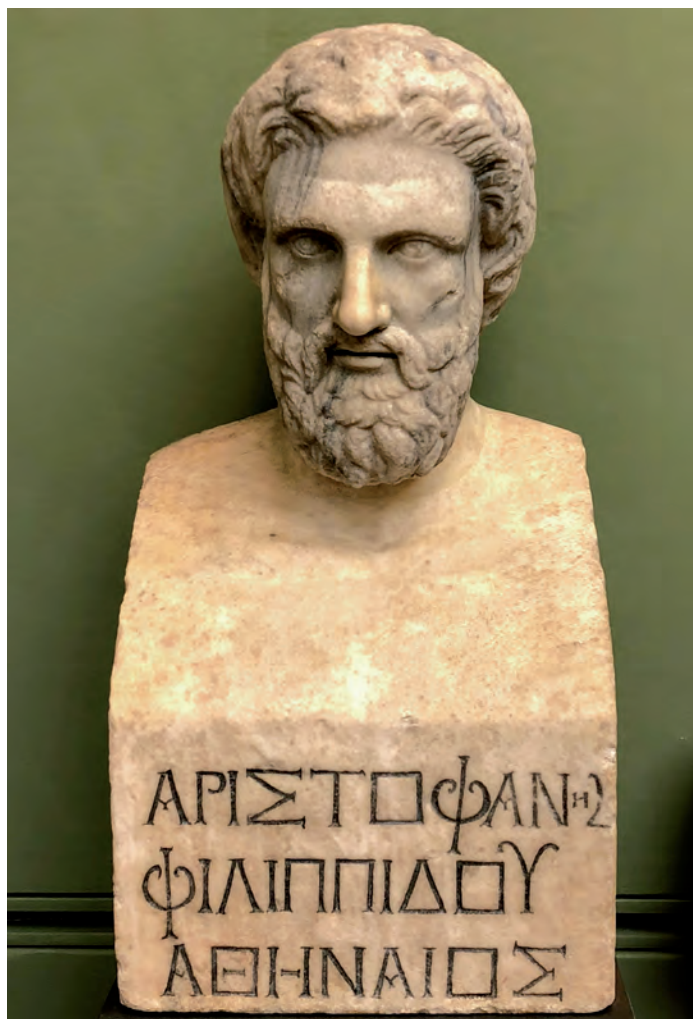
Traktat *Monete cudende ratio* (*Sposób bicia monety*) jest trzecim, najbardziej rozwiniętym i dojrz-

Pisma pomniejsze, PAN – Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2007, s. 51, 57–58, 64 i 99–100.

⁵ Zob. *Akta stanów Prus Królewskich*, t. 8: (1520–1526), wydali M. Biskup i I. Janosz-Biskupowa, Towarzystwo Naukowe w Toruniu (fontes 95) – Instytut Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, Warszawa–Toruń 1993, s. 212; J. Sikorski, *Mikołaj Kopernik na Warmii. Chronologia życia i działalności*, Towarzystwo Naukowe i Instytut Pótnocny im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 2023, s. 138–139; M. Gumowski, *Moneta złota w Polsce średniowiecznej*, „Rozprawy Akademii Umiejętności w Krakowie” 1912, t. 55, s. 209 oraz M. Biskup, L. Zygmier, *Pisma ekonomiczne...*, op. cit., s. 58 i 108–109.

⁶ Zob. F. Bujak, *Traktat Kopernika o monecie*, w: *Mikołaj Kopernik*, księga zbiorowa wydana częściowo z zasiłku Wydziału Nauki Ministerstwa W. R. i O. P., Lwowski Komitet Obchodu 450 Rocznicy Urodzin M. Kopernika – Książnica Polska Towarzystwa Naucz. Szkół Średnich i Wyższych, Lwów–Warszawa 1924, s. 43 i n.; J. Dmochowski, *Dokumenty archiwalne*, w: *Mikołaja Kopernika rozprawy o monecie i inne pisma ekonomiczne oraz J.L. Decjusza traktat o biciu monety*, oprac. J. Dmochowski, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa [1923], s. CLI–CLIV i CLXII–CLXIII; M. Gumowski, *Poglądy...*, op. cit., s. 241 i 251 oraz M. Biskup, L. Zygmier, *Pisma ekonomiczne...*, op. cit., s. 51–58.

tym traktatem poświęconym reformie monetarnej w Prusach. Ta ostateczna wersja rozprawy o pieniądzu, zdaniem wielu kopernikologów, powstała przed kwietniem 1526 r.⁷ Rozprawa ta zachowała się w trzech odpisach. Autorem jednego łacińskiego manuskryptu tego traktatu był Fryderyk Fischer, kanclerz księcia Prus Książęcych Albrechta von Hohenzollerna-Ansbacha. Znajdującą się do 1944 r. w Archiwum Państwowym w Królewcu kopię odnalazł Jan Dmochowski. Drugi manuskrypt *Monete cudende ratio* sporządził sekretarz biskupa warmińskiego Maurycego Ferbera, kanonik i prepozytor do-bromiejski i ekonom, członek kapituły warmińskiej, wykształcony humanista i bibliofil Paweł Snopek. Będąc kanclerzem biskupa, pogłębiał swoją wiedzę z zakresu spraw monetarnych. Ponieważ odpis ten powstał na zamku biskupim w Lidzbarku, dlatego też kopia ta jest nazywana kopią lidzbarską i jest uznawana za najbardziej pełny i wiarygodny rękopis tej rozprawy. Pierwotnie znajdował się w archiwum biskupów warmińskich w Lidzbarku. Następnie trafił do rąk Tadeusza Czackiego w Porycku, później zaś wzbogacił zbiory puławskie rodziny książąt Czartoryskich. Aktualnie należy do Biblioteki Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie. Trzecia kopia traktatu jest dziełem F. Reicha, który prawdopodobnie wymyślił tytuł traktatu – *Monete cudende ratio*, przejęty również przez F. Fischera. Odpis wykonany przez F. Reicha został wywieziony z biblioteki warmińskiej w 1626 r. przez Szwedów do Sztokholmu i zwrócony Archiwum Państwowemu w Królewcu w 1801 r. W 1944 r. został przewieziony do Staatliches Archivlager w Getyndze, a od 1978 r. jest przechowywany w Geheimes Staatsarchiv w Berlinie. W 1801 r. manuskrypt spisany przez F. Reicha został odkryty przez Seweryna Vatera, profesora teologii Uniwersytetu w Królewcu, który przekazał jego kopię dyrektorowi Liceum Warszawskiego Samuelowi Bogumiłowi Lindemu⁸. Następnie trafiła ona do rąk



Arystofanes

profesora Uniwersytetu Warszawskiego, historyka literatury polskiej, bibliografa i archiwisty – Feliksa Jana Bentkowskiego⁹.

Projektowi reformy monetarnej Prus Królewskich i Książęcych Renesansowy Uczony poświęcił również obszerny list do Feliksa Reicha (*Felici Reich. De moneta*). List ten M. Kopernik wystosował 8 kwietnia 1526 r. z Fromborka. Wraz z biskupem warmińskim Maurycem Faberem uczestniczył on jako delegat w zjazdach stanów Prus Królewskich, które odbyły się w marcu i lipcu 1526 r. w Gdańsku. Aby zrozumieć zawite problemy monetarne ówczesnych Prus, zwrócił się do M. Kopernika z prośbą o wyjaśnienie niezrozumiałych kwestii, które astronom zawarł w traktacie *Monete cudende ratio*. Od-

ne..., op. cit., s. 51–56, 59–60 i 63–64 i 119 oraz M. Kopernik, *Monete cudende ratio*, Biblioteka Czartoryskich, Kraków, rps 259.

⁹ Zob. F. Bentkowski, *Mikołaja Kopernika rozprawa o monecie*, „Pamiętnik Warszawski czyli Dziennik Nauk i Umiejętności” 1816, t. 5 (maj, czerwiec, lipiec, sierpień), s. 381–423.

⁷ Zob. M. Kopernik, *Traktat o reformie monetarnej Prus Królewskich i Książęcych – Zasady bicia monety*, przekład E.J. Głębieckiej, w: M. Kopernik, *Dzieła wszystkie*, t. 3: *Pisma pomniejsze...*, op. cit., s. 131 oraz M. Biskup, L. Zygmier, *Pisma ekonomiczne...*, op. cit., s. 119–121.

⁸ Zob. I. Polkowski, *Żywot Mikołaja Kopernika*, Drukiem J.B. Langiego, Gniezno 1873, s. 199–200; S. Głabiński, *Ekonomika społeczna*, t. 1: *Ogólne zasady i historia ekonomiki społecznej*, Z Drukarni Pillera i Ski, Lwów 1905, s. 192; J. Dmochowski, *Kopernik jako teoretyk monetarny*, w: *Mikołaja Kopernika rozprawy...*, op. cit., s. XIII–XVIII; M. Grażyński, *Memoriał Mikołaja Kopernika o zasadach bicia monety*, „Przegląd Współczesny” 1923, nr 14, s. 340; J.S. Lewiński, *Kopernik jako ekonomista*, „Ekonomista” 1924, t. 1, s. 176; M. Biskup, L. Zygmier, *Pisma ekonomiczne...*, op. cit., s. 51–56, 59–60 i 63–64 i 119 oraz M. Kopernik, *Monete cudende ratio*, Biblioteka Czartoryskich, Kraków, rps 259.

pis listu *Do Feliksa Reicha. O monecie* znajdował się w foliale sporządzonym przez F. Reicha. Wywieziony z biblioteki warmińskiej w 1626 r. przez Szwedów do Sztokholmu, w 1801 r. wrócił do Archiwum Państwowego w Królewcu, gdzie przebywał do 1944 r. Jego kopia znajduje się w zbiorach H. Schmaucha w Münster¹⁰.

Sukcesywnie odkrywane i identyfikowane przez polskich i niemieckich badaczy pisma monetarne Wielkiego Astronoma były wydawane drukiem i udostępniane szerszym kręgom czytelników. Najszybciej zostało opublikowane niemieckie tłumaczenie traktatu *Modus cudendi monetam*. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był Caspar Schütz, który w 1592 r. zamieścił ten memoriał w niemieckojęzycznej kronice pt. *Historia rerum Prussicarum*, wydanej w miejscowości Zerbst. Jej druga edycja ukazała się w 1599 r. w Lipsku. C. Schütz zamieścił w niej adnotację, że traktat ten jest dziełem M. Kopernika¹¹. Niestety, to pruskie wydanie szybko popadło w zapomnienie. Powyższe pismo M. Kopernika zostało wznowione dopiero w 1873 r. przez badacza warmińskiego Franza Hiplera w zbiorze opatrzonym tytułem *Spicilegium Copernicanum. Festschrift des historischen Vereins für Ermland zum vierhundertsten Geburtstage des ermländischen Domherrn Nicolaus Kopernikus*. Jego autor wydał niemiecki traktat – w unowocześnionej wersji językowej – wygłoszony w 1522 r. w Grudziądzu, wzorowany na wydaniu C. Schütza, który opatrzył tytułem *Die Denkschrift über die preussische Münze (Memoriał o pruskiej monecie)*¹². Polska wersja traktatu *Modus cudendi monetam* została opublikowana po raz pierwszy dopiero w 1923 r. Edycję tę przygotował w wersji łacińskiej oraz dokonał przekładu na język polski Jan Dmochowski, który opublikował obszerną pracę z licznymi komentarzami pt. *Mikołaja Kopernika rozprawy o monecie i inne pisma ekonomiczne oraz J.L. Decjusza traktat o biciu monety*¹³. Z kolei manuskrypt

najobszerniejszego traktatu *Monete cudende ratio* został wydany po raz pierwszy po łacinie i w przekładzie polskim jako *Sposób urządzenia monety* na łamach „Pamiętnika Warszawskiego” w 1816 r. przez Feliksa Jana Bentkowskiego¹⁴. Natomiast rozprawa *Meditata* została opublikowana po raz pierwszy po łacinie w 1855 r. w Poznaniu w zbiorze *Acta Tomiciana*. Seria ta jest zbiorem dokumentów kancelarii królewskiej Jagiellonów w czasie urzędowania podkanclerza Piotra Tomickiego, od którego pochodzi jego nazwa. Wydawcą zbioru była Biblioteka Kórnicka, należąca do Tytusa Działyńskiego. Wydawcy poznańskiej serii opublikowali traktat M. Kopernika anonimowo. Autorstwo tego tekstu ustalił dopiero w 1902 r. Adam Szelągowski¹⁵. Chociaż redaktorzy tego wydawnictwa byli fałszywie przekonani, że publikują drugą wersję traktatu, czyli *Modus cudendi monetam*, to jednak wydali najkrótszą wersję łacińską z 1517 r., na podstawie łacińskiej kopii sporządzonej przez F. Reicha, i na dodatek opatrzyli ją błędnym tytułem *De estimatione monete*¹⁶. Niestety, przez następne ponad 150 lat autorzy prac poświęconych dokonaniom ekonomicznym Wielkiego Astronoma mylnie przywoływali tytuł *De estimatione monete* (O szacunku monety), wprowadzając zamieszanie związane z identyfikacją i poprawnym nazewnictwem rozpraw monetarnych M. Kopernika, tym bardziej że tytuł ten przypisywali traktatowi z 1522 r., czyli *Modus cudendi monetam*¹⁷. W Niemczech pierwsze wydanie traktatu *Meditata* ukazało się dopiero w 1940 r. dzięki poszukiwaniom Hansa Schmaucha, który zamieścił go w pracy *Nicolaus*

¹⁴ Zob. F. Bentkowski, *Mikołaja Kopernika...*, op. cit., s. 381 i n.

¹⁵ Zob. A. Szelągowski, *Pieniądz i przewrót cen w wieku XVI. i XVII. wieku w Polsce*, Nakładem Towarzystwa Wydawniczego, Lwów 1902, s. 8.

¹⁶ Zob. *Acta Tomiciana. Tomus Quintus Epistolarum, legationum, responsorium, actionum et rerum gestarum Serenissimi Principis Sigismundi Primi, Regis Polonie et Magni Ducis Lithuanie, A.D. 1519–1521*, per S. Górski, Sumpt. Bibliothecae Kornicensis, Posnaniae [1855], s. 167–169.

¹⁷ M.in.: S. Głabiński, *Ekonomika społeczna...*, op. cit., s. 192; S.L. Pernaczyński, *Mikołaj Kopernik ekonomista*, „Ruch Chrześcijańsko-Społeczny. Miesięcznik poświęcony sprawom społecznym i gospodarczym” 1910, nr 5 (luty), Rok 8, s. 243; J. Dmochowski, *Kopernik jako teoretyk...*, op. cit., s. XXXVI i LIII; J. Czarkowski, *450 lat krakowskiej myśli ekonomicznej*, „Problemy Ekonomiczne” 1964, maj, s. 16; S. Cackowski, *Mikołaj Kopernik jako ekonomista*, „Prace Popularnonaukowe”, nr 12, „Biblioteczka Kopernikańska”, nr 4, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Toruń 1970, s. 28; W.K. Szalkiewicz, *Kopernik i pieniądze. Ziemię ruszył, a i pieniądzem efektywnie obracał*, Agencja Usług Medialnych, Olsztyn 2012, s. 51–58 oraz G. Leśniewska, *Grudziądz z Kopernikiem w tle*, Urząd Miejski w Grudziądzu, Grudziądz 2022, s. 11 i n.

¹⁰ Zob. M. Biskup, L. Zygmier, *Pisma ekonomiczne...*, op. cit., s. 54, 62–63 i 138.

¹¹ Zob. C. Schützen, *Historia rerum Prussicarum*, Zerbst 1592, [s. 517r–519r], [składki: h5–i]. W zdigitalizowanym egzemplarzu w Kujawsko-Pomorskiej Bibliotece Cyfrowej są to slajdy nr 1077–1081.

¹² Zob. *Spicilegium Copernicanum. Festschrift des historischen Vereins für Ermland zum vierhundertsten Geburtstage des ermländischen Domherrn Nicolaus Kopernikus*, hrsg. von F. Hipler, Verlag von Eduard Peter, Braunsberg 1873, s. 179–184.

¹³ Zob. J. Dmochowski, *Kopernik jako teoretyk...*, op. cit., s. XII–XVIII oraz J. Dmochowski, *Dokumenty archiwalne...*, op. cit., s. CLI–CLIV i CLXII–CLXIII.

Copernicus und die preussische Münzreform. W swoim opracowaniu niemiecki badacz również odnotował, że traktatowi opublikowanemu w 1855 r. w Poznaniu w zbiorze *Acta Tomiciana*, nadano niesłusznie tytuł *De estimatione monete*¹⁸. Traktat ten w oryginalnym łacińskim i w przekładzie polskim został opublikowany dopiero w 2007 r. za sprawą Mariana Biskupa i Leszka Zygnera, jako *Rozmyślenia o reformie monetarnej Prus Królewskich*, w wydaniu sejmowym *Dzieł wszystkich M. Kopernika*¹⁹. Z kolei list *Do Feliksa Reicha. O monecie* po raz pierwszy opublikował po łacinie i w przekładzie polskim z licznymi opuszczeniami Jan Baranowski w wydany w 1854 r. dziele pt. *Nicolai Copernici Torunensis De revolutionibus orbium coelestium libri sex. Accedit G. Joachimi Rhetici Narratio prima, cum Copernici nonnullis scriptis minoribus nunc primum collectis ejusque vita*²⁰.

Z powodu nieznamości traktatów monetarnych M. Kopernika i zawartych w nich koncepcji, w połowie XIX w. w literaturze światowej pojawił się pogląd, że twórcą prawa wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez pieniądz gorszy jest T. Gresham, a nie Wielki Astronom. Autorem tego przewrotnego pomysłu był szkocki prawnik i ekonomista Henry Dunning Macleod, adwokat, dyrektor Royal British Bank w Londynie, a także wykładowca bankowości w University of Cambridge, King's College w Londynie oraz w Edynburgu i Aberdeen. Chociaż T. Gresham ani nie odkrył, ani nie zamieścił w żadnym swoim piśmie prawa wypierania pieniądza lepszego przez pieniądz gorszy, to jednak H.D. Macleod bezpodstawnie doszukał się powyższego prawa w piśmie królewskiego agenta do królowej Elżbiety I i ogłosił tę kłamliwą innowację w wielu swoich publikacjach. Szkocki prawnik i ekonomista propagował swój pomysł o prawie Greshama w 10 (a nie jak wcześniej uważano w 2–3) opracowaniach, czyli w większości swoich publikacji z zakresu teorii i historii ekonomii oraz teorii kredytu.

¹⁸ Zob. H. Schmauch, *Nicolaus Copernicus...*, op. cit., s. 4 i n.

¹⁹ Zob. M. Kopernik, *Rozmyślenia o reformie monetarnej Prus Królewskich (Meditata)*, przekład E.J. Głębieckiej, w: M. Kopernik, *Dzieła wszystkie*, t. 3..., op. cit., s. 101–107.

²⁰ Zob. *Nicolai Copernici Torunensis De revolutionibus orbium coelestium libri sex. Accedit G. Joachimi Rhetici Narratio prima, cum Copernici nonnullis scriptis minoribus nunc primum collectis ejusque vita* = Mikołaja Kopernika Toruńczyka *O obrotach ciał niebieskich ksiąg sześć. Nadto Opowiadanie pierwsze J. Joachima Retyka, różne pisma pomniejsze M. Kopernika teraz zebrane i życiorys jego, przedmowa tłumacza J. Baranowski, życiorys Mikołaja Kopernika J. Bartoszewicz, Typis Stanislai Strąbski* = W Drukarni Stanisława Strąbskiego, Varsaviae = Warszawa 1854, s. 590–591.

Po raz pierwszy o swoim niedorzecznym odkryciu H.D. Macleod napisał w książce pt. *The Elements of Political Economy* (1857). Stwierdził w niej, że nie kto inny, tylko T. Gresham zwrócił uwagę królowej Elżbiety I na stan waluty angielskiej zaraz po odziedziczeniu przez nią tronu. Zdaniem H.D. Macleoda należy uznać za wielką zasługę T. Greshama to, że pierwszy rozpoznał fundamentalne prawo rządzące obiegiem pieniądza. Prawo to głosi, że na rynku nie mogą krążyć jednocześnie dobre i złe pieniądze. Zjawisko to zostało zaobserwowane znacznie wcześniej, ale dopiero angielski kupiec i doradca królowej odkrył związek między faktami. Zależność ta ma ogromne znaczenie w nauce ekonomii. Jednocześnie zwrócił uwagę, że zjawisko to zauważył wcześniej Arystofanes. Emisja fałszywej monety w 407 r. p.n.e. doprowadziła do natychmiastowego zniknięcia starej, czystej waluty attyckiej. Wówczas obywatele całkowicie przestali używać dobrych pieniędzy. Posługiwali się natomiast świeżo wybitymi pieniędzmi miedzianymi. Pierwszą adnotację Arystofanesa o tym zjawisku wielokrotnie zauważali dziewiętnastowieczni twórcy angielscy. Ale to T. Gresham – jak twierdził H.D. Macleod – był pierwszym autorem, który dostrzegł przyczynowy charakter zjawiska wypierania dobrego pieniądza z obiegu. T. Gresham wystosował do królowej Elżbiety I list, w którym zawarł swoje wyjaśnienie przyczyn zniknięcia dobrych monet z obiegu. Wedle królewskiego doradcy finansowego zjawisko psucia pieniądza wywołał król Henryk VIII. Ponieważ pierwsze wyjaśnienie zjawiska wypierania z obiegu dobrych pieniędzy przez złe i zepsute pieniądze dał T. Gresham, to zdaniem autora *The Elements of Political Economy* sprawiedliwym zabiegiem jest nazwanie tego fundamentalnego prawa jego imieniem, czyli prawem Greshama dotyczącym waluty²¹.

W 1863 r. ukazało się dzieło H.D. Macleoda pt. *A Dictionary of Political Economy: Biographical, Bibliographical, Historical, and Practical*. W hasłach poświęconych Arystofanesowi oraz systemowi monetarnemu (*Coinage*) odnotował, że w komedii *Żaby* jej autor zawarł wzmiankę o zjawisku ekonomicznym, które mówi, że dobre i złe monety nie mogą cyrkulować razem, gdyż dobre są usuwane z rynku przez złe. Zjawisko to nurtowało wielu mężów stanu i finansistów, gdyż występowało wielokrotnie w róż-

²¹ Zob. H.D. Macleod, *The Elements of Political Economy*, Longman, Brown, Green, Longmans, and Roberts, London 1858, s. 475–477.

nych epokach i w wielu krajach. Najwcześniej związek zachodzący między zjawiskiem emisji złych pieniędzy a zanikiem dobrych odkrył T. Gresham, stąd autor cytowanego dzieła nazwał je „prawem waluty Greshama”. Prawo to H.D. Macleod uznał za podstawowe prawo ekonomii²².

Kilka lat później ukazała się dwutomowa praca H.D. Macleoda pt. *The Principles of Economical Philosophy* (1872–1875). Jej autor stał na stanowisku, że prawo to jest nie tylko fundamentalnym prawem ekonomii, lecz także prawem uniwersalnym, gdyż sprawdzało się we wszystkich wiekach i krajach. Głosi ono, że zły pieniądź wypiera z obiegu dobry pieniądź. Działo ono wówczas, gdy w danym kraju w obiegu krążyły dwa rodzaje monet o podobnej wartości nominalnej, ale o innej próbie, czyli innej stopie menniczej. Monety o najmniejszej wartości są używane, a te o większej wartości – gromadzone lub eksportowane. Ponieważ przyczyny tego zjawiska wyjaśnił dopiero T. Gresham, dlatego też H.D. Macleod nazwał je prawem waluty Greshama²³.

Swoje stanowisko na temat prawa monetarnego Greshama szkocki prawnik i ekonomista powtórzył w nieco zmienionej formie w późniejszych pracach z zakresu ogólnej teorii ekonomii oraz teorii pieniądza i kredytu, tj.: *The Theory and Practice of Banking* (1875)²⁴, *The Elements of Economics* (1881)²⁵, *Economics for Beginners* (1878)²⁶ oraz *The Theory of Credit* (2 Vol., 1889–1890)²⁷.

Tę kłamiwą ofensywę H.D. Macleoda na rzecz autorstwa prawa Greshama w 1864 r. zamierzał przerwać Ludwik Franciszek Michał Rajmund Wołowski, publikując w Paryżu rozprawę o pieniądzu Nicolasa Oresme'a i Mikołaja Kopernika. Wznawiając powyższe dzieła, polsko-francuski uczone zasugerował H.D. Macleodowi, że upowszechniana przez niego nazwa „prawo Greshama” pomija innych

twórców tego prawa²⁸. Na tę uwagę L.F.M.R. Wołowskiego szkocki prawnik i ekonomista odpowiedział dopiero po niemal trzydziestu latach. W książce pt. *Bimetallism* (1894) H.D. Macleod uznał, że skoro N. Oresme i M. Kopernik dostrzegli przed T. Greshamem zjawisko wypierania z obiegu monet lepszych przez gorsze, to prawo to należy nazwać „prawem Oresme'a, Kopernika i Greshama”. Mimo tej deklaracji w przywołanej książce częściej stosował nazwę „prawo Greshama”²⁹.

Kolejną pracą, w której szkocki badacz pozoro- wał modyfikację swoich poglądów na temat autorstwa prawa wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez zły, była książka pt. *The History of Economics* (1896). Zdaniem H.D. Macleoda fałszowanie monet osiągnęło apogeum we Francji za panowania Karola V Mądrego. O pomoc w uzdrowieniu monety zwrócił się do N. Oresme'a, późniejszego biskupa z Lisieux. Odpowiedzią na apel Karola V był raport z badań przedłożony ok. 1366 r. pt. *Traicte de la première invention des monnoies*. Traktat ten jest zaliczany do najwybitniejszych pozycji współczesnej literatury ekonomicznej oraz fundamentów nauki o monetaryzmie. Mimo to nie został on wówczas upubliczniony, gdyż pełnił rolę wewnętrznego raportu dla króla. W Polsce proceder psucia pieniądza osiągnął skrajny poziom w Prusach, które były częścią Królestwa Polskiego. Chcąc przywrócić wyższą wartość monetom pruskim, król Zygmunt I zwrócił się w 1526 r. o pomoc do M. Kopernika. W odpowiedzi Wielki Astronom przygotował mistrzowską rozprawę o pieniądzu, zatytułowaną *Moneta cudenda ratio*. Wedle H.D. Macleoda Renesansowy Uczony nie znał traktatu N. Oresme'a, który powstał 160 lat wcześniej, ale doszedł do identycznych ustaleń. Zdaniem szkockiego prawnika i ekonomisty M. Kopernik i N. Oresme zauważyli również, że złe i dobre monety nie mogą cyrkulować jednocześnie, gdyż zła moneta zawsze wypiera dobrą i w obiegu pozostaje tylko zła. W Anglii, zdaniem autora *The History of Economics*, wielu władców fałszowało monety, gdyż brakowało im N. Oresme'a i M. Kopernika, którzy znali prawdziwe przyczyny znikania dobrych monet z obiegu. Rozwią-

²² Zob. H.D. Macleod, *A Dictionary of Political Economy: Biographical, Bibliographical, Historical, and Practical*, Vol. 1, Longman, Green, Longman, Roberts, and Green, London 1863, s. 17–18, 450, 460–465 i 497–503.

²³ Zob. H.D. Macleod, *The Principles of Economical Philosophy*, Vol. 1, 2nd. ed., Longmans, Green, Reader, and Dyer, London 1872, s. 374–375.

²⁴ Zob. H.D. Macleod, *The Theory and Practice of Banking*, Vol. 1, 3rd. ed., Longmans, Green, Reader, and Dyer, London 1872, s. 119–120.

²⁵ Zob. H.D. Macleod, *The Elements of Economics*, Vol. 1, D. Appleton and Co., New York 1881, s. 270–272.

²⁶ Zob. H.D. Macleod, *Economics for Beginners*, Longmans, Green, and Co., London 1878, s. 64–65.

²⁷ Zob. H.D. Macleod, *The Theory of Credit*, Vol. 2, Part 1, Longmans, Green and Co., London and New York 1890, s. 435–436.

²⁸ Zob. L. Wołowski, *Introduction*, w: *Traicte de la première invention des monnoies de Nicole Oresme textes français et latin d'après les manuscrits de la bibliothèque impériale et traité de la monnaie de Copernic texte latin et traduction française*, publiés et annotés par M. L. Wołowski, Paris 1864, s. X i n.

²⁹ Zob. H.D. Macleod, *Bimetallism*, 2nd ed., Longmans, Green and Co., London and New York 1894, s. VII, VIII, 5–13 i 16–21.

zanie problemu zaproponował dopiero T. Gresham, który wykazał królowej Elżbiecie I, że wprowadzenie do obiegu monet fałszywych, na którym krąży moneta dobra, prowadzi do zaniku dobrej, gdyż te dwie monety nie mogą cyrkulować łącznie. W 1896 r. H.D. Macleod przyznał, że po dostrzeżeniu ważności tego prawa niemal 40 lat wcześniej, uznał za uzasadnione, aby w swojej wcześniejszej książce wprowadzić nazwę „prawo Greshama”. Sugestia ta – ku jego zadowoleniu – zyskała powszechną akceptację. Wkrótce po tym, tj. w 1864 r., ukazały się drukiem przygotowane przez L.F.M.R. Wołowskiego traktaty monetarne N. Oresme’a i M. Kopernika, które wyraźnie wskazywały, że ci wielcy myśliciele w pełni wyjaśnili istotę tego prawa odpowiednio 160 i 32 lata wcześniej niż T. Gresham. Wobec tego prawo to powinno zyskać nową nazwę, czyli „prawo Oresme’a, Kopernika i Greshama”. Mimo tej deklaracji w następnych partiach cytowanej książki jej autor częściej stosował nazwę „prawo Greshama”, któremu poświęcił odrębne hasło zatytułowane *Prawo Greshama*. Przypomniał w nim, że już w V w. p.n.e. zjawisko wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez gorszy odnotował Arystofanes, w swojej sztuce *Żaby*, niestety, grecki komediopisarz nie wyjaśnił przyczyn tego zjawiska. Pierwsi uczynili to dopiero znamienici myśliciele, tj. N. Oresme, M. Kopernik i T. Gresham³⁰.

Również w opracowaniu *The Law of Gresham, and Its Relation to Bimetallism* (1896) H.D. Macleod nie dokonał rewizji swoich poglądów. Stanowi ono kompilację i nieznaczne rozwinięcie rozważań z poprzednich prac. Niestety, jego deklaracja o poprawności nazwy „prawo Oresme’a, Kopernika i Greshama” była zwyczajnym pustostowiem, gdyż w publikacji tej tylko dwukrotnie użył tego określenia, natomiast preferowany od 1858 r. termin „prawo Greshama” – 19 razy. Z satysfakcją przyjął, że ta krótsza – wymyślona pierwotnie – nazwa jest powszechnie akceptowana, chociaż do odkrycia tej prawidłowości doszło przypadkowo w 1857 r. podczas opracowywania historii monetarnej w Anglii dla potrzeb książki *The Elements of Political Economy*³¹.

Pomimo, że H.D. Macleod bezpodstawnie przypisał T. Greshamowi autorstwo przywołanego



Thomas Gresham

prawa oraz nazwał to prawo jego imieniem, wielu ekonomistów z różnych stron świata bezrefleksyjnie powieliło jego herezje. Pomysł przyznania ojcostwa tego prawa T. Greshamowi przyjął się stosunkowo szybko i opanował światową literaturę ekonomiczną. Wymysł H.D. Macleoda powielali nie tylko mało znani autorzy, ale również wybitni, światowej sławy teoretycy i historycy ekonomii. Do tej grupy uczonych należeli m.in.: William Stanley Jevons, Francis Amasa Walker, Simon Newcomb, Robert Giffen, John Neville Keynes, Charles Gide, Enrico Barone, Irving Fisher, Karl Diehl, Gustav Karl Cassel, Alfred Marshall, Eli Filip Heckscher, Ludwig von Mises, Paul Anthony Samuelson, Frank Whitson Fetter, Joseph Alois Schumpeter, Friedrich August von Hayek, Milton Friedman i Anna Jacobson Schwartz, Dennis O. Flynn, George Selgin i wielu, wielu innych, zarówno w XX, jak i XXI w.

Mimo szerokiej akceptacji poglądu H.D. Macleoda na temat autorstwa T. Greshama w sformułowaniu prawa wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez pieniądz gorszy, w XX w. pewna grupa uczonych zaczęła podważać stanowisko szkockiego prawnika i ekonomisty. Niestety, badacze ci byli w mniejszości, a ponadto w dalszym ciągu posługiwali się terminem „prawo Greshama”.

Jednym z pierwszych adwersarzy poglądu H.D. Macleoda był francuski prawnik Jean-Yves Le

³⁰ Zob. H.D. Macleod, *The History of Economics*, Bliss, Sands and Co., London 1896, s. 37–39 oraz 448–449.

³¹ Zob. H.D. Macleod, *The Law of Gresham, and Its Relation to Bimetallism*, w: *Treasury Patronage the Great Impediment to Economy and Retrenchment*, 2nd ed., William Horsell, Aldine Chambers, Paternoster Row, London–Manchester–Bristol–Edinburgh 1896, s. 3–7.



Branchu. W 1934 r. wydał on szesnastowieczne rozprawy monetarne w zbiorze pt. *Écrits notables sur la monnaie, XVI^e siècle, de Copernic a Davanzati*, w którym uznał, że nieuzasadnione jest przyznawanie autorstwa tego prawa T. Greshamowi, tak jak sugerował H.D. Macleod, ale tym, którzy wcześniej zauważyli tę prawidłowość, czyli Arystofanesowi i M. Kopernikowi³².

W artykule *Gresham or Copernicus?* (1957) Bernard Ziffer twierdził stanowczo, że T. Gresham nie wyjaśnił zjawiska ucieczki dobrego pieniądza z kraju z powodu psucia pieniądza. Według niego pieniądź kruszcowy odpłynął z kraju z powodu pogorszenia warunków handlu. Zjawisko fałszowania pieniądza i znikania lepszego pieniądza z rynku zaobserwowali wcześniej Arystofanes, N. Oresme, a także M. Kopernik, a mimo to H.D. Macleod wymyślił nazwę „prawo Greshama”, która upowszechniła się w światowej literaturze ekonomicznej³³.

U Johna Kennetha Galbraitha „prawo Greshama” pojawiało się wielokrotnie. W monografii *Money: Whence It Came, Where It Went* (1975) wskazał, że starożytni i średniowieczni kupcy na starym kontynencie potrafili rozróżnić dobre i złe monety, a przy wymianie najpierw wydawali gorsze, dobre zaś zachowywali dla siebie. Wedle amerykańskiego ekonomisty tę prawidłowość dostrzegł T. Gresham, chociaż znacznie wcześniej obserwację tę poczynili N. Oresme i M. Kopernik. Wykazali oni, że dobre monety są tezauryzowane, a w obiegu zawsze pozostają złe monety³⁴.

³² Zob. J.-Y. Le Branchu, *Introduction*, w: J.-Y. Le Branchu, *Écrits notables sur la monnaie, XVI^e siècle, de Copernic a Davanzati*, Reproduits, traduits, d'après les éditions originales et les manuscrits Avec une introduction, des notices et des notes, Avant-propos de F. Simiand, t. 1, Librairie Félix Alcan, Paris 1934, s. LI-LXIV.

³³ Zob. B. Ziffer, *Gresham or Copernicus?*, „The Polish Review” 1957, No. 2–3, Vol. 2 (Spring–Summer), s. 71–77.

stają złe monety³⁴. Natomiast w pracy pt. *Economics in Perspective: A Critical History* (1987) J.K. Galbraith miał wątpliwości co do słuszności przypisywania autorstwa „prawa Greshama” angielskiemu kupcowi i bankierowi. Jego zdaniem T. Gresham nie jest twórcą tego prawa. Tendencję wypierania z obiegu dobrego pieniądza przez zły pieniądź 200 lat wcześniej opisał N. Oresme, dlatego też autorstwo tego prawa należy przypisać francuskiemu myślicielowi³⁵.

Mark Blaug wykazał się daleko idącą niekonsekwencją w opisywanej sprawie. W monumentalnej rozprawie pt. *Economic Theory in Retrospect* (1961) wyraźnie stwierdził, że T. Gresham nie jest autorem tzw. prawa Greshama, wobec czego błędem jest łączenie tego prawa z agentem królewskim. Oznacza to, że odkrycie tego prawa przypisano niewłaściwej osobie³⁶. Z kolei w książce pt. *The Methodology of Economics or How Economists Explain* (1980) M. Blaug zastanawiał się, czy „prawo Greshama”, podobnie jak wiele innych praw ekonomicznych, spełnia wymagania stawiane prawom naukowym³⁷.

W książce pt. *Die Geldlehre des Nicolaus Copernicus* (1978) niemiecki historyk i kopernikanista Erich Sommerfeld twierdził, że każdy ekonomista zna tzw. prawo Greshama, ale niewielu wie o jego wcześniejszym odkryciu przez M. Kopernika. E. Sommerfeld przeprowadził wnikliwe studia nad traktatami monetarnymi genialnego astronoma, a mimo to stosował nazwę „prawo Greshama”³⁸.

Również inni autorzy podkreślali, że M. Kopernik znacznie wcześniej niż T. Gresham sformułował prawidłowość wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez pieniądź gorszy, a mimo to stosowali nazwę wymyśloną przez H.D. Macleoda. Należeli do nich m.in.: Günter Hoell, Norman Davies oraz Oleg Igoriewicz Ananin.

Chociaż powyższa herezja uderzyła w polską ekonomię, to jednak polscy uczeni nie wystąpili ze

³⁴ Zob. J.K. Galbraith, *Pieniądź. Pochodzenie i losy*, przekład S. Rączkowski, wyd. 2, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Warszawa 2011, s. 32, 57, 69, 92, 121–122 i 163.

³⁵ Zob. J.K. Galbraith, *Ekonomia w perspektywie. Krytyka historyczna*, przekład W. i S. Rączkowsky, PWE, Warszawa 1992, s. 41–42 i 152.

³⁶ Zob. M. Blaug, *Teoria ekonomii. Ujęcie retrospektywne*, tłum. I. Budzyńska [et al.], Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994, s. 572.

³⁷ Zob. M. Blaug, *Metodologia ekonomii*, przekład B. Czarny przy współpracy A. Molisak, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995, s. 212 i 226.

³⁸ Zob. *Die Geldlehre des Nicolaus Copernicus. Texte, Übersetzungen, kommentare*, hrsg. von E. Sommerfeld, Akademie-Verlag, Berlin 1978, s. 7 i 141.

zdecydowaną krytyką poglądów głoszonych przez H.D. Macleoda i jego zwolenników. Przeciwnie wielu rodzimych teoretyków i autorów prac popularnonaukowych powielało termin „prawo Greshama” oraz przyznawało angielskiemu finansistcie pierwszeństwo odkrycia tej prawidłowości.

Nazwę „prawo Greshama” do polskiej literatury fachowej prawdopodobnie wprowadziła Zofia Daszyńska-Golińska. W książce pt. *Zarys ekonomii społecznej* (1898) stwierdziła, że zjawisko wypierania dobrych monet przez złe opisuje ogólne prawo gospodarcze, które zostało nazwane prawem Greshama, ponieważ zauważył je kanclerz (sic!) królowej Elżbiety I – T. Gresham³⁹.

Adam Szelągowski był pierwszym polskim uczonym, który odkrył, że prawo wypierania z obiegu pieniądza lepszego przez pieniądz gorszy pierwszy sformułował M. Kopernik. Niestety, w rozprawie pt. *Pieniądz i przewrót cen w XVI. i XVII. wieku w Polsce* (1902) akceptował termin wymyślony przez H.D. Macleoda⁴⁰.

Stanisław Głąbiński dobrze orientował się w sprawie dokonań M. Kopernika i T. Greshama w zakresie skutków psucia pieniądza. Mimo to w swoich licznych pracach, m.in.: *Ekonomika społeczna* (1905), *Wykład ekonomiki społecznej wraz z zarysem polityki ekonomicznej i historią ekonomiki* (1913) oraz *Historia ekonomiki* (1939), opowiadał się za nazwą „prawo Greshama”⁴¹.

Adam Alojzy Krzyżanowski wskazywał, że prawidłowość odpływu dobrych monet wraz z emisją złych była znana wcześniej Arystofanesowi, N. Oresme’owi i M. Kopernikowi, ale w swoich pracach, m.in.: *Prawo Greshama* (1909), *Pieniądz* (1911), *Nauka o pieniądzu i kredycie* (1919) oraz *Założenia ekonomiki* (1919), stosował nazwę „prawo Greshama”, gdyż wiąże się z twórcą giełdy londyńskiej, czyli T. Greshamem⁴².



Henry Dunning Macleod

W latach 1910–2018 termin „prawo Greshama” był stosunkowo często aprobowany również przez kolejne pokolenia polskich pisarzy. Należeli do nich m.in.: Stanisław Leon Pernaczyński, Zygmunt Straszewicz, Jan Stanisław Lewiński, Stanisław Świaniewicz, Józef Świdrowski, Włodzimierz Henryk Hagemejer, Andrzej Grodek, Oskar Ryszard Lange, Jerzy Fierich, anonimowy autor hasła *Gresham sir Thomas* w *Wielkiej encyklopedii powszechnej PWN* (1964), Andrzej Banach, Julian Popiel, Zbigniew Grabowski, Andrzej Siciński, Henryk Cywiński, autorzy hasła *Gresham Thomas* oraz *Greshama prawo* w *Wielkiej encyklopedii PWN* (2002), Wojciech Morawski, Artur Hołda oraz Adam Rybarski.

Innowacja terminologiczna H.D. Macleoda nie odpowiadała jednak uczonym, którzy wskazywali na zasługi Wielkiego Astronoma w odkryciu tego prawa. Uważali oni, że bardziej adekwatną nazwą tego prawa będzie rozwiązanie kompromisowe, czyli określenie „prawo Kopernika-Greshama”. Propozycja ta jest także niefortunna, gdyż wskazuje na współautorstwo angielskiego finansisty w sformułowaniu tego prawa. Za takim wyrażeniem opowiadali się m.in.: Janusz Górski, Józef Rutkowski, Zdzisław Lech Sadowski, Józef Śmigieński, Janusz Kisielewski, Andrzej Śliwowski, Eugeniusz Drabowski, Józef Nowicki, Zbigniew Czerwiński, Andrzej Kaźmierczak, Sta-

nowski, *Pieniądz*, Akademia Umiejętności – Nakładem Funduszu Włodzimierza Spasowicza – Skład Główny w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej, Kraków 1911, s. 21, A. Krzyżanowski, *Nauka o pieniądzu i kredycie. Zasad ekonomiki część trzecia*, Nakładem Księgarni J. Czernieckiego, Kraków [1922], s. 46–47, A. Krzyżanowski, *Założenia ekonomiki*, wyd. 2, Nakładem Księgarni S. A. Krzyżanowskiego, Kraków 1920, s. 129–135.

³⁹ Zob. Z. Daszyńska, *Zarys ekonomii społecznej*, Nakładem Księgarni Polskiej, Lwów 1898, s. 225.

⁴⁰ Zob. A. Szelągowski, *Pieniądz i przewrót...*, op. cit., s. 15.

⁴¹ Zob. S. Głąbiński, *Ekonomika społeczna...*, op. cit., s. 193; S. Głąbiński, *Wykład ekonomiki społecznej wraz z zarysem polityki ekonomicznej i historią ekonomiki*, Nakładem Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych – E. Wende i Ska, Lwów–Warszawa 1913, s. 277, 283 i 290 oraz S. Głąbiński, *Historia ekonomiki*, t. 1: *Historia ekonomiki powszechnej*, Nakładem Towarzystwa Naukowego we Lwowie z Zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego, Lwów 1939, s. 83–84.

⁴² Zob. A. Krzyżanowski, *Prawo Greshama*, w: *Sprawozdania z czynności i posiedzeń. Rok 1909*, Akademia Umiejętności w Krakowie, Kraków 1910, s. 13–18, A. Krzyżanowski, *Pieniądz*, Akademia Umiejętności – Nakładem Funduszu Włodzimierza Spasowicza – Skład Główny w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej, Kraków 1911, s. 21, A. Krzyżanowski, *Nauka o pieniądzu i kredycie. Zasad ekonomiki część trzecia*, Nakładem Księgarni J. Czernieckiego, Kraków [1922], s. 46–47, A. Krzyżanowski, *Założenia ekonomiki*, wyd. 2, Nakładem Księgarni S. A. Krzyżanowskiego, Kraków 1920, s. 129–135.

niśław Czaja, Tadeusz Orłowski, Bogdan Zawadzki, Sławomir Sztaba, Jarosław Boruszewski, Krzysztof Nowak-Posadzy, Marcin Gorazda oraz Jerzy Łazor.

Powyższe oznacza, że chociaż M. Kopernik, podobnie jak dużo wcześniej Arystofanes, i znacznie później Thomas Babington Macaulay, odkrył prawo ekonomiczne, które głosi, że w obiegu nie mogą krążyć jednocześnie dobre i złe monety, gdyż zła moneta zawsze wypiera dobrą, to jednak w światowej literaturze fachowej funkcjonuje ono od ponad 160 lat pod nazwą „prawo Greshama”. Należy ubolewać, że nikt z otoczenia Renesansowego Uczzonego nie zadbał o wydanie tych traktatów drukiem, dzięki czemu mogłyby dotrzeć one do późniejszych twórców myśli ekonomicznej. Mimo to warto pamiętać, że rozprawy te przetrwały do dzisiaj w postaci wiernych kopii, sporządzonych przez ówczesnych kopistów, działających w kręgu jego współpracowników i znajomych. Światową myśl ekonomiczną zdominowała natomiast powtórzona kilkadziesiąt razy przez Henry’ego Dunninga Macleoda kłamliwa teza o zauważeniu przez Thomasa Greshama zjawiska wypierania pieniądza dobrego przez zły na skutek psucia monet, a także termin „prawo Greshama”, które na trwałe zdomowało się w ekonomii światowej. Równie wadliwa jest nazwa „prawo Kopernika-Greshama”. Zadaniem polskich uczonych jest więc wyrugowanie tej herezji, zarówno z polskiej, jak i światowej literatury ekonomicznej oraz języka potocznego.

Bibliografia

- Acta Tomiciana. Tomus Quintus Epistolarum, legationum, responsorium, actionum et rerum gestarum Serenissimi Principis Sigismundi Primi, Regis Poloniae et Magni Ducis Lithuaniae, A.D. 1519–1521, per S. Górski, Sumpt. Bibliothecae Kornicensis, Posnaniae [1855].*
- Akta stanów Prus Królewskich*, t. 8: (1520–1526), wydali M. Biskup i I. Janosz-Biskupowa, Towarzystwo Naukowe w Toruniu (fontes 95) – Instytut Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, Warszawa–Toruń 1993.
- Bentkowski F., *Mikołaja Kopernika rozprawa o monecie*, „Pamiętnik Warszawski czyli Dziennik Nauk i Umiejętności” 1816, t. 5 (maj, czerwiec, lipiec, sierpień).
- Blaug M., *Metodologia ekonomii*, przekład B. Czarny przy współpracy A. Molisak, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995.
- Blaug M., *Teoria ekonomii. Ujęcie retrospektywne*, tłum. I. Budzyńska [et al.], Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994.
- Bujak F., *Traktat Kopernika o monecie*, w: *Mikołaj Kopernik*, księga zbiorowa wydana częściowo z zasiłku

Wydziału Nauki Ministerstwa W. R. i O. P., Lwowski Komitet Obchodu 450 Rocznicy Urodzin M. Kopernika – Książnica Polska Towarzystwa Naucz. Szkół Średnich i Wyższych, Lwów–Warszawa 1924.

- Cackowski S., *Mikołaj Kopernik jako ekonomista*, „Prace Popularnonaukowe”, nr 12, „Biblioteczka Kopernikańska”, nr 4, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Toruń 1970.
- Czarkowski J., *450 lat krakowskiej myśli ekonomicznej*, „Problemy Ekonomiczne” 1964, maj.
- Daszyńska Z., *Zarys ekonomii społecznej*, Nakładem Księgarni Polskiej, Lwów 1898.
- Die Geldlehre des Nicolaus Copernicus. Texte, Übersetzungen, kommentare*, hrsg. von E. Sommerfeld, Akademie-Verlag, Berlin 1978.
- Galbraith J.K., *Ekonomia w perspektywie. Krytyka historyczna*, przekład W. i S. Rączkowsky, PWE, Warszawa 1992.
- Galbraith J.K., *Pieniądz. Pochodzenie i losy*, przekład S. Rączkowski, wyd. 2, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Warszawa 2011.
- Głębiński S., *Ekonomika społeczna*, t. 1: *Ogólne zasady i historia ekonomiki społecznej*, Z Drukarni Pillera i Ski, Lwów 1905.
- Głębiński S., *Historia ekonomiki*, t. 1: *Historia ekonomiki powszechnej*, Nakładem Towarzystwa Naukowego we Lwowie z Zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego, Lwów 1939.
- Głębiński S., *Wykład ekonomiki społecznej wraz z zarysem polityki ekonomicznej i historią ekonomiki*, Nakładem Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych – E. Wende i Ska, Lwów–Warszawa 1913.
- Grażynski M., *Memorjał Mikołaja Kopernika o zasadach bicia monety*, „Przegląd Współczesny” 1923, nr 14.
- Gumowski M., *Moneta złota w Polsce średniowiecznej*, „Rozprawy Akademii Umiejętności w Krakowie” 1912, t. 55.
- Gumowski M., *Poglądy Mikołaja Kopernika w sprawach monetarnych*, w: *Kopernik na Warmii. Życie i działalność publiczna – działalność naukowa – środowisko – kalendarium*, Stacja Naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego (Instytut Mazurski) – Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 1973.
- Kopernik M., *Dzieła wszystkie*, t. 3: *Pisma pomniejszych*, PAN – Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2007.
- Kopernik M., *Monete cudende ratio*, Biblioteka Czartoryskich, Kraków, rps 259.
- Krzyżanowski A., *Nauka o pieniądzu i kredycie. Zasad ekonomiki część trzecia*, Nakładem Księgarni J. Czerwieckiego, Kraków [1922].

- Krzyżanowski A., *Pieniądz*, Akademia Umiejętności – Nakładem Funduszu Włodzimierza Spasowicza – Skład Główny w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej, Kraków 1911.
- Krzyżanowski A., *Prawo Greshama*, w: *Sprawozdania z czynności i posiedzeń. Rok 1909*, Akademia Umiejętności w Krakowie, Kraków 1910.
- Krzyżanowski A., *Założenia ekonomiki*, wyd. 2, Nakładem Księgarni S. A. Krzyżanowskiego, Kraków 1920.
- Le Branchu J.-Y., *Introduction*, w: J.-Y. Le Branchu, *Écrits notables sur la monnaie, XVIe siècle, de Copernic a Davanzati*, Reproduits, traduits, d'après les éditions originales et les manuscrits Avec une introduction, des notices et des notes, Avant-propos de F. Simiand, t. 1, Librairie Félix Alcan, Paris 1934, s. LI–LXIV.
- Leśniewska G., *Grudziądz z Kopernikiem w tle*, Urząd Miejski w Grudziądzu, Grudziądz 2022.
- Lewiński J.S., *Kopernik jako ekonomista*, „*Ekonomista*” 1924, t. 1.
- Macleod H.D., *A Dictionary of Political Economy: Biographical, Bibliographical, Historical, and Practical*, Vol. 1, Longman, Green, Longman, Roberts, and Green, London 1863.
- Macleod H.D., *Bimetallism*, 2nd ed., Longmans, Green and Co., London and New York 1894.
- Macleod H.D., *Economics for Beginners*, Longmans, Green, and Co., London 1878.
- Macleod H.D., *The Elements of Economics*, Vol. 1, D. Appleton and Co., New York 1881.
- Macleod H.D., *The Elements of Political Economy*, Longman, Brown, Green, Longmans, and Roberts, London 1858.
- Macleod H.D., *The History of Economics*, Bliss, Sands and Co., London 1896.
- Macleod H.D., *The Law of Gresham, and Its Relation to Bimetallism*, w: *Treasury Patronage the Great Impediment to Economy and Retrenchment*, 2nd ed., William Horsell, Aldine Chambers, Paternoster Row, London–Manchester–Bristol–Edinburgh 1896.
- Macleod H.D., *The Principles of Economical Philosophy*, Vol. 1, 2nd. ed., Longmans, Green, Reader, and Dyer, London 1872.
- Macleod H.D., *The Theory and Practice of Banking*, Vol. 1, 3rd. ed., Longmans, Green, Reader, and Dyer, London 1872.
- Macleod H.D., *The Theory of Credit*, Vol. 2, Part 1, Longmans, Green and Co., London and New York 1890.
- Mikołaja Kopernika rozprawy o monecie i inne pisma ekonomiczne oraz J.L. Decjusza traktat o biciu monety, oprac. J. Dmochowski, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa [1923].
- Nicolai Copernici Torunensis *De revolutionibus orbium coelestium libri sex*. Accedit G. Joachimi Rheticus Narratio prima, cum Copernici nonnullis scriptis minoribus nunc primum collectis ejusque vita = Mikołaja Kopernika Toruńczyka *O obrotach ciał niebieskich ksiąg sześć. Nadto Opowiadanie pierwsze J. Joachima Retyka, różne pisma pomniejsze M. Kopernika teraz zebrane i życiorys jego*, przedmowa tłumacza J. Baranowski, życiorys Mikołaja Kopernika J. Bartoszewicz, Typis Stanisłai Strąbski = W Drukarni Stanisława Strąbskiego, Varsaviae = Warszawa 1854.
- Pernaczyński S.L., *Mikołaj Kopernik ekonomista*, „*Ruch Chrześcijańsko-Społeczny. Miesięcznik poświęcony sprawom społecznym i gospodarczym*” 1910, nr 5 (luty), Rok 8.
- Polkowski I., *Żywot Mikołaja Kopernika*, Drukiem J.B. Langiego, Gniezno 1873.
- Schmauch H., *Nicolaus Copernicus und die preussische Münzreform*, Krausenecks Verlag und Buchdruckerei, Gumbinnen 1940.
- Schützen C., *Historia rerum Prussicarum*, Zerbst 1592.
- Sikorski J., *Mikołaj Kopernik na Warmii. Chronologia życia i działalności*, Towarzystwo Naukowe i Instytut Północny im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 2023.
- Spicilegium Copernicanum. Festschrift des historischen Vereins für Ermland zum vierhundertsten Geburtstage des ermländischen Domherrn Nicolaus Kopernikus*, hrsg. von F. Hipler, Verlag von Eduard Peter, Braunsberg 1873.
- Szalkiewicz W.K., *Kopernik i pieniądze. Ziemię ruszył, a i pieniądzem efektywnie obracał*, Agencja Usług Medialnych, Olsztyn 2012.
- Szelągowski A., *Pieniądz i przewrót cen w wieku XVI i XVII. wieku w Polsce*, Nakładem Towarzystwa Wydawniczego, Lwów 1902.
- Wolowski L., *Introduction*, w: *Traictie de la première invention des monnoies de Nicole Oresme textes français et latin d'après les manuscrits de la bibliothèque impériale et traité de la monnaie de Copernic texte latin et traduction française*, publiés et annotés par M. L. Wolowski, Paris 1864.
- Ziffer B., *Gresham or Copernicus?*, „*The Polish Review*” 1957, No. 2–3, Vol. 2 (Spring–Summer).

Prof. dr hab. Mirosław Bochenek — Katedra Ekonomii na Wydziale Nauk Ekonomicznych i Zarządzania UMK, autor obszernej (670 s.) książki „*Mikołaj Kopernik czy Thomas Gresham? O historii i dysputach wokół prawa gorszego pieniądza*” (2023)



Kocham Frankonię

Z prof. Helmutem Flacheneckerem – wieloletnim członkiem Rady Naukowej Polskiej Misji Historycznej oraz jej opiekunem na Uniwersytecie w Würzburgu – rozmawia dr Renata Skowrońska

– Jest Pan uznanym i szanowanym historykiem, chętnie podejmującym tematy związane z religijnością, miastami, życiem codziennym w średniowieczu, specjalizującym się w historii regionalnej Frankonii na przestrzeni wieków. Kiedy zaczął Pan myśleć o studiowaniu historii? Jakie miał Pan – jako nastolatek – wyobrażenie o swojej przyszłości zawodowej?

– Zainteresowanie historią obudził we mnie mój dziadek, który snuł różne ciekawe opowieści o przeszłości, wspominając przy tym, że jego marzeniem było studiowanie tego kierunku. Realizacja tego marzenia była niestety niemożliwa – pochodził ze skromnej rodziny i wcześniej musiał podjąć pracę zarobkową. Do tego stopnia zaraził mnie jednak swoją sympatią dla historii, że w wieku 16 lat skorzystałem z zaproszenia Archiwum Miejskiego w ro-

dzinnym mieście Norymberdze do zapoznania się, w ramach tak zwanych Dni Otwartych Dni, z jego zasobem i działalnością. Przez tydzień miałem wielką przyjemność – jako jeden z nielicznych zainteresowanych – być oprowadzany przez poszczególnych archiwistów po wszystkich działach tej instytucji. Po tym doświadczeniu byłem już pewny, że chcę studiować historię i pracować w archiwum. Początkowo chciałem studiować historię i geologię. W tym drugim kierunku widziałem możliwość pogłębienia wiedzy o dziejach Ziemi i procesie jej kształtowania, dowiedzieć się więcej na temat tworzenia się skał, które miałem okazję dotykać jako dziecko, przeglądając się pracy ojca, który był przedstawicielem handlowym firmy oferującej materiały budowlane. Okazało się jednak, że geologia jest samodzielnym kierunkiem i nie ma możliwości włączenia jej do programu studiów specjalności nauczycielskiej.

Przy wyborze trzech obowiązkowych dla przyszłych nauczycieli kierunków zdecydowałem się więc na historię, geografę oraz germanistykę, do których w następnych latach doszła jeszcze filozofia. Dość szybko było dla mnie jasne, że najbardziej interesuje mnie historia, szczególnie historia średniowiecza. Okres studiów na Uniwersytecie Fryderyka i Aleksandra w Erlangen i Norymberdze oraz następnie na Katolickim Uniwersytecie w Eichstätt, na który zawędrowałem za moją przyszłą żoną studiującą na tej uczelni pedagogikę religijną, utwierdziły mnie w tym wyborze. Ostatecznie jestem pierwszą osobą w mojej rodzinie, która ukończyła gimnazjum [RS: w Niemczech to szkoła średnia przygotowująca do studiów zakończona egzaminem maturalnym], a następnie kontynuowała edukację na poziomie uniwersyteckim. Z uniwersytetem w Eichstätt związane są także początki mojej samodzielnej pracy naukowej. W 1988 r. obroniłem na nim pracę doktorską na temat dziejów tego miasta od XIII do XVI wieku. Powstała tam też moja praca habilitacyjna o iryjskich klasztorach benedyktynów na terenach dzisiejszych południowych Niemiec w późnym średniowieczu (1995 r.).

– Jest Pan kierownikiem Katedry Historii Regionalnej Frankonii na Uniwersytecie Juliusza i Maksymiliana w Würzburgu. Jakie ścieżki zaprowadziły Pana – regionalistę – do współpracy z historykami z innych krajów?

– Myśląc dziś o mojej drodze zawodowej, jestem w zasadzie zaskoczony, że w tak często otwierały się przede mną możliwości kontaktów z naukowcami z zagranicy, z których wiele zaowocowało współpracą przy różnych interesujących projektach. Tym bardziej jest to zaskakujące, że moje zainteresowania badawcze skupione były przecież przede wszystkim, szczególnie początkowo, na historii Frankonii w średniowieczu. Miałem więc – i mam nadal – przyjemność poznawać wielu polskich naukowców, szczególnie często mam okazję spotykać się z historykami z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Z drugiej strony udało mi się również w ciągu minionych dziesięcioleci nawiązać i rozwijać ciekawe kontakty naukowe w Stanach Zjednoczonych. Te możliwości otworzyła przede mną praca w getyńskim Instytucie Historycznym Maxa Plancka, w którym od 1997 roku byłem zatrudniony na stanowisku kierownika naukowego projektu badawczego *Germania Sacra*. Do dziś przyjaźnię się

i współpracuję naukowo z historykami poznanymi podczas organizowanych w Getyndze międzynarodowych konferencji, wykładów i spotkań. Starłem się te kontakty pielęgnować także po uzyskaniu w 2002 roku stanowiska kierownika Katedry Historii Regionalnej Frankonii w Würzburgu. Na początku pracy na Uniwersytecie Juliusza i Maksymiliana zainteresowania badawcze „pchnęły” mnie na kilka lat w kierunku Tyrolu Południowego – jako niemiecko-włoskiej strefy kontaktu, z ludnością różniącą się kulturowo, posługującą się różnymi językami i pielęgnującą odmienne zwyczaje. Pozostawałem jednak w stałym kontakcie z historykami polskimi.

W 2005 roku zostałem członkiem ukonstytuowanej wówczas po raz pierwszy Rady Naukowej Polskiej Misji Historycznej, placówki działającej wówczas przy Instytucie Historycznym Maxa Plancka. To może się wydawać trochę dziwne, że historyk-regionalista koncentrujący się na średniowieczu i Frankonii spogląda w kierunku innych krajów, głównie Polski i Stanów Zjednoczonych. Moja rodzina pochodzi z frankońskiego miasta Norymberga, urodziłem się w nim, nie mam rodzinnych powiązań z innymi regionami Niemiec lub Europy. Jestem Frankończykiem i kocham Frankonię. Kocham Frankonię także, jeśli czasem na nią spoglądam z daleka. Uważam jednak – i to jest moja filozofia życiowa – że trzeba czasem wyjść poza swoje otoczenie, być otwartym na inne kultury, że nie wolno być aroganckim wobec innych społeczeństw. I można wówczas liczyć na to, że druga strony również będzie otwarta i chętnie nawiąże kontakt. Z doświadczenia takich spotkań można wynieść nowe spojrzenie na otaczającą nas rzeczywistość. W odniesieniu do uczelni w Polsce i Stanach Zjednoczonych inspirujące dla mnie są na przykład obserwacje na temat sposobu ich funkcjonowania, mentalności ludzi na nich pracujących i studiujących oraz wzajemnych relacji między nimi.

Miałem i mam okazję prowadzić zajęcia ze studentami w Polsce oraz Stanach Zjednoczonych i te doświadczenia wpłynęły w istotnym stopniu na metodykę moich zajęć, także w Würzburgu. Dzięki nim staram się w dużo większym stopniu wprowadzać pogodną atmosferę, prowokować ogólną dyskusję oraz inicjować pracę w grupach. Ważne dla mnie jest także rozwijanie współpracy dydaktycznej z zagranicznymi uczelniami. Na przykład od trzech lat prowadzone są online wspólne seminaria na Uniwersytecie w Würzburgu oraz Flagler College w St. Augustine na Florydzie, w konsekwencji któ-

rych studenci mogą również kontynuować naukę na partnerskiej uczelni. Dla mnie najważniejsze jest w tym programie, że młodzi ludzie z różnych krajów dyskutują ze sobą, uczą się wspólnie myśleć w sposób naukowy, poznają swoje poglądy i siebie nawzajem. Podsumowując moją ponad 20-letnią działalność na uniwersytecie w Würzburgu: jest to chyba najbardziej pozytywne, co mi się tu udało stworzyć. Nie zmienię świata, ale udało mi się jednak niektórym osobom dać możliwość poznania innego kraju i jego mieszkańców. Co one z tym robią, już nie zależy oczywiście ode mnie. Podobne znacznie ma według mnie działalność Polskiej Misji Historycznej. Do Niemiec przyjeżdżają polscy naukowcy i mają sposobność – po raz pierwszy lub kolejny – zobaczyć „na własne oczy” ten kraj, z wszystkimi jego zaletami i wadami. Naukowy charakter tych wizyt ma oczywiście decydujące znaczenie, w większym stopniu należy jednak według mnie brać pod uwagę różne aspekty poznawania się kulturowego.

– Podróżuje Pan naukowo do wielu krajów, wygłaszając publiczne wykłady oraz prowadząc zajęcia dla studentów. Na jakich tematach skupia się Pan poza granicami Niemiec? W jakim stopniu odzwierciedlają one zainteresowania gospodarzy i ich oczekiwania w stosunku do Pana, historyka z Niemiec?

– Pierwsze zaproszenie do Stanów Zjednoczonych – na Uniwersytet w miejscowości Notre Dame w stanie Indiana zamieszkałej licznie przez rodziny imigranckie pochodzące z Irlandii – związane było z tematem mojej pracy habilitacyjnej traktującej o klasztorach iryjskich. Ta tematyka była w naturalny sposób dla wielu tamtejszych studentów i wykładowców interesująca. W następnych latach i dziesięcioleciach podejmowałem różne zagadnienia, starając się przy tym znajdować tematy, które odnoszą się do tzw. krajobrazu kulturowego, omawiają zjawiska wspólne w dziejach Europy i Stanów Zjednoczonych. Zawsze interesowały mnie tematy uniwersalne: w jaki sposób człowiek formuje swoje otoczenie materialne i niematerialne, w jaki sposób kształtują się zwyczaje, religie, architektura itp. Mówiąc o Frankonii w Stanach, nie można się spodziewać, że słuchacz już kiedyś słyszał o tym regionie. W ramach omawiania różnych zagadnień z zakresu krajobrazu kulturowego można jednak mu go przybliżyć.

Szczególnie interesująca była dla mnie zawsze historia religijności w średniowieczu. W kontaktach

z polskimi naukowcami udaje mi się nad nimi dalej pracować, w korzystając z inspirującej międzynarodowej wymiany naukowej. Pierwszy wykład, który wygłosiłem na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, dotyczył wspomnianego wcześniej projektu *Germania Sacra*. Z przyjemnością zaangażowałem się następnie w pracę prowadzonej w tym czasie przez prof. Janusza Tandackiego, aktualnie przez prof. Krzysztofa Kopińskiego, Niemiecko-Polskiej Grupy Dyskusyjnej do spraw Edycji Źródeł oraz wsparłem inicjatywę prof. Andrzeja Radziwińskiego publikacji prac dotyczących dziejów Kościoła w Prusach w serii *Prussia Sacra*. Od 2014 roku jestem kierownikiem Centrum Badawczego Zakon Niemiecki (Forschungsstelle Deutscher Orden) przy Uniwersytecie w Würzburgu. Współpraca z historykami toruńskimi stanowi niezbędny element działalności tej placówki. W naturalny sposób rozwinął się więc kontakt z prof. Romanem Czają i prof. Krzysztofem Kwiatkowskim oraz środowiskiem związanym z cyklicznie organizowanymi konferencjami *Ordines Militares*, który następnie zaowocował wspólnym z prof. Czają projektem badawczym na temat dziejów miast w średniowieczu.

– Czy Pana kontakty innymi krajami – między innymi z Polską – rozwijają się również na gruncie prywatnym? Kim jest Pan w Niemczech, kim za granicą? Frankończykiem, Niemcem?

– Z Polską i Polakami mam prywatnie kontakt od pierwszych lat 90. poprzedniego wieku, gdy pierwszy raz wraz z żoną skorzystaliśmy z zaproszenia proboszcza naszej parafii do odwiedzenia zaprzyjaźnionej parafii w Radomiu. Zostaliśmy zakwaterowani u polskiej rodziny i w ten sposób bezpośrednio wprowadzeni w życie i zwyczaje naszych gospodarzy. Zawartą wówczas przyjaźń pielęgnujemy do dziś, odwiedzając się regularnie oraz zwiedzając przy okazji najróżniejsze regiony Polski i nie tylko Polski. Zdobytą w ten sposób wiedzę o naszym wschodnim sąsiedzie próbuję przekazywać moim studentom, organizując wycieczki naukowe do Torunia i Wrocławia – starając się im w ten sposób „otworzyć im oczy” na inne kultury. Wybraliśmy się również dalej, do Kaliningradu. Doświadczenie tego miasta i regionu wywołało interesujące komentarze studentów w drodze powrotnej, że przekraczając granicę Federacji Rosyjskiej i Polski, wracamy do Europy. Zawsze interesowały mnie inne kraje, ich kultura. Cieszę się, że mam okazję

poznawać Polskę, podróżować w Europie i poza jej granicami.

Zawsze zastanawiałem się nad pojęciem narodu. Mam oczywiście niemiecki paszport, płacę podatki w Niemczech, podlegam niemieckiemu ustawodawstwu. Moja tożsamość jest przy tym jednoznaczna i niezachwiana. Jestem norymberszym kibicującym tamtejszej drużynie piłkarskiej, Frankończykiem uważającym kielbasę z Środkowej Frankonii za najlepszą. W Stanach Zjednoczonych pojęcie Frankonia jest mało znane. W tym kraju mogę więc przedstawiać się jako Niemiec, co brzmi bardzo oficjalnie, lub ewentualnie jako Bawarczyk,

ten region jest również dość dobrze znany. Docho-
dzi więc do zabawnych dla mnie sytuacji, że żeby
ułatwić rozmówcy określenie kraju mojego pocho-
dzenia przedstawiam się jako Bawarczyk. Czyli Fran-
kończyk mówi, że jest Bawarczykiem. Za oceanem
jestem w związku z tym raczej Bawarczykiem niż
Niemcem. W Polsce jestem Frankończykiem.

- Dziękuję serdecznie za interesującą rozmowę.

Würzburg, 20 września 2023 r. (autoryzowana
14 listopada 2023 r.)

zdjęcia nadesłane



Lubow Żwanko

Polskie ślady we współczesnym Charkowie

W przestrzeni miejskiej Charkowa – jednego z największych miast i czołowych ośrodków kulturalno-naukowych Ukrainy – ku czci Polaków, jak i pamięci niektórych wydarzeń historycznych z nimi związanymi wzniesiono 11 tablic pamiątkowych (schemat 1).

Wśród upamiętnianych osób są wybitni Polacy, kojarzeni przez wielu jako symbole Polski: Adam Mickiewicz, Henryk Siemiradzki, Józef Piłsudski. Inną grupę stanowią mieszkający w Charkowie Polacy, którzy swoją pracę w XIX i na początku XX wieku

przyczynili się do tego, by świat charkowian stał się wygodniejszy, bezpieczniejszy i piękniejszy. Tablica ku pamięci polskich oficerów zamordowanych przez NKWD pozwoliła wpisać miasto na listę pamięci jednej z najtragiczniejszych kart historii Polski, znanej jako zbrodnia katyńska.

Odstąpienie kolejnych dwóch tablic – pamięci wybitnych polskich naukowców w dziedzinie nauki weterynaryjnej: Karola Wiśniewskiego, Jerzego Witowicza, Edwarda Ostrowskiego, Napoleona Halickiego, Jerzego Poluty, Leona Cienkowskiego, Jana Gordziałkowskiego, Roberta Kunickiego oraz pamięci dyktatora powstania styczniowego Romualda Traugutta – pokrzyżowała wojna, którą Federacja Rosyjska w sposób barbarzyński rozpoczęła przeciwko Ukrainie 24 lutego 2022 roku...

Polski Charków

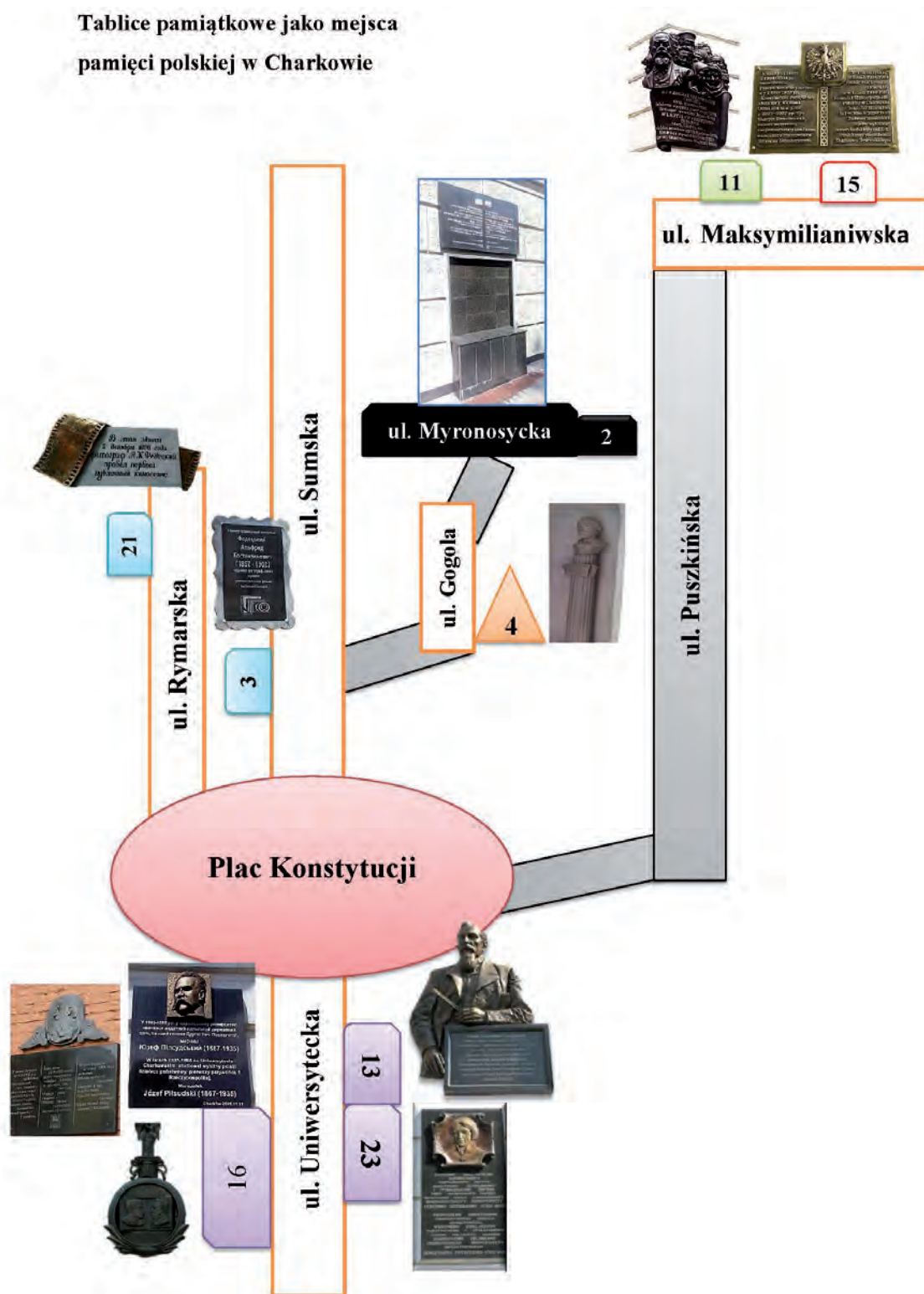
Pojawienie się w XIX wieku Polaków w Charkowie i dalsze „zakorzenienie” w miejscowej wspólnocie uwarunkowane były wieloma okolicznościami, z których najpoważniejszą pozostaje utrata niepodległości ojczyzny. Z przymusu lub dobrowolnie, czasowo albo na zawsze Polacy wiązali swoje losy z największym miastem Ukrainy Słobodzkiej w nadziei, że uda się tu przeżyć trudne czasy lub zrealizować swoje plany życiowe. Nieustający wzrost ich liczebności daje świadectwo temu, że miasto, zaczynając od pierwszych z nim kontaktów, stało się dla Polaków „przestrzenią serdecznego ciepła”, miejscem wzajemnej tolerancji, a jednocześnie miejscem pozwalającym na zachowanie swojej tożsamości, swoich tradycji i swojego ducha.

Ówczesni Polacy zrobili dla miasta tak wiele ważnych rzeczy, że należy mówić o wyjątkowym zjawisku – „polskim Charkowie” jako wspólnym przykładzie kontaktów polsko-ukraińskich w okresie zaborów. Niektórzy z nich zostali upamiętnieni w nazwach ulic oraz umieszczonych w przestrzeni miejskiej tablic (Żwanko 2022: 73).



Tablica pamiątkowa poświęcona spotkaniu Piotra Hulaka-Artemowskiego z Adamem Mickiewiczem (fot. Lubow Żwanko)

Tablice pamiątkowe jako miejsca pamięci polskiej w Charkowie



Adam Mickiewicz w gościnie

W grudniu 1825 r. w Charkowie gościł jeden z najwybitniejszych poetów polskich – Adam Mickiewicz. Tutaj poznał pisarza ukraińskiego, zagorzałego miłośnika kultury polskiej, Piotra Hułaka-Artemowskiego. Według różnych informacji Mickiewicz spędził w mieście od dwóch do trzech tygodni, spotykał się ze swoimi bliskimi przyjaciółmi z Wil-

na – profesorem prawa na uniwersytecie Ignacym Daniłowiczem i wykładowcą mineralogii Janem Krynickim. Poeta mieszkał „pod gościnnym dachem profesora Ignacego Daniłowicza”. To właśnie Daniłowicz zapoznał Mickiewicza ze swoim przyjacielem profesorem, poetą i tłumaczem poezji polskiej Piotrem Hułakiem-Artemowskim. Ten ostatni w latach 1818–1831 prowadził na Uniwersytecie Charkow-

skim kurs języka polskiego, założyłwszy pierwszą katedrę języka polskiego na uczelniach wyższych Imperium Rosyjskiego.

23 grudnia 1998 r., z okazji obchodów 200. rocznicy urodzin Adama Mickiewicza (1798–1855), w Charkowie przygotowano tablicę na pamiątkę pobytu poety w mieście. Uroczyste odsłonięcie tablicy stało się możliwe dzięki środkom finansowym Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej. Wydarzenie to zapoczątkowało umieszczanie znaków pamięci poświęconych wybitnym działaczom pochodzącym z Polski i związanym w jakiś sposób z Charkowem. Symbolizm tablicy jest dość oczywisty: przyjaźń poetów jako przyjaźń odrodzonej Polski i odrodzonej Ukrainy, która w 1991 roku uzyskała swoją niepodległość. Warto podkreślić, że Polska była pierwszym krajem na świecie, który uznał ten fakt: 2 grudnia 1991 r. (Żwanko 2020: 102).

Miejsca pamięci ofiar zbrodni katyńskiej

Polscy jeńcy wojenni wzięci do niewoli we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną zostali następnie, wbrew konwencjom międzynarodowym, przekazani NKWD, które zgromadziło ich w specjalnie utworzonym systemie obozów dla jeńców polskich. Większość oficerów skoncentrowano w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i w Starobielsku (Żwanko, Kibkało, Jaśkowski, Sobolewski 2023: 50). Z tego ostatniego wywieziono ich do Charkowa, gdzie od początku kwietnia do połowy maja 1940 r. w gmachu NKWD mordowano, wywożono do lasu pod Patichatkami i zakopywano. Obecnie w tym miejscu znajduje się Cmentarz Ofiar Totalitaryzmu w Charkowie, wzniesiony w latach 1999–2000 według projektu Zdzisława Pidka, Andrzeja Sołtygi, Wiesława i Jacka Synakiewiczów (Polskie cmentarze wojenne). W marcu 2022 r. armia rosyjska, nie mając

możliwości zdobycia Charkowa, zaatakowała miasto z powietrza. Cmentarz Ofiar Totalitaryzmu został zbombardowany. Zniszczono tablice z nazwiskami polskich oficerów, na krzyżach widoczne są ślady po odłamkach, na cmentarzu – leje po bombach.

2 listopada 2008 r. na budynku byłego Charkowskiego Obwodowego Zarządu NKWD została odsłonięta tablica pamiątkowa ku czci oficerów i generałów Wojska Polskiego. Inicjatorem umieszczenia tablicy był Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie przy wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wśród uczestników uroczystości był znany reżyser Andrzej Wajda, syn zamordowanego kapitana piechoty Jakuba Wajdy. Na tablicy został umieszczony następujący tekst: „W tym miejscu mieścił się Zarząd Obwodowy NKWD i jego więzienie wewnętrzne. Wiosną 1940 roku na mocy decyzji najwyższych władz Związku Sowieckiego NKWD zamordowało tu 3809 oficerów Wojska Polskiego z obozu starobielskiego oraz ok. 500 obywateli polskich przywiezionych z innych więzień NKWD. Cześć ich pamięci. Rodziny z Polski i naród ukraiński. 2008” (Żwanko, Kibkało, Jaśkowski, Sobolewski 2023: 55–56).

Dwie tablice dla jednego fotografa

Alfred-Lucjan Fedeki (1857–1902) był znanym fotografem, autorem pierwszego filmu dokumentalnego Imperium Rosyjskiego, uhonorowanym złotym medalem na Wystawie Światowej w Brukseli (1888). Charkowski okres życia (1886–1902) to rozkwit talentu fotografa i dokumentalisty filmowego. Przeprowadził on pierwszy na Ukrainie publiczny seans filmowy (1896) (Żwanko 2019: 171–174.).

Dla charkowskich miłośników sztuki fotografii Fedeki pozostaje jednym z ulubionych fotografów przeszłości i niemal corocznie z wielkim sukcesem odbywają się wystawy jego dzieł. Z tego powodu



Polska ściana ołtarzowa z nazwiskami na Cmentarzu Ofiar Totalitaryzmu w Charkowie (fot. Lubow Żwanko)

w latach 2010 i 2013 ku jego czci odsłonięto dwie tablice pamiątkowe. Pierwsza była umieszczona na budynku filharmonii w Charkowie przy ul. Rymarskiej 21 (rzeźbiarz Aleksander Ridny). Na tablicy w języku rosyjskim umieszczono następujący tekst: „W tym budynku 2 grudnia 1896 roku fotograf A. K. Feddecki zorganizował pierwszy publiczny pokaz filmowy”.

Kolejną tablicę umieszczono na budynku przy ul. Sumskiej 3. W tym gmachu, na początku centralnej ulicy Charkowa, Feddecki mieszkał z rodziną, a na parterze znajdowało się jedno z najlepszych studiów fotograficznych Imperium Rosyjskiego. Na tablicy w języku ukraińskim umieszczono następujący tekst: „W tym budynku mieszkał i pracował Konstantyn Alfredowicz Feddecki (1857–1902) – słynny fotograf i autor pierwszego filmu dokumentalnego Imperium Rosyjskiego”. Jednym z inicjatorów jej odsłonięcia był ówczesny Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie Jan Granat.

Upamiętnienie placówek dyplomatycznych

W latach 1921–1937 w Charkowie funkcjonowała polska misja dyplomatyczna: Poselstwo (1921–1924), Konsulat Generalny (1923–1934), Konsulat (1934–1937). Od roku 1924 jej siedziba mieściła się w gmachu przy ul. Rakowskiego 15 (obecnie – Maksymilianiwska 15). Tadeusz Brzeziński (1896–1990) w okresie od października 1936 do grudnia 1937 r. był ostatnim konsulem II Rzeczypospolitej w Charkowie. Pełnił swoje obowiązki w roku Wielkiego Terroru, apogeum represji stalinowskich w ZSRR (Żwanko 2020: 126–127).

22 czerwca 2015 r. w ramach obchodów 20. rocznicy działalności placówki dyplomatycznej w Charkowie została odsłonięta tablica upamiętniająca działalność Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie. Umieszczono ją na gmachu przy ul. Maksymilianowskiej 15. Na tablicy pamiątkowej (rzeźbiarz Katib Mamedow) znajdują się: Godło Rzeczypospolitej Polskiej oraz tekst w języku polskim i ukraińskim: „W tym budynku, w latach 1924–1934 mieścił się Konsulat Generalny, a w latach 1934–1937 Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie. Ostatnim Konsulem był w latach 1936–1937 Tadeusz Brzeziński, ojciec wybitnego amerykańskiego polityka polskiego pochodzenia Zbigniewa Brzezińskiego”. Wspomniana tablica pamiątkowa jest jedyną wzmianką o misjach dyplomatycznych krajów europejskich, które funkcjonowały w Charkowie w ubiegłym wieku.



Tablica ku pamięci polskich oficerów na gmachu byłego więzienia NKWD w Charkowie (fot. Lubow Żwanko)

Henryk Siemiradzki w przestrzeni Charkowa

Henryk Hektor Siemiradzki (1843–1902) – artysta światowej sławy – urodził się we wsi Nowobiełgorod (obecnie – miasteczko Pieczeniugi) w gubernii charkowskiej. W charkowskim okresie życia (1847–1864) studiował u artysty Dmytra Bezperczego, z którym do końca życia prowadził serdeczną korespondencję, a także zdobywał wiedzę na Wydziale Fizyczno-Matematycznym Uniwersytetu (Żwanko 2019: 151–154.).

27 października 2015 r. została odsłonięta tablica pamiątkowa na gmachu biblioteki Charkowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Wasyla Karazina



Tablica pamiątkowa Afreda Feddeckiego przy ul. Sumskiej 3 (fot. Lubow Żwanko)



Tablica pamiątkowa działalności Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie w latach 1924–1937 (fot. Lubow Żwanko)

przy ul. Uniwersyteckiej 13. W tym samym dniu otwarto Galerię Sztuki im. Henryka Siemiradzkiego (pl. Swobody 6/2). Na tablicy pamiątkowej autorstwa rzeźbiarza Aleksandra Ridnego umieszczono płaskorzeźbę Siemiradzkiego i tekst w języku rosyjskim: „Henrich Ippolitowich Siemiradzki (Henryk Hektor Siemiradzki 12/24/10.1843, Nowobielgorod, gubernia charkowska – 23.08.1902, Strzałków, gubernia piotrkowska) – kandydat Uniwersytetu Cesar-skiego w Charkowie, akademik i profesor Cesarskiej



Tablica pamiątkowa Henryka Siemiradzkiego (fot. Lubow Żwanko)

Akademii Sztuk Pięknych, akademik sztuki Berlina, Sztokholmu, Rzymu, Turynu, członek korespondent Francuskiej Akademii Sztuk Pięknych”.

Tym samym w przestrzeni miejskiej faktycznie skryształizował się swoisty „trójkąt Siemiradzkiego”, którego wierzchołki stanowią: tablica pamiątkowa, galeria jego imienia, muzeum sztuki (ul. Żon Myronosyć 11), w którym znajdują się jego trzy obrazy: „Piraci izauryjscy sprzedają swoją zdobycz”, „W sklepie trumniarza”, „Orgia czasów rzymskich. Szkic”.

Ku pamięci Józefa Piłsudskiego

Józef Klemens Piłsudski (1867–1935) – jeden z założycieli odrodzonego Państwa Polskiego – w charkowskim okresie życia (1885–1886) studiował medycynę na Uniwersytecie Imperatorskim w Charkowie. Wtedy także rozpoczął swoją działalność rewolucyjną, uczestniczył w demonstracjach studenckich oraz został członkiem konspiracyjnej organizacji studenckiej (Żwanko 2019: 223–226).

Proces upamiętnienia Józefa Piłsudskiego w Charkowie trwał długo, 10 lat. Postać marszałka, jak się okazało, była zbyt trudna, by wpisać ją w postradziecką przestrzeń miejską. Wreszcie, 15 listopada 2016 r. na fasadzie budynku byłego Uniwersytetu przy ul. Uniwersyteckiej 16 została odsłonięta tablica pamiątkowa. Umieszczono na niej portret marszałka i tekst w języku polskim i ukraińskim: „W latach 1885–1886 na Uniwersytecie Charkowskim studiował wybitny polski działacz państwowy, pierwszy przywódca II Rzeczypospolitej, Marszałek Józef Piłsudski (1867–1935) Charków, 2016.11.11” (rzeźbiarz Aleksander Ridny).

W tej uroczystości wzięli udział: ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie Jan Piekło, konsul generalny Janusz Jabłoński, przedstawiciele władz miasta i regionu. Ambasador w przemówieniu podkreślił: „To dla mnie jest bardzo emocjonujący dzień. Ojciec mojej matki przyjaźnił się z Józefem Piłsudskim. Jestem wdzięczny wszystkim, którzy pomogli sprawić, by ta tablica pamiątkowa pojawiła się na tym budynku” (Żwanko 2020: 116–117).

„Znany w Charkowie lekarz, przyjaciel ludzkości” Władysław Frankowski

Władysław Frankowski (1816–1895) to wybitny lekarz, filantrop, działacz społeczny, absolwent wydziału medycznego miejscowego Uniwersytetu i honorowy obywatel Charkowa, w którym mieszkał w latach 1840–1895. Był on fundatorem pierwsze-

go prowincjonalnego bezpłatnego szpitala dla dzieci, współzałożycielem Charkowskiego Towarzystwa Medycznego, jednym z najbardziej znanych Polaków w historii miasta (Żwanko 2019: 119–122).

16 maja 2018 r. na budynku Towarzystwa Medycznego została odstonięta tablica pamiątkowa (ul. Maksymilianowska 11). Inicjatorem umieszczenia tablicy pamiątkowej był profesor Stanisław Ellis z rodziną, prezes Domu Polskiego w Charkowie przy wsparciu Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie. Na tablicy pamiątkowej autorstwa rzeźbiarza Katiba Mamedowa umieszczono płaskorzeźbę popiersia lekarza z dziećmi i dedykację w języku polskim i ukraińskim: „Władysław Frankowski (1816–1895) – lekarz, filantrop, Polak, inicjator powstania szpitala dziecięcego (1878), Honorowy obywatel Charkowa (1892). Wdzięczni Rodacy”. Ta tablica jest pierwsza wśród dziesięciu innych, w której tekście zaznaczono wprost, że ten człowiek to Polak, a upamiętniają go miejscowi Polacy.

W latach 1998–2018 w Charkowie uroczyście odstonięto szereg tablic pamiątkowych poświęconych wybitnym i znanym Polakom, co pozwala stwierdzić obecność polskiego elementu pamięci w przestrze-



Tablica pamiątkowa Józefa Piłsudskiego (fot. Lubow Żwanko)

ni miejskiej (schemat 1). Tym samym znaki polskiej pamięci umieszczone w centrum miasta kształtują z jednej strony obraz miejscowej Polonii jako środowiska, z którego wyłoniły się słynne postacie, będące częścią symbolicznej przestrzeni miasta, z drugiej zaś – przedstawiają miasto z historycznej perspektywy jako obszar tolerancji.

Jeszcze należy odnotować, że na terenie obwodu charkowskiego znajdują się dwa unikatowe pomniki. W 2002 r. w Peczenihach został odstonięty pomnik Henryka Siemiradzkiego uważany za jedy-

Tabela 1. Tablice pamiątkowe jako miejsca pamięci polskiej w Charkowie

Nr	Data	Obiekt zachowania pamięci	Rodzaj działalności	Adres
1.	1998	Tablica pamiątkowa o pobycie Adama Mickiewicza w Charkowie	poeta	ul. Uniwersytecka 16
2.	2007	Tablica pamiątkowa ku pamięci Michała Giedroycia	muzealnik, mecenas sztuki	ul. Uniwersytecka 16
3.	2008	Tablica pamiątkowa ku pamięci polskich oficerów na gmachu byłego więzienia NKWD	polscy oficerowie	ul. Myronosycka 2
4.	2009	Popiersie Konstantego Gorskiego	kompozytor, działacz Polonii	ul. Gogola 4
5.	2010	Tablica pamiątkowa ku pamięci Alfreda Fedeckiego	fotograf	ul. Rymarska 21
6.	2010	Tablica pamiątkowa ku pamięci Seweryna Potockiego	kurator Charkowskiego Okręgu Szkolnego	ul. Uniwersytecka 23
7.	2013	Tablica pamiątkowa ku pamięci Alfreda Fedeckiego	fotograf	ul. Sumska 3
8.	2015	Tablica upamiętniająca działalność Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie w latach 1924–1937	placówka dyplomatyczna	ul. Maksymilianowska 15
9.	2015	Tablica pamiątkowa ku pamięci Henryka Siemiradzkiego	artysta	ul. Uniwersytecka 23
10.	2016	Tablica pamiątkowa ku pamięci Józefa Piłsudskiego	jeden z założycieli Państwa Polskiego	ul. Uniwersytecka 13
11.	2018	Tablica pamiątkowa ku pamięci Władysława Frankowskiego	lekarz filantrop	ul. Maksymilianowska 11



Tablica pamiątkowa Władysława Frankowskiego, (fot. Lubow Żwanko)

ny na świecie, a w 2007 r. – pomnik Leona Cienkowskiego wzniesiony na dziedzińcu Państwowej Akademii Weterynarii i Zootechniki (obecnie – na dziedzińcu Wydziału Weterynarii Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie).

W warunkach trwającej wojny, w Charkowie, położonym od granicy z Rosją w odległości lotu rakiety S-300 trwającego 15 sekund, bardzo ważne jest to, żeby wszystkie budynki, na których umieszczono tablice, a także stojące pomniki, przetrwały



Pomnik Leona Cienkowskiego (fot. Lubow Żwanko)

ten straszny okres. Oczywiście, po jej zakończeniu Charków na długie lata zostanie jedynym miejscem wspólnej dla Polaków i Ukraińców pamięci na wschodnim pograniczu..



Pomnik Henryka Siemiradzkiego (fot. udostępniona przez Natalię Firsową)

Bibliografia

- Polskie cmentarze wojenne, http://www.muzeumkatyńskie.pl/pl/2359/cmentarze_wojenne.html.
- Żwanko Lubow, 2020: *Placówki dyplomatyczne Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie: historia i współczesność*, Charków.
- Żwanko Lubow, 2022: *Polacy w dziewiętnastowiecznym Charkowie*, Forum Akademickie, nr 11, s. 70–73.
- Żwanko Lubow, 2020: *Tablice pamiątkowe w przestrzeni miejskiej Charkowa: polskie akcenty*, Studia z Architektury Nowoczesnej, t. 8, s. 99–121.
- Żwanko Lubow, 2019: *Wybitni Polacy i Charków: słownik biograficzny (1805–1918)*, Charków.
- Żwanko Lubow, Kibkało Dmytro, Jaśkowski Jędrzej M., Sobolewski Jarosław, 2023: *Polscy lekarzy weterynarii – ofiary Zbrodni Katyńskiej: Martyrologium Polskiego Cmentarza Wojennego w Charkowie*, Medycyna Weterynaryjna, nr 79 (1), s. 49–56.



Prof. dr hab. Lubow Żwanko – kierownik Centrum Muzealnego Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie, stypendystka programu POLONISTA (NAWA) realizowanego w Instytucie Medycyny Weterynaryjnej UMK w Toruniu (2023–2024)

Konsultacje językowe: dr Marcin Lutomierski



Studiowanie w czasie wojny

Z dr Lilią Honcharuk – kierownikiem Katedry Szkolenia Języka Specjalistycznego w Instytucie Wojskowym Uniwersytetu Narodowego im. Tarasa Szewczenki w Kijowie – rozmawiają dr Viktoriia Klavdich i mgr Ewa Kowalska

EK – Chciałabym najpierw bardzo Ci podziękować za przybycie do Torunia na nasze seminarium kontaktowe dla nauczycieli ukraińskich i nauczycieli YUFE. To wielki zaszczyt gościć was tutaj. Czy mogłabyś przedstawić się czytelnikom „Głosu”?

LH – Ja również bardzo dziękuję. To wspaniale, że mogłam tu przyjechać, spotkać się z wami i zdobyć takie doświadczenia. Mam nadzieję, że będziemy kontynuować tę relację. Musimy zorganizować kilka sesji online. Współpraca z wami bardzo mnie interesuje.

Nazywam się Liliia Honcharuk, pracuję w Instytucie Wojskowym Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki w Kijowie. Jestem wojskowym, oficerem i kierownikiem Katedry Specjalistycznego Szkolenia Językowego. Uczymy kadetów. I mamy kilka specjalności. Nasz Instytut szkoli przyszłych wojskowych tłumaczy i przyszłych specjalistów wojskowych ds. stosunków międzynarodowych. Ta kategoria kadetów musi płynnie znać angielski. Podczas rekrutacji

zdamy dodatkowe testy, co istotnie wpływa na ich ogólny wynik. Jeśli nie zaliczą testu językowego, nie mogą kontynuować procesu rekrutacji. Mamy też specjalności nielingwistyczne. Szkolimy przyszłych dziennikarzy wojskowych, kartografów wojskowych, technologów informacji geograficznej i specjalistów systemów. Uczymy także prawników wojskowych, specjalistów w dziedzinie nauk politycznych, finansów i ekonomii oraz wojskowych psychologów, kapelanów i specjalistów ds. wsparcia społecznego.

VK – Jesteście częścią Uniwersytetu Narodowego i jednocześnie podlegacie Ministerstwu Obrony.

LH – Tak, to prawda. Mamy podwójne podporządkowanie; dwóch szefów – ministra obrony i ministra edukacji. Ministerstwo Obrony decyduje, ilu możemy kształcić kadetów i w ilu specjalnościach. 50 procent przedmiotów prowadzonych jest przez odpowiednie Wydziały Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki, przez cywilów. Wszystkie przedmioty

wojskowe i ich specjalizacje zawodowe prowadzimy my, wojskowi z Instytutu.

VK – Jaki masz stopień wojskowy?

LH – Wstąpiłam do Instytutu Wojskowego w 1999 roku, w 2004 roku ukończyłam go i zostałam porucznikiem. Po jakimś czasie otrzymałam stopień pułkownika. W tym trudnym czasie, wiesz, jestem bardzo dumna, że jestem pułkownikiem.

EK – To niesamowite, że nauczyciel języka jest jednocześnie pułkownikiem. Czy w twoim Instytucie studiuje wiele kobiet?

LH – W czasie, w którym studiowałam, było dość trudno dostać się do Instytutu, będąc dziewczyną. Było nas jakieś 10 procent. Teraz czasy się zmieniły, mamy około 50 procent kadetek. Ten rok był rokiem kobiet w naszym Instytucie. Wiele dziewcząt zdecydowało się wstąpić do armii.

EK – Jak wojna wpłynęła na wasz Instytut, na kadetów i nauczycieli?

LH – Pierwszego dnia wojny wszyscy przyjechali do Instytutu. Wszyscy wiedzieli wcześniej, że to musi się stać. Wszyscy odruchowo działali w sposób zorganizowany, profesjonalny. Także nasi kadeci nie okazali lęku. Od samego początku, w jednej niemal chwili stali się silniejsi, silniejsi mentalnie. Widziałam, że się nie boją. To było dla mnie jak cud. Nasi kadeci mają 18, 19, 20 lat. Są zbyt młodzi na wojnę. Zobaczyłam wtedy jednak, że my, Ukraińcy, jesteśmy narodem silnym. Nie mogliśmy i nie chcieliśmy przerywać procesu edukacji. Kontynuujemy. Gdy jest zagrożenie, po prostu idziemy do schronu i zostajemy tam, jak długo trzeba. Potem wracamy i uczymy dalej. Nie mogliśmy przejść na nauczanie zdalne, ponieważ jest to niezgodnie z naszym prawem, zresztą także niezgodne z wymaganiami. Nie mogliśmy się zatrzymać. Bywały takie sytuacje, że moje lekcje ciągle nie mogły się odbyć przez bombardowanie. Moi studenci pytali mnie: Lilia Mikołajewna, dlaczego musimy iść do schronu, gdy mamy twoje lekcje?

VK – Na początku wojny wasi kadeci bronili Kijowa.

LH – Tak. Sytuacja była trudna i nasze władze zdecydowały o ewakuacji oddziałów żeńskich do innego regionu. A nasi chłopcy, oficerowie i kadeci pozostali w Kijowie i wykonywali zadania bojowe. Przez kilka miesięcy nauka nie była możliwa. Udało się wtedy obronić Kijów. Niestety, nie wszyscy nasi kadeci i oficerowie wrócili. I to trwa nadal. Co jakiś czas nasi przełożeni informują nas o kolejnych straconych studentach, pokazują zdjęcia. Ktoś chodzi na zajęcia, uczy się, zdaje egzaminy i nagle go nie ma.

EK – Miejmy nadzieję, że wojna niedługo się skończy... Wszystko wróci do normalności. Jakie widzisz możliwości współpracy z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika?

LH – Na początku bardzo zależałoby mi na integracji i wymianie doświadczeń. Macie psychologię i prawo, tak jak my. Warto by organizować spotkania online waszych i naszych studentów. Dać im szansę na poznanie się i porównanie trybów i warunków nauczania. Różne są podejścia do nauczania psychologii, porozmawiamy o tym. Mam nadzieję, że to szybko nastąpi. Nie zapominajmy też o kontaktach nauczycieli. Moglibyśmy zorganizować zajęcia z języka angielskiego waszych studentów prowadzone przez naszych wykładowców i odwrotnie. Takie doświadczenie byłoby bardzo cenne. I dla studentów, i dla nauczycieli.

EK – Jestem przekonana, że uda się nam zrealizować te projekty. Bardzo dziękuję za rozmowę. Slava Ukraini, Heroiam slava!

Dr Viktoria Klavdich — pracownik Uniwersytetu Narodowego im. Tarasa Szewczenki, od kwietnia 2022 r. nauczyciel języka angielskiego w Uniwersyteckim Centrum Języków Obcych UMK

Mgr Ewa Kowalska — kierownik Zespołu Języka Angielskiego Uniwersyteckiego Centrum Języków Obcych UMK

Opracowała Ewa Walusiak-Bednarek

Biochemik, intelektualista z Noblem – Tadeusz Reichstein

Wielu uczonych pracując poza granicami Polski (Maria Skłodowska-Curie, Kazimierz Funk), wytyczało nowe szlaki postępu naukowego, dokonywało fundamentalnych odkryć i miało swój udział w szkoleniu nowych pokoleń ludzi nauki. Należał także do tego grona urodzony we Włocławku Tadeusz Reichstein, którego osiągnięcia stanowiły o przełomie w biochemii, naukach biomedycznych i medycynie. Przy tym był to intelektualista o niezwykłej osobowości, pasjach i szlachetnej dobroczynności.



Tadeusz Reichstein

Tadeusz Reichstein zmarł 1 sierpnia 1996 r. w Bazylei (Szwajcaria), a jego nazwisko do początku lat 90. XX wieku było znane w Polsce głównie biochemikom zainteresowanym hormonami steroidowymi kory nadnerczy oraz chemikom zajmującym się przemysłową syntezą witaminy C. W tych dziedzinach cały świat korzystał bowiem z dorobku i odkryć Tadeusza Reichsteina, których dokonał, żyjąc i pracując już w Szwajcarii. W Bazylei Reichstein stworzył wielką szkołę biochemiczną, w której promował wielu doktorantów. Wśród nich znajdowali się także Polacy – a jednak w Polsce przez długi czas był uczonym niedostrzeganym. W 1975 r. do Włocławka przybył Stanisław Sterkowicz (1923–2011) – absolwent AM w Gdańsku (późniejszy profesor nauk medycznych) i objął stanowisko ordynatora I Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Wojewódzkiego, założył Włocławskie Towarzystwo Naukowe (WTN, 1979). Fakt działalności WTN wykorzystał Stanisław Sterkowicz także do propagowania wiedzy o życiu i pracach urodzonego we Włocławku Reichsteina.

Tadeusz Reichstein urodził się 20 lipca 1897 r. we Włocławku jako najstarszy syn Izydora Reichsteina (inżyniera chemika i przemysłowca) oraz Gustawy z domu Brockman. Były to szanowane polsko-żydowskie rodziny. Rodzina Reichsteinów była zamożna – zatem Tadeusz wraz z rodzeństwem najbardziej podstawowe wykształcenie odebrał w domu, w którym celebrowano i podtrzymywano polskie tradycje. Nawet przebywając już w Szwajcarii – po odzyskaniu przez Polskę niepodległości – rodzice Tadeusza przyjęli obywatelstwo polskie

i pozostali polskimi obywatelami. Sam, już profesor, Tadeusz Reichstein mówił: „Czuję się Szwajcarem, polsko-żydowskiego pochodzenia”^{*} (imię Tadeusz nadano mu na cześć Tadeusza Kościuszki).

W roku 1906 rodzina na skutek ówczesnej sytuacji panującej w zaborze rosyjskim przeniosła się do Szwajcarii. Tam też dorastał i kształcił się Tadeusz. Następnie w latach 1916–1920 studiował na Wydziale Chemii Federalnego Uniwersytetu Technicznego w Zurychu (politechnika).

Po studiach na krótko podjął pracę w wytwórni win i poszukiwał chemicznych wskaźników jakości wina, jednak po roku wrócił do rodzimej uczelni, gdzie w 1922 r. doktoryzował się (doktor nauk technicznych) u wybitnego chemika Hermanna Staudingera – późniejszego noblisty (Nobel 1953 – chemia polimerów). Tadeusz Reichstein pozostał związany z Politechniką w Zurychu do roku 1938. Tutaj w początkach kariery badawczej badał związki warunkujące aromat kawy. Celem było wyprodukowanie sztucznej wersji czarnej używki. Odkrył aż 60 takich substancji, a ich ogrom, trudności z izolacją i ich syntetyzowaniem stanowiły ostatecznie o niemożności uzyskania takiej mieszaniny, która imitowałaby aromat naturalnej kawy (może na szczęście!). Później okazało się, że takich substancji warunkujących aromat kawy może być nawet 600. Niemniej Reichstein stał się ekspertem w izolacji związków heterocyklicznych, a sukces i tak przyszedł bardzo szybko. Na świecie trwały wówczas badania nad witaminą C, leczącą szkorbut i świeżo wyizolowaną z nad-

nerczy oraz z papryki przez Alberta Szent-Gyorgi. W pracowni Reichsteina (wówczas już docenta) sukcesem zakończyły się próby chemicznej syntezy witaminy C.

Materiałem wyjściowym była glukoza. Problemem była jednak niska wydajność i wysokie koszty syntezy. By obniżyć koszty, należało zwiększyć wydajność. Trudnością było przeprowadzenie stereochemicznej przemiany sorbitolu w odpowiednią formę sorbozy – bezpośredniego prekursora witaminy C. Reichstein użył do tego specyficznego enzymu – produkowanego przez bakterie (*Acetobacter suboxydans*) żyjące w przewodzie pokarmowym muchy i szczegółową procedurę syntezy opublikował już w 1934 r.

Tym samym zmniejszono koszty produkcji witaminy C aż tysiąckrotnie. Obniżyła się cena 1 kilograma witaminy C z 13 tys. dolarów do 14 dolarów! To przyniosło sławę Tadeuszowi Reichsteinowi, a procedura syntezy przez niego opracowana jest do dziś stosowana z małymi modyfikacjami (Przemysł Chemiczny 2009, 88/8; Inżynieria Przetwórstwa Spożywczego 2017, 4/4 (24).

W tzw. międzyczasie, w roku 1930, Reichstein uzyskał stopień doktora habilitowanego pod kierunkiem kolejnego wielkiego uczonego – prof. Leopolda Ruzicka, a w 1934 (rok sukcesu z witaminą C) uzyskał tytuł profesora.

Podczas swojej 8-letniej współpracy z Ruzicką (Nobel 1939 z chemii za badania dotyczące testosteronu) Reichstein nie tylko opracował metodę syntezy witaminy C, ale od 1929 r. podjął próby izolacji, opisu i syntezy związków steroidowych produkowanych przez nadnercza – znanych jako hormony steroidowe. Leopold Ruzicka zaproponował wówczas Reichsteinowi wyizolowanie z kory nadnerczy biologicznie czynnego związku, który jest niezbędny dla funkcjonowania organizmu i leczyłby objawy choroby Addisona, znanej wówczas od dawna, a powstającej przy zniszczeniu nadnerczy długotrwałym procesem chorobowym, np. w przebiegu gruźlicy nadnerczy. Sam Ruzicka pracował nad uzyskaniem czynnych hormonalnie związków na drodze chemicznej syntezy z cholesterolu. Wieleletnie badania Reichsteina doprowadziły tym samym do wydzielenia z kory nadnerczy niewielkich ilości aż 29 związków rozpuszczalnych w tłuszczach, które w cząsteczce zawierały pierścień steroidowy.

Wśród zidentyfikowanych steroidów 6 wykazywało aktywność biologiczną – tzn. podanie ich kotom, którym uprzednio usunięto nadnercza, umożliwiało utrzymanie się przy życiu. Od roku 1938 badania kontynuował Reichstein już w Bazylei, jako profesor zwyczajny i dyrektor Instytutu Chemii Farmaceutycznej tamtejszego Uniwersytetu.



Bazylea

Fot. Marek Jurgowiak

Oprócz Zespołu Reichsteina w Szwajcarii, dwie grupy badaczy amerykańskich zajmowały się steroidami.

W USA II wojna światowa przyspieszyła pracę, a głównie fałszywe pogłoski, że Niemcy podają zastrzyki swoim pilotom zapewne z hormonów nadnerczy, co miało ich przystosować do szybkich lotów na dużych wysokościach. Wojskowe służby medyczne USA wykazały duże zainteresowanie przyspieszeniem prac nad przemysłowym uzyskiwaniem hormonów kory nadnercza. Zwrócono się w tej sprawie także do Reichsteina, a on izolował i identyfikował kolejne hormony – próbował je też chemicznie syntetyzować.

Pierwszą syntezę deoksykortykosteronu uczony przeprowadził zanim związek ten był przez niego wykryty w ekstraktach kory nadnerczy. To regulator gospodarki jonowej i mineralnej – należy do grupy mineralokortykoidów. Reichstein określił także budowę aldosteronu.

Krótko po zakończonej wojnie Kendall (USA) i niezależnie Reichstein (Szwajcaria) przeprowadzili syntezę kortyzolu. Lekarz reumatolog Philip Hench (USA) w 1948 podał dopiero co zsyntetyzowany kortyzol pacjentom z chorobą reumatoidalną. W efekcie bóle stawów i obrzęki ustąpiły po kilku iniekcjach, co stanowiło o sukcesie takiej terapii.

Prace nad hormonami kory nadnerczy zaowocowały Nagrodą Nobla, którą Tadeusz Reichstein uzyskał wraz z klinicystami Mayo Clinic (USA) Edwardem Kendallem i Filipem Henchem. Podstawą nagrody były prace nad uzyskaniem kortykosteronu, którego aktywność biologiczną udowodnili wspólnie nagrodzeni klinicyści z USA. Dało to podwaliny pod zastosowanie steroidów w terapii szeregu chorób.

Wybrane piśmiennictwo:

- Arber W. Tadeus Reichstein, ein bedeutender Pteridologe „Uni Nova Wissenschaftsmagazin” Universität Basel 1987, 48, 10.
- Goedecke C. Chemistry Views (Chemistry Europe) July 20, 2022 (publikacja w 125. rocznicę urodzin Noblisty polskiego pochodzenia).
- Grzybowski A. Tadeusz Reichstein (1897–1966): A cofounder of modern steroid treatment in dermatology. Clinics in Dermatology 2012, vol.30, no 2, s. 243.
- Hardy R.S., Raza K., Cooper M.S. Endogenous glucocorticoids in inflammation: contributions of systemic and local responses. Swiss Med. Wkly, 2012, 142: 13650.

NOBEL 1950 – w dziedzinie medycyny lub fizjologii dla: Tadeusza Reichsteina, Edwarda Kendalla i Philipa Hencha. Za badania nad hormonami sterydowymi nadnerczy.

Przez następnych 17 lat pod kierunkiem już noblisty Reichsteina w Bazylei rozwikłano wiele zagadnień związanych z chemią hormonów steroidowych nadnerczy i chemią roślinnych glikozydów, zwłaszcza aglikonowej części tych glikozydów, których aglikon ma budowę sterydową. Znaczenie farmakologiczne mają np. glikozydy nasercowe.

Na koniec swojej drogi naukowej Uczony zainteresował się cytogenetyką paproci (archaicznych przedstawicieli świata roślin) i stał się światowym ekspertem w tej dziedzinie. Nawet mając już 98 lat, przesłał 4 prace do opublikowania w czasopismach botanicznych

Noblista Tadeusz Reichstein opublikował łącznie ogromną liczbę, bo aż 730, prac naukowych i wypromował 150 doktorów. Był członkiem honorowym 35 towarzystw naukowych na całym świecie.

W 1927 r. Reichstein ożenił się z pochodzącą z Holandii Luise Henriette Quarles van Ufford (zm. 1993) i z tego małżeństwa miał córkę Ruth. Jej synowie, panowie Straumann, wnuki profesora, byli gośćmi AMG podczas uroczystości nadania doktoratu honorowego dla Tadeusza Reichsteina. Doktorat honoris causa nadały Reichsteinowi – oprócz AMG (wówczas Akademia Medyczna w Gdańsku, 1995) – także uniwersytety Sorbony (Paryż 1947), Leeds, Zurychu, Genewie (1967) i Abidżan (Wybrzeże Kości Słoniowej, 1967).

Uczony otrzymał Medal PAN im. Mikołaja Kopernika (1994) oraz doktorat honoris causa Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie (1978).

Tadeusz Reichstein to także Obywatel Honorowy Włocławka (1994). Od 2009 r. jedna z ulic nosi nazwę Tadeusza Reichsteina.

Noblista rodem z Włocławka pracował i osiągał sukcesy w Szwajcarii (tu zmarł 1 sierpnia 1996 r.), ale zawsze podkreślał swoje pochodzenie z polsko-żydowskiej rodziny i dumny był z faktu urodzenia w mieście takim jak Włocławek.

O niezwyklej witalności Profesora, ale i nadzwyczajnej dobroczynności, świadczy fakt, że jako 90-latek odbywał jeszcze górskie wędrówki oraz pomagał młodym naukowcom (także z Polski) – fundując im prywatne stypendia.

Hench PS., Kendall EC., Slocumb CH., Polley HF.,
The effect of a hormone of the adrenal cortex
(17-hydroxy-11-dehydrocorticosterone: com-
pound E) and of pituitary adrenocorticotrophic
hormone on reumathoid arthritis. Proc. Staff Meet
Mayo Clin , 1949, 24 (8), 181–197.

Kramer K. Prof. dr T. Reichstein zum 90 Geburtstag
„Botannica Helvetica” 1987, 2, 153.

Reichstein T. Chemistry of the adrenal cortex hor-
mones, Nobel Lecture, December 11, 1950.

Rothschild M. Tadeus Reichstein: 20 July 1897 –
1 August 1996, Biogr. Mem. Fellows R. Soc. 1999,
45, 449–467.

Sterkowicz S. On the hundreth birthday of the first
scientist of Polish ancestry to receive the Nobel
Prize in Physiology and Medicine: Tadeusz Reich-
stein. Przegl Lek. 1999, 56 (3): 245–6.

Tadeus Reichstein (autobiografia naukowa) [w:] W.E.
Bohm (Herausgeber): Forscher und Gelehrte,
Stuttgart 1966.

Tadeusz Reichstein – Noblista z Włocławka –
Wspomnienie. Postępy Biochemii 1996, 42 (4),
318–319.

Wincewicz A. et.al., Tadeus Reichstein, co-winner of
the Nobel Prize for Physiology or Medicine: On
the occasion of the 110th anniversary of his birth
in Poland, Hormones 2007, 6, 341–343.

Oddajmy głos samemu Uczonemu, intelektualiście:

[Jeden z ostatnich wywiadów, a profesor Reich-
stein – już wówczas ponaddziesięcioletni
udzielał ich nadal – został wydrukowany w „Sch-
weizer Illustrierte” w styczniu 1995 r. pt. *Was macht
eigentlich Tadeus Reichstein?*]

„... Były czasy, gdy przyrodnicy uważali, że feno-
men życia da się całkowicie wytłumaczyć z pomocą
chemii i fizyki. Nie zgadzałem się z tymi poglądami.
Chemia powinna poznać swoje granice. Panuje jesz-
cze pogląd, że człowiek jest automatem, całkowicie
zaprogramowanym i w stu procentach zdetermino-
wanym. Nie ma w tym nic wolności. Nie wyobrażam
sobie, że mogę wszystko zrobić. Nie mogę żyć bez
poczucia, że posiadam pewną wolną wolę. Jest to
coś, co wychodzi poza naukę, nawet jeśli moje myśli
związane są z określonym elektrycznym sygnałem
w mózgu...”.



*Dr n. med. Marek Jurgowiak — Katedra
Biochemii Klinicznej, Wydział Farmaceu-
tyczny Collegium Medicum UMK, Rada
Programowa TFNiS, Rada Programowa
CN Młyn Wiedzy, stały współpracownik
„Głosu Uczelni”, popularyzator nauki*



Zurich

Fot. Marek Jurgowiak

Magdalena Schulz

Naturalne antybiotyki

Antybiotyki to substancje, które mają działanie bakteriobójcze oraz bakteriostatyczne, czyli eliminują chorobotwórcze bakterie i hamują ich namnażanie w organizmie. Są niewątpliwie jednym z najważniejszych odkryć XX wieku, ponieważ umożliwiły zwalczanie infekcji, które kiedyś były dla ludzkości śmiertelnym zagrożeniem.

Niestety, antybiotyki nie działają wybiórczo. Zwalczając chorobotwórcze bakterie, niszczą także te pożyteczne, które wchodzą w skład mikroflory jelitowej. Skutkiem zmniejszenia liczby dobrych bakterii jest osłabiona odporność organizmu w walce z patogenami i nawracające infekcje.

Drugim problemem jest nadużywanie antybiotyków, nawet w sytuacjach, gdy nie jest to konieczne. Wiele osób sięga po tę grupę leków przy przeziębieniu czy grypie. Każdorazowa antybiotykoterapia powoduje, że bakterie zasiedlające organizm uodparniają się na działanie antybiotyków. Oporność coraz większej liczby szczepów bakterii na ich działanie utrudnia dobranie odpowiedniego preparatu i obniża skuteczność leczenia antybiotykami.

Z uwagi na konsekwencje częstej antybiotykoterapii sięganie po te leki powinno być ostatecznością, a nie pierwszym wyborem. W naturze występuje szereg tzw. naturalnych antybiotyków, które również wykazują działanie bakteriobójcze, a także przeciw-wirusowe i przeciwgrzybiczne. Dodatkowo nie niszczą naszej pożytecznej flory bakteryjnej, a wręcz ją wzbogacają, co przekłada się na wyższą odporność organizmu i rzadsze występowanie infekcji.

Czosnek

Na czele produktów o działaniu przeciwbakteryjnym stoi czosnek, którego działanie doceniały już nasze babcie. Czosnek jest bardzo aromatyczną rośliną, która swój intensywny zapach i smak zawdzięcza lotnym związkom siarki oraz olejkom eterycznym. Zawiera allicynę, czyli biologicznie aktywną substancję o silnym działaniu antybakteryjnym i przeciwwirusowym. Udowodniono, że allicyna potrafi niszczyć paciorkowce, gronkowce i bakterie *Escherichia coli*. Czosnek polecany jest jako wsparcie leczenia przeziębienia, grypy, bólu gardła i bólu



zatkot. Roślina ta jest również źródłem związków antyoksydacyjnych, witamin z grupy B, witaminy C oraz składników mineralnych – potas, selen, żelazo, wapń i magnez. Substancje zawarte w czosnku poprawiają także krążenie, obniżają ciśnienie krwi i poziom cholesterolu oraz stymulują rozwój pożytecznych bakterii w przewodzie pokarmowym, wzbogacając mikroflorę jelitową i regulując pracę układu immunologicznego. Allicyna i inne dobroczynne składniki czosnku są najbardziej aktywne w jego surowej formie, ale warto na stałe wprowadzić czosnek do swojej diety i dodawać go również do dań na ciepło (najlepiej pod koniec gotowania).

Cebula

Cebula, podobnie jak czosnek, zawiera lotne związku siarki, w tym allicynę. Bakteriobójcze substancje, m.in. fitoncydy, są uwalniane podczas krojenia tego warzywa, dlatego najlepiej dodawać cebulę do kanapek, sałatek i dań obiadowych. Cebula sprawdzi się w leczeniu przeziębienia i infekcji górnych dróg oddechowych, ponieważ zwiększa wytwarzanie śluzu i ma działanie wykrztuśne. W okresie choroby warto przyrządzić syrop z pokrojonej cebuli z dodatkiem miodu.

Imbir

Imbir to przyprawa o ostrym smaku i lekko cytrynowym zapachu, która sprawdza się w leczeniu zaka-



żeń bakteryjnych układu pokarmowego. Udowodniono, że potrafi hamować wzrost bakterii, takich jak *Listeria monocytogenes* czy *Escherichia coli*. Dodatkowo obniża poziom glukozy we krwi, zwiększa wrażliwość tkanek na insulinę i poprawia profil lipidowy. Działa również przeciwwymiotnie, więc jest polecany przy mdłościach u kobiet w ciąży. Zawarte w imbirze olejki eteryczne, np. gingerol, wykazują silne działanie przeciwzapalne.

Chrzan

Zaliczany do grupy naturalnych antybiotyków, ponieważ wykazuje działanie zwalczające bakterie, wirusy, grzyby i pleśń. Za jego prozdrowotne właściwości odpowiadają fitoncydy oraz lizozym. Zawiera



również witaminę A, C i E, witaminy z grupy B oraz potas, siarkę, mangan i wapń. Dodatek korzenia imbiru do napojów i potraw sprawdzi się szczególnie w okresie jesienno-zimowym, ponieważ wykazuje właściwości rozgrzewające organizm.

Miód

Niewątpliwie najstarszy naturalny antybiotyk. Dzięki zawartości lizozymu i nadtlenu wodoru o działanie bakteriobójczym, wspiera on leczenie zakażeń bakteryjnych. Posiada również właściwości przeciwzapalne i wykrztuśne, dlatego jest z powodzeniem stosowany w chorobach dróg oddechowych. Najlepiej sięgać po miody spadziowe, gryczane i lipowe, ponieważ zawierają więcej cennych dla zdrowia związków. Warto pamiętać, że miód traci swoje właściwości w temperaturze powyżej 40°C, dlatego nie należy dodawać go gorących napojów i potraw. Miód jest również źródłem cukrów prostych, więc jego nadmierne spożycie będzie gwałtownie wpływało na glikemię. Z tego powodu na ten składnik diety powinny szczególnie uważać osoby chorujące na cukrzycę.

Żurawina

Żurawina zawiera w swoim składzie związki fenolowe o działaniu przeciwbakteryjnym. Dzięki obecności proantocyjanidów wspomaga leczenie zakażeń bakteryjnych jamy ustnej oraz błony śluzowej żołądka, ponieważ związki te ograniczają przyleganie patogenów do ściany żołądka oraz niszczą bakterie odpowiedzialne za rozwój próchnicy. Żurawina jest również świetnym wsparciem w przebiegu infekcji bakteryjnych dróg moczowych, ponieważ wypłukuje chorobotwórcze bakterie przyspieszając proces leczenia. Owoc ten jest bardzo dobrym źródłem witaminy C i związków mineralnych, takich jak potas, magnez, cynk i wapń. Ze względu na obecność substancji antyoksydacyjnych chroni organizm przed działaniem wolnych rodników i działa przeciwnowotworowo.

Kurkuma

Kurkuma zawiera w swoim składzie kurkuminę – silny antyoksydant o działaniu przeciwzapalnym, przeciwwirusowym i antibakteryjnym. Z tego względu warto dodawać kurkumę do codziennych potraw, zwłaszcza że nie wpływa na smak potrawy. Łącząc tę przyprawę z czarnym pieprzem, znacznie zwiększamy przyswajanie kurkuminy przez organizm.

Propolis i pyłek pszczeli

Propolis, inaczej kit pszczeli, wykazuje silne działanie antybakteryjne, przeciwwirusowe i przeciwgrzybiczne. W jego składzie wyróżnia się około 300 substancji, w tym żywicę, wosk, olejki eteryczne i pyłek pszczeli. Propolis pomaga w leczeniu infekcji i stanów zapalnych jamy ustnej i gardła oraz ogólnie poprawia odporność organizmu.

Pyłek pszczeli zawiera szereg substancji o dobroczynnym działaniu na organizm, m.in. aminokwasy, enzymy, katechiny, inhibiny (o silnym działaniu bakteriobójczym), witaminy i składniki mineralne. Polecany jest szczególnie przy infekcjach jamy ustnej i przewodu pokarmowych.

Oregano

Dobroczynne właściwości na układ odpornościowy wykazuje olejek z oregano, który zawiera w swoim składzie karwakrol. Substancja ta jest polecana szczególnie jako wsparcie leczenia zakażeń gronkowcem złocistym, bakterią *Escherichia coli* oraz *Helicobacter pylori*. Niektóre badania dowodzą, że olejek z oregano działa tak samo skutecznie jak tradycyjne antybiotyki, dlatego należy zachować ostrożność przy jego stosowaniu i nie przekraczać zalecanej dawki.

Echinacea

Echinacea, popularnie zwana jeżówką, wykazuje działanie naturalnego antybiotyku. Wynika to z zawartości izobutyloamidów i polisacharydów. Jeżówka jest szczególnie skuteczna przy leczeniu kaszlu, kataru, bólu głowy w czasie przeziębienia oraz ogólnie jako wsparcie układu immunologicznego.

Szałwia

Szałwia jest określana naturalnym antybiotykiem ze względu na zawartość olejków eterycznych i garbników, które wykazują działanie przeciwbakteryjne i przeciwzapalne. Napary z tej rośliny zalecane są przy anginie i innych infekcjach gardła.

Tymianek

Tymianek również jest bogaty w olejki eteryczne, m.in. w tymol, któremu przypisuje się właściwości bakteriobójcze. Olejek z tej rośliny ma działanie wykrztuśne, więc jest polecany szczególnie przy infekcjach górnych dróg oddechowych.

Częste infekcje i przeziębienia są skutkiem obniżonej odporności organizmu do walki z patogenami. Nie zawsze stan ten wymaga antybiotykoterapii,



która dodatkowo wyjąławia mikroflorę jelitową oraz zwiększa ryzyko oporności bakterii na działanie leku. W konsekwencji następuje efekt błędnego koła, działanie układu odpornościowego jest upośledzone i zwiększa się częstość zachorowań. Wiele roślin i ziół naturalnie występujących w przyrodzie wykazuje silnie działa antybakteryjne, a nawet przeciwwirusowe i przeciwgrzybiczne. Dodatkowo wzbogacają nasz organizm w błonnik, witaminy i składniki mineralne. Korzystnie wpływają na stan mikroflory jelitowej i w sposób naturalny poprawiają pracę układu immunologicznego. Warto włączyć te produkty do codziennej diety oraz zwiększyć ich spożycie w okresie przeziębienia, a z antybiotykoterapii korzystać w przypadku wyraźnych wskazań medycznych.



Mgr Magdalena Schulz — absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny



Józef Gawłowicz

Od Kolumba do... Batorego

W poprzednim (gwiazdkowo-noworocznym) numerze „Głosu Uczelni” Czytelnicy mogli zapoznać się z artykułem *Trzej królowie i zegar słoneczny*. Proponuję jeszcze kontynuację tego wielowątkowego tematu.

Odnosnie do Gwiazdy Betlejemskiej astronom i matematyk Johannes Kepler na dworze cesarza Rudolfa II w Pradze wysunął w XVII w. teorię mówiącą, że tą „gwiazdą” była koniunkcja aż trzech planet, czyli ustawienie się przez nie w jednej linii. Źródła podają, że 1 grudnia 7 r. p. Chr. doszło do koniunkcji Jowisza, Saturna i Marsa, co było niezwykle rzadkim zjawiskiem. Świat naukowy w czasach Keplera przyjął jego teorię z dużą rezerwą. Niemniej był on autorem trzech praw rządzących ruchem planet, których

przyczyny nie rozumiał, lecz precyzyjnie potwierdził je i udowodnił matematycznie Izaak Newton.

Tradycja katolicka uznała hołd złożony Jezusowi przez Trzech Mędrców jako zapowiedź przyjęcia wiary przez narody pogańskie zamieszkujące całą Ziemię, w tym oczywiście Afrykę, stąd Baltazar, lecz do XX wieku nie eksponowano jego roli, poza publikacjami UCLA (University of California Los Angeles, wydające znakomity kwartalnik „African Art”).

Był on zapewne Nubijczykiem z dworu perskiego, który w ciągu dnia wybierał na pustyni drogę pozostałym mędrcom według zegara słonecznego, a po zmroku korzystano z Gwiazdy Betlejemskiej.

Znakomity szczeciński grafik Ludwik Piosicki, gdy pokazałem mu rzeźbę Baltazara uznał tego mędrca za najmądrzejszego z całej trójki i narysował



MS Batory 1937

górującego wzrostem Baltazara nad pozostałymi i na wielbłądzie prowadzącego cały orszak.

Baltazar był więc jednym z prekursorów wędrówki równoleżnikowej po pustyni, którą stosowaną już kilka wieków przed narodzeniem Chrystusa oraz podczas ucieczki Świętej Rodziny przed Herodem.

Wybitna pisarka szwedzka Selma Lagerlöf w opowiadaniu *Ucieczka do Egiptu* przytacza alegorycznie życie niezwyklej palmy, która samotnie wyrosła na egipskiej Saharze w miejscu, gdzie żegnały się ze sobą dwie wspaniałe postacie: królowa Saby i król Salomon. Królowa wracała do swojej krainy, zakochany król Salomon jako dżentelmen odprowadzał ją do połowy drogi.

„– Na pamiątkę tej chwili – rzekła królowa – kładę w ziemię pestkę daktylową i chcę, aby z niej palma urosła, która trwać będzie tak długo, póki w judejskiej ziemi nie powstanie król większy od Salomona. A mówiąc, to włożyła ziarno w ziemię, którą lzy jej zrosiły”. Do tegoż Egiptu Maryja Panna i cieśla Józef zabrali Dzieciątka Jezus, aby je ukryć przed gniewem Heroda.

Gdy w cieniu tej palmy zażywała spoczynku Święta Rodzina, maleńki Jezus poprosił palmę o pochylenie się, bo Józef nie mógł sięgnąć daktyli rosnących na zawrotnej wysokości. „I pochyliła się wyniosła kolumna przed Dzieckiem, jak schylają się ludzie przed książętami. Ogromnym łukiem ugięta się ku ziemi, tak nisko, że olbrzymia korona drżących liści zmiotła piasek pustyni”. Ta piękna i oryginalna legenda zawiera sentencję, że Maryja i Józef nie powinni się bać wrogów, bo mały mocarz jest chroniony.

Należy założyć, że Salomon również używał zegara słonecznego. Mędrcy wędrowali do żłobka szlakiem równoleżnikowym – przekroczyli Jordan i dotarli do Betlejem. Sporadycznie naśladowano ich również przez kilkadziesiąt lat w porze dziennej pomiędzy portami oddalonymi od siebie po 12 godzin żeglugi; na przykład: Leptis Magna – Oea (dzisiejszy Trypolis) – Sabrata, czy Oran – Algier.

Pierwszym, który skorzystał szerzej z żeglugi równoleżnikowej według ciał niebieskich, był po piętnastu wiekach Krzysztof Kolumb, zostając tym samym twórcą systemu astronawigacji oceanicznej. Kiedy po remoncie steru swojej karaweli Kolumb zebrał załogę na rufie, wszyscy odśpiewali *Salve Regina*, po czym wybrał kotwicę i popłynął w dal zachodnim kursem, rozpoczynając swoją wielką przygodę. Ten kontrowersyjny jako człowiek, lecz odważny jako żeglarz Krzysztof Kolumb nawigując, robił trzy po-

zycie w ciągu dnia: szerokość geograficzną określał o świcie i o zmroku z Gwiazdy Polarnej, a w południe z kulminacji Słońca. Pierwszą obszerną biografię Kolumba napisał jego drugi syn Hernando Colon, znaną w polskim przekładzie od 1965 roku. Była ona przez ponad 300 lat głównym źródłem wiedzy o dokonaniach Kolumba. Tłumacz zaznaczył, że Kolumb z żelazną konsekwencją „trzymał się” 28 równoleżnika szerokości północnej.

W atlasie nieba Thomasa Oswalda ilustracja Bliźniąt jest wyjątkowo udana dla naszych rozważań. Kolumb „trzymał się” 28 równoleżnika, mając w zenicie gwiazdozbiór Kastora i Polluksa. Pomiaru dokonywał drewnianym kwadrantem (z uwagi na jego małą wagę oraz największą w tamtych warunkach dokładność) przy obciążonej odważnikiem cienkiej nici jedwabnej, wyznaczającej żądany stopień na skali. Płynął tak do czasu, gdy prądy znio-



sły go nieco na północ i wówczas poprawił kurs na W-S-W. Tu godzi się przypomnieć postać i dzieła wybitnego biografa Kolumba – Samuela Eliota Morisona (1887–1976), mało znanego w naszym kraju. W 1964 roku poznał mnie z nim w Houston profesor Kazimierz Bulas, gdy byłem najmłodszym w PRL bezpartyjnym kierownikiem praktyk studenckich gdyńskiej Szkoły Morskiej na statku „Polanica” dumnych Polskich Linii Oceanicznych. Morison był wybitną indywidualnością, nawet na tle tak prężnego amerykańskiego środowiska naukowego. Wspominałem, imponując mu wyraźnie, że wiem o dwu dowodzonych przezeń okrętach, które pod jego dowództwem odbyły w latach 1940–41 roku cztery podróże dokładnie szlakiem Kolumba (różniące się od karaweli „Santa Maria” tylko wyposażeniem w radiostację i silnik zapasowy na wypadek zaniku wiatru). Komandor Morison odparł, że to jego najmniejsze okręty oraz zrewanżował się informacją, że zwiedzał pięć lat wcześniej w jednym z kanadyjskich portów najpiękniejszy polski statek – transatlantyk „Batory” i był zauroczony jego wystrojem, finezyjną kuchnią i znakomitą obsługą. Zasmuciłem go informacją, że od niedawna rozważana jest sprzedaż „Batorego” do stoczni złomowej.

Komandor poradził mi, żeby podpowiedzieć armatorowi poświęcenie kawałka opuszczonego nabrzeża, obudować falochronem i zacumować ten

transatlantyk na stałe. Podkreślił, że tak planuje się w Long Beach w Kalifornii postąpić z transatlantykem „Queen Mary” – przeciąć go wzdłuż na pół dla wygody zwiedzających, zostawiając jedynie okazałą kaplicę, w której młode pary będą celebrowały śluby, przynosząc dla portu znaczne dochody. W Gdyni zlekceważono całkowicie w PLO moją sugestię pomimo wsparcia kapitana Meissnera, co wkrótce opiszę osobno, natomiast teraz przytoczę kilka ważnych faktów z życia komandora, który wkrótce awansował na admirała.

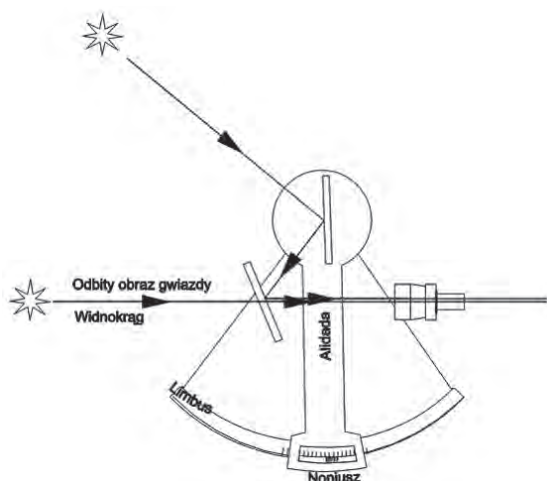
Profesor Uniwersytetu Harvarda, autor 26 ważnych prac naukowych, w tym 15-tomowej *History of US Naval Operation In World War II*, dwukrotnie laureat nagrody literackiej Pulitzera oraz autor swojej pierwszej wydanej w 1940 roku ważnej pozycji marynistycznej *Portugese Voyages to America Before 1500*.

Owocem czterech podróży Morisona było późniejszej monumentalne dzieło *Admiral of the Ocean Sea*, które ukazało się w 1942 roku, a więc w okrugłą rocznicę odkrycia. Ponownie wydano pięknie zmodyfikowany, ilustrowany skrót tego dzieła w roku 1992 (z obu korzystam przy pisaniu niniejszej publikacji). Wartością jego książek jest niezwykle talent i wiedza nawigatora – praktyka. Opis czterech podróży Kolumba jest w dziele Morisona najdokładniejszy w świecie. Zwraca uwagę czytelników



pogląd autora, że Kolumb dokonał więcej nawet niż Magellan oraz podkreślenie, że w Przesmyku Panamskim niewiele brakowało Kolumbowi do odkrycia Oceanu Spokojnego. Ilustracje czterech podróży odkrywczych do Ameryki są w tym dziele perfekcyjnie dokładne i datowane.

Astronawigacja oceaniczna niewiele się zmieniła, z tym, że w odróżnieniu od Kolumba nawigatorzy dysponują dokładnym kątomierzem lusterkowym, zwanym sekstantem. Pomysły proste są najbardziej skuteczne, stąd przewożone w zamykanej skrzynce dwa lusterka, z których jedno zamocowane jest na ruchomej alidadzie dla odczytu pomiarów służą nawigatorom już ponad 300 lat. Przypominam to z uwagi na wyłączenie w 2018 roku na rozkaz Putina rosyjskiej części morskiego GPS, „dzięki” któremu sekstant Izaaka Newtona i Thomasa Godfrey’a wróciły do łask na mostki wszystkich statków świata.



Schemat sekstantu

Uczestnicząc w konferencjach w Nowym Orleanie podczas uroczystości w 1992 roku, zaproponowałem, że nocą Kolumb obserwował od zenitu do zachodu alfę Polluksa z gwiazdozbioru Bliźnięt, która to obserwacja utwierdzała go w utrzymywaniu założonego kursu na 28 równoleżniku – deklinacja alfy Polluksa jest tożsama z szerokością geograficzną statku.

Najjaśniejsza gwiazda konstelacji Bliźnięt dla Kolumba mitologicznie była głową nieśmiertelnego syna Ledy i Zeusa, zaś obydwa bliźnięta były bohaterami podróży Jazona po złote runo.

W XIX wieku zegarmistrze z Francji utrwaliли w swoich czasomierzach figury Kolumba wracają-

cego z pierwszej wyprawy. Niewiele z nich zachowało się w naszym kraju, lecz nawet na amatorskim zdjęciu możemy odróżnić, prócz okazałej postaci odkrywcę, złotą koronę wicekróla oraz na ozdobnej poduszce buławę admirała tzw. Morza Oceanickiego. Krzyż na sercu oznacza, że krzewił świętą wiarę wśród mieszkańców odkrytych lądów i wysp.

Pierwsza podróż była dla Kolumba wielkim sukcesem, a ten uparty i odważny nawigator otrzymał przywileje, których zapis cytuję:

„Don Ferdynand i Donia Izabela, z łaski Bożej Król i Królowa Kastylii, Leonu, Aragonii, Sycylii, Granady, Toleda, Walencji, Galicji, Majorki, Minorki, Sewilli, Sardynii, Kordoby, Jaenu, Alawy, Algecirasu, Gibraltaru jako też Wysp Kanaryjskich, hrabia i hrabina na Barcelonie (etc. etc.). Jest tedy rzeczą słuszną i rozsądną ile, że wystawicie się na niebezpieczeństwo jako nasz słuźebnik, abyśmy was za to wynagrodzili (...) byście byli naszym admirałem, wicekrólem i gubernatorem, byście w przyszłości mogli się tytułować don oraz by wasi synowie i sukcesorzy (...) mogli także tytułować się donami, admirałami, wicekrólami i gubernatorami tychże”.

Dokonano dla przejrzystości drobnych skrótów w tym barokowym tekście. Natomiast 11 października 1492 roku wieczorem Kolumb w bezpiecznej odległości od widocznej wyspy (nazwanej San Salvador) polecił roztropnie wszystkim karawelom zakotwiczyć, a następnego dnia dokonał wiekopomnego odkrycia. Data 12 października jest odtąd rocznicą tego wydarzenia obchodzoną uroczystością na całej zachodniej półkuli.

Zimowa żegluga powrotna przez Atlantyk sprawiła Kolumbowi wiele kłopotu, ale zawiązała do Lizbony w chwałę, natomiast przebył dobrze dystans lądowy do Barcelony, aby stawić się przed obliczem Ich Wysokości Królów Katolickich: Izabeli i Ferdynanda. Dla naszych rozważań dołączam fragment mapy początków podróży wzdłuż 28 równoleżnika.

W kolejnych podróżach Kolumb niepotrzebnie stosował terror, ale to już temat osobny.

Kapitan żegluga wielkiej Józef Gawłowicz – wykładowca w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie, pisarz, w latach 1963–1989 tajny kurier paryskiej „Kultury” do Polski; był także publicystą tejże Kultury, pisując do niej artykuły pod pseudonimami

Układ splątany. Kopernik i inni

O przedstawieniu Macieja Wojtyszki w Teatrze im. Wilama Horzycy rozmawiają Artur Duda i Ewa Walusiak-Bednarek



Przemysław Chojęta jako Kopernik.

Fot. Wojtek Szabelski (szabelski.com)

– Oczywiście możesz mówić, co chcesz. Jednak nie chciałabym mówić o NASZYM teatrze krytycznie...

– To może być trudne, jestem przecież profesjonalnym krytykiem teatralnym (śmiech). Ale mogę powiedzieć, że cenię dramaturgię Macieja Wojtyszki. W planach mamy wydanie po chińsku drugiego tomu antologii współczesnego polskiego dramatu, a w nim pojawi się między innymi *Bułhakow* autorstwa Wojtyszki.

– Wojtyszko specjalizuje się w sztukach biograficznych.

– O tak. Poza *Bułhakowem* napisał na przykład dramat *Chryje z Polską*, w którym dochodzi do spotkania, którego w rzeczywistości nie było – Wyspiańskiego z Piłsudskim. Gra się toczy o sprawę narodową – kolejne powstanie. Z jednej strony mamy Wyspiańskiego, który reprezentuje Polskę chrześcijańską, z drugiej Piłsudskiego, przedstawiciela

Polski socjalistycznej. Piłsudski mówi coś takiego: „Zrobimy powstanie!”, a Wyspiański na to, że przygotowuje i wyda własnym sumptem odezwy do narodu z wizerunkiem Maryi. Czym wprawia Piłsudskiego w osłupienie, przecież to ma być jednak rewolucja społeczna, nie powstanie narodowe. Wojtyśzko wyreżyserował *Chryję z Polską* dla Teatru Telewizji w 2007 roku, w znakomitej obsadzie z Mariuszem Bonaszewskim i Robertem Gonerą.

– Tacy ludzie jak Ty z pewnością inaczej przeżywają przedstawienia. Nie możesz ich odbierać emocjonalnie jak zwykli widzowie. Pewnie zawsze włącza ci się refleksja, włącza ci się krytyk.

– Ja jako widz występuję w podwójnej roli; krytyka i teatrologa. Te dwie role czasem się wspomagają, czasem nie. Teatrologi mają szerszą perspektywę, więcej dystansu, a krytycy jednak reagują tu i teraz, dość jednak emocjonalnie. Można powiedzieć, że u krytyków od razu uruchamia się topór, który ścina głowy. To jest udane, a to nie. Napisałem książkę o toruńskim teatrze polskim i niemieckim w pierwszej połowie XX wieku. W badaniach nad pierwszymi sezonami Teatru Narodowego na Pomorzu po 1920 roku miałem do dyspozycji z reguły tylko jedną recenzję z danego przedstawienia, rzadko dwie. Był taki krytyk „Słowa Pomorskiego” Adam Münnich, nauczyciel gimnazjum miejskiego, który pisał uczone, ale wyłącznie pozytywne recenzje. Skąd mogłem wiedzieć po stu latach, które przedstawienia były dobre, a które nie? Recenzje, jak widać, są jednym z najważniejszych źródeł dla historyków teatru. A teatry generalnie wolałyby otrzymywać same pozytywne recenzje. Nawet laurki.

– Krytyka jest chyba też cenna dla artystów. Mogą przecież dzięki niej coś poprawić.

– Nie wydaje mi się. W teatrze krytyk to dziwna figura – *persona non grata*, którą jednak trzeba zapraszać na premiery. Lubię czytać złośliwe recenzje Antoniego Słonimskiego z międzywojnia. Zdarzało mu się, że nie wpuszczano go do teatru, bo pisał o nim zbyt negatywnie. Słonimski się z tego naśmiewał. Tak w ogóle teatry potrzebują recenzji, bo muszą się jakoś wylegitymować przed władzami, która je nadzorują. Myślę, że recenzja negatywna wcale nie oznacza, że spektakl jest bez sensu! Teatr jest sztuką żywą. Nikt nie ma recepty na spektakl udany. Jak to zrobić, żeby trafił do ludzi. Poza tym jak się ogląda

przedstawienie wielokrotnie, to widać, jak się zmienia. Są takie dni, gdy nic nie wychodzi – i już! A potem nagle wszystko się układa i wszyscy grają świetnie. I wszystkim się podoba! To jest dość skomplikowana materia. Nieustanne balansowanie na linie.

– Jak zatem podobał ci się *Układ splątany*?

– To kolejny dramat Wojtyśzki, którego bohaterem jest wybitna postać. Autora interesuje to, co dzieje się wokół tej postaci. Najciekawsze w *Układzie splątany* jest to, że patroni toruńskich ulic naberają na scenie ciała. Stają się ludźmi z krwi i kości. Zajmują ważne stanowiska i jednocześnie mają wiele przywar i słabości.

– Dla mnie to też jest bardzo interesujące. Szczególnie właśnie Kopernik. Jest tu zupełnie kimś innym, niż sobie wyobrażamy.

– No nie wiem. To jest zasadniczy problem. My przecież nie mamy żadnego klucza do prawdziwego Kopernika. Na ogół przyjmujemy wyidealizowany obraz wielkiego uczonego, kanonika, Polaka. Ten Kopernik nie może mieć słabości. Nie może mieć przy swoim boku kobiety. W przedstawieniu Wojtyśzki Kopernik grany przez Przemysława Chojętę jest ludzki, ale mimo wszystko jednak wciąż wyidealizowany. Tak jak w wielu poprzednich sztukach jemu poświęconych. Właściwie najbardziej mnie zaskakuje to, że ciągle mamy tego samego Kopernika. Genialnego uczonego, który zajmuje się wyłącznie astronomią. Najciekawsza powinna być relacja z Anną Schilling. O niej też nic nie wiemy. To bardzo charakterystyczne, że o mężczyznach z tamtych czasów wiemy stosunkowo dużo. Podejmują jakieś urzędowe decyzje, podpisują dokumenty. O kobietach nie wiemy właściwie nic. I tu pojawia się coś, co moje koleżanki z kręgu teatrologii feministycznej nazywają problemem siostry Szekspira. Zadają pytanie, czy to możliwe, że mieliśmy Szekspira, Moliera, tych wszystkich wielkich artystów, wyłącznie mężczyzn, a wielkich artystek kobiet w ogóle nie było? A może istniały siostry Szekspira? Jest taki projekt HyPaTia, w ramach którego odkrywane są zapomniane artystki.

– Może jednak rzeczywiście ich nie było...

– To trudna sprawa. Jest taki dramat Toma Stopparda *Arkadia*. Opowiada o zderzeniu nauk ścis-

tych, fizyki i matematyki – z humanistyką. Historia dzieje się w starej angielskiej posiadłości. Dwieście lat wcześniej przez pewien czas przebywał tu Byron. Przyjeżdża literaturoznawca Bernard Nightingale i chce znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Byron wyjechał nagle z Anglii w tamtym czasie. Jest hipoteza, że uciekł, bo zabił męża kochanki. Bardzo zgrabna intryga. Ale nie to jest najciekawsze w tej sztuce. Córką właściciela posiadłości Thomasina Coverly jest niezwykle uzdolniona matematycznie. Zadaje wnikliwe pytania o naturę świata. Pojawia się tu więc wątek geniuszu, który jest niezależny od rasy, płci, pozycji społecznej, wieku. Warto zapoznać się z *Arkadią*, choć rzecz kończy się tragicznie. Dziewczynka, czytając nocą przy świecy, ginie w pożarze. Właśnie ona, siostra Szekspira, a może raczej Newtona czy Einsteina. Jej geniusz jednak nie zginie, przeniesie się na kogoś, nie powiem na kogo. Wojtyszek idzie chyba w tę stronę.

– Tak, Anna Wojtyszeki (w tej roli Julia Sobiesiak-Borucka) jest osobą światłą. Dużo wie i jest inteligentna. Może tak było, ale przecież nic się po niej nie zachowało, nie mamy nawet małego fragmentu listu.

– Jak słyszymy, że była gospodynią Kopernika, to od razu wyobrażamy sobie pewien poziom. A u Wojtyszeki Anna jest nowoczesną kobietą, która rozumie pasję Kopernika, w jakiś sposób za tą pasją nadąża. Z drugiej strony jest mało aktywna. W jej relacji z Kopernikiem w przedstawieniu jest jakaś słabość. Nie widzimy ich emocji, trudno uwierzyć w ich uczucia, są bardzo osobni. Chyba dlatego, że ten Kopernik ma być święty. Jak idealny, wielki uczony z naszych wyobrażeń. Święty i bezcielesny, pozbawiony seksualności. Musimy uwierzyć, że to jest uczony, który swojemu odkryciu poświęcił wszystko.

– Zgadzam się, że relacja z Anną jest nieprzekonująca. Ale grający Kopernika Przemysław Chojęta i tak mnie zachwycił. W jego postaci jest niezwykła radość. Radość z tego, że jestem. Że jest świat. Że można go odkrywać. I że jest Bóg. Dziecięca radość odkrywców. Wyobrażamy sobie Kopernika raczej jako żmudnego pracownika, który dzień po dniu powolutku coś tam sobie dłubie. Ale nie dlatego, że go to pasjonuje. Raczej z powodu średniowiecznego wyuczenia, treningu, przyzwyczajenia. Takim Kopernikiem kieruje powinność i pracowitość,

a nie chęć poznania. To mi się szalenie podoba w przedstawieniu. Ten radosny, pełen pasji poznania Kopernik. O to chodzi w nauce. O tę radość odkrycia.

– Rzeczywiście jest to bardzo inspirujące. I zastanawia mnie, do jakiego stopnia Kopernik jest buntownikiem. Matematyka go prowadzi i tu nie ma ściemniania. Prawie wszystko możemy ubrać w jakąś mniej lub bardziej wiarygodną opowieść. Ale matematyka to matematyka. Kopernik odkrywa, że to, co wszyscy uważają za naukę, jest całkowicie fałszywe. Dla mnie jest bardzo ciekawe, w którym momencie on już wie, że idzie na konfrontację z całym światem. I na konfrontację z władzą.

– Kopernik wierzy, że także matematyka jest stworzona przez Boga.

– To jest naturalne. Jeżeli żyjemy w świecie, w którym Bóg stworzył wszystko, to wierzymy także w to, że stworzył matematykę. Kopernik musiał w którymś momencie przyjąć, że to ludzie fałszywie rozumieją świat stworzony przez Boga. I musiał zdecydować, czy ma im otworzyć oczy. Nasuwa mi się paralela z *Sołżenicynem*. Zanim wysłał *Jeden dzień Iwana Denisowicza* do wydawcy, do Moskwy, najpierw zrobił kilka kopii i rozwiózł je w różne miejsca Rosji, jeden egzemplarz został zakopany pod drzewem gdzieś na Syberii. *Sołżenicyn* wiedział, że jego książka może zostać natychmiast zniszczona. *De revolutionibus* Kopernika było taką właśnie książką. Pojawia się fala protestantyzmu w Europie. Wiadomo, że Kościół katolicki za chwilę będzie toczył wielką wojnę. Ta książka już wtedy, gdy wędruje do wydawcy – jest wybuchowa. Może oznaczać problemy. Może oznaczać śmierć. Zastanawia mnie, czy on ma tego świadomość. Czy jest tylko ten jeden egzemplarz? Czy jakoś się zabezpiecza przed tym, co się może stać?

– To rzeczywiście jest bardzo ciekawy wątek. W przedstawieniu potraktowany trochę po macoszemu. Kopernik bardzo długo zwlekał z publikacją *De revolutionibus*. Przyjmuje się, że został namówiony. Że sam tego nie chciał. A skoro tak, to miał świadomość konsekwencji.

– Nie chcielibyśmy o nim myśleć, że tchórzy, że się boi. Myślę, że żaden naukowiec się nie boi. Chodziło raczej o to, że nie był badawczo gotowy.

– Nie miał jeszcze pewności.

– Był na etapie hipotez, a nie dowodów. To jest w przedstawieniu ładnie pokazane. Kopernik ma w sobie całkowity spokój, nie ekscytują go żadne sprawy zewnętrzne. Nawet biskupie interwencje, upomnienia. Właściwie to po nim spływa. I dużo mówi, jak ważna jest dla niego Anna. Kopernik nie chce zrealizować nakazu biskupa. Nie odmawia, ale też odwleka. W naszych oczach bardzo zyskuje, bo ma krąg bliskich i żadnego z nich nie zdradzi.

– Jest w przedstawieniu kilka dominant. Po pierwsze – nauka; kim jest naukowiec. Po drugie – wiara i jej stosunek do nauki. Po trzecie – polityka. Tytuł sztuki *Układ splątany* prowadzi nas w kierunku polityki. Wojtyśko napisał sztukę na podstawie książki Wojciecha Orlińskiego.

– Orliński postarał się, żeby życie Kopernika było ciekawe, wręcz sensacyjne. Jest to bardzo dobra książka dla ludzi, którzy chcą się zorientować w świecie Kopernika. Jak wyglądały uniwersytety, kto mógł sobie pozwolić na kształcenie, te wędrówki po Europie. Natomiast w kwestiach politycznych Orliński jest dziennikarzem. Wszystko tu jest sensacyjne. W przedstawieniu pojawia się postać Dantyszka, barwnie zagrana przez Łukasza Ignasińskiego. Wydaje mi się jednak, że jest on ukazany zbyt jednostronnie. Jednostronnie negatywnie. Uprawia brudną politykę. No i ta cała sieć donosicieli. To polityka uprawiana poprzez tajne raporty dzięki informatorom i donosicielom. Bliska Kopernikowi osoba, Feliks Reich grany przez Pawła Tchórzelskiego, jednocześnie na niego donosi.

– I co do tego mamy pewność. Orliński tu nie konfabuluje. Nie musi, zachował się dokumenty.

– W przedstawieniu zastosowano ciekawy chwyt formalny, który pozwala na dyskusję z widzami na temat wiarygodności tego, co jest pokazywane. Aktorzy co jakiś czas wychodzą z roli i rozmawiają o sensowności różnych wątków i elementów przedstawienia. Można było pójść z tym jeszcze dalej. Sama postać Kopernika ciągle domaga się naszej refleksji. Mamy w Polsce potężne mechanizmy polonizacji. Polska nauka jest wielka, gdyż Mikołaj Kopernik był Polakiem. No, nie był Polakiem w takim sensie, jak dzisiaj myślimy. Jesteśmy wychowani w bardzo głębokim przekonaniu, że polskość jest

osadzona w języku oraz w dość jednolitej etniczności. I wychowani w poczuciu zagrożenia; gdy z naszą polską krwią mieszać niemiecką czy rosyjską, to dzieją się rzeczy złe. Tymczasem Kopernik żyje w świecie, w którym te sprawy nie były kluczowe. Tak naprawdę można być uczynić Mikołaja Kopernika patronem i obiektem badań transnarodowych (*transnational studies*). W ramach tej dynamicznie rozwijającej się subdyscypliny chodzi o to, żeby nie patrzeć na świat z perspektywy jednego narodu, tylko dostrzegać sieć relacji ponadnarodowych, wykraczających poza ramy państwa narodowego. Orliński bardzo dobrze pokazuje świat, który nie jest światem państw narodowych. To, jakim językiem mówimy, nie ma znaczenia dla wyboru ojczyzny. Kopernik mówi jakimś dialektem języka niemieckiego, dziś już nieużywanym, i jednocześnie może być obywatelem Polski, który staje w jej obronie i ma zasługi dla państwa. Ale bardzo trudno przyjąć, że jest polskim uczonym. Polskim – to znaczy jakim? W Polsce istnieje wtedy tylko jeden ośrodek akademicki. Kopernik musi funkcjonować w transnarodowej wspólnocie uczonych. Musi komunikować się z uczonymi z Włoch czy państw niemieckich, także ponad religiami. Inna nauka nie istnieje wtedy. W tym sensie Kopernik był dogłębny umiędzynarodowiony. Zresztą jak każdy uczony w tamtych czasach.

– Niesamowicie trafnie to ująłeś. Stale dążymy do większego umiędzynarodowienia badań, nie pamiętając, że w średniowieczu była to jedyna forma funkcjonowania w nauce. Uczonych było tak mało, że w jakimś sensie byli na to skazani.

– Nie było jakiegoś wewnętrznego polskiego życia naukowego. Ludzie światli od razu wchodzili w obieg międzynarodowy. Orliński pokazuje także płynność granic. Ich niestabilność. Na przykład Warmia; tu ciągle toczy się walka o granice, gry o względną niezależność polityczną. Dystans Kopernika do polityki jest całkowicie zrozumiały. Polityka jest płynna, niestabilna, nie da na niej nic budować.

– Burzenie czwartej ściany w przedstawieniu służy też refleksji na temat tego, jak mało o Koperniku wiemy, i namysłowi, w jaki sposób można te luki sensownie wypełniać.

– Tu dochodzimy do wielkiej pochwały literatury i teatru, a także humanistyki, których zadaniem staje się ciągłe wypełnianie luk, oddanie

poła wyobraźni i strategiom rekonstrukcyjnym. Założycielskim aksjomatem teatrologii jest fakt, że przedstawienie wydarza się i znika. Zostają tylko dokumenty, świadectwa odbioru. Każdy teatrolog, zaraz gdy przedstawienie schodzi z afisza, staje się historykiem. Kimś, kto musi pracować z archiwaliami, a nie z samym przedmiotem, który rozpułynał się w powietrzu. Teatrolog musi więc swój obiekt badań zrekonstruować. I trzymać się w ryzach metod badawczych. Wojtyszko jako dramaturg i reżyser ma tę przewagę nad teatrologami czy historykami literatury, że wolno mu fantazjować. Wolno puścić wodze wyobraźni. Poprowadzić postaci w jakąś stronę. To wcale nie znaczy, że są one niewiarygodne. W programie do przedstawienia w Teatrze Horzycy znalazły się fragmenty znakomitych tekstów Mariana Biskupa i innych naukowców. Możemy zobaczyć, jak często w tych naukowych tekstach pojawia się potrzeba psychologizacji, refleksji nad motywacjami działań postaci historycznych. Co Kopernik mógł sobie myśleć w danej chwili, kiedy pisał dany list, podpisywał dany dokument itp. Wszędzie, gdzie pojawiają się takie pytania, wypadamy w jakiejś mierze z pola nauki. Są to sprawy niepewne, niejednoznaczne, na które nie mamy i nie będziemy mieć dowodów. A jednak wchodzimy w to humanistyczne pole niepewności, niedookreśleń. Potrzebujemy hipotez. U Orlńskiego ta potrzeba jest bardzo widoczna. Kim był ojciec Kopernika? Jak to możliwe, że doszło do jego małżeństwa z kobietą z tak znaczącego rodu kupieckiego? Znaleźcie jednoznacznych odpowiedzi wydaje się niemożliwe. Ale samo ich poszukiwanie pozwala nam rozumieć rzeczywistość. I tamtą, i naszą własną. To w moim przekonaniu jest zasadnicze uzasadnienie dla istnienia humanistyki. My, humaniści poruszamy się w polu spraw niestabilnych, niektórzy podejrzewają, że nienaukowych. Tylko dlaczego mielibyśmy pozostawić ten niepewny ludzki świat bez próby rozpoznania reguł nim rządzących? Bez postawienia pytań, próby zrozumienia tego, w czym uczestniczymy, skąd się wzięliśmy i dokąd zmierzamy? To jest właśnie największą zasługą Macieja Wojtyszki i wszystkich twórców spektaklu – próba zrozumienia Kopernika, a może także wszystkich uczonych wpatrzonych w niebo.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Jarosław Dumanowski

Nowy Jork. W poszukiwaniu kuchni żydowskiej

Tykocin i Włodawa, Leżajsk, Lubraniec czy Pińczów: dawne sztetle, żydowskie miasteczka, są dzisiaj puste. Tylko w niektórych z nich pojawiają się jeszcze czasem potomkowie ich żydowskich mieszkańców. Pielgrzymują do grobów znanych cadyków, odwiedzają zamienione w muzea synagogi i poszukują grobów przodków na nielicznych ocalałych cmentarzach.

W poszukiwaniu śladów kuchni żydowskiej, po rozmowach z rabinem Michaeliem Schudrichem, wizycie w sklepie koszernej przy synagodze Nożyków w Warszawie, zwiedziliśmy także warszawskie Muzeum Polin, które niedawno organizowało wystawę o żydowskiej kulturze kulinarnej. W towarzystwie dr. Marka Tuszewickiego z Instytutu Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego zwiedziliśmy krakowski Kazimierz i po tym wszystkim postanowiliśmy ruszyć znacznie dalej, by zjeść w prawdziwych żydowskich restauracjach, zrobić zakupy w koszernej sklepach i spotkać ludzi, dla których kuchnia aszkenazyjskich Żydów jest dalej czymś żywym, ważnym i codziennym.

Nasz wybór padł na Nowy Jork. Wiedzieliśmy o licznych tam skupiskach ortodoksyjnych Żydów, całych zamieszkałych przez nich dzielnicach i niezwykłej atmosferze żydowskiej wspólnoty: od szkół po instytucje kulturalne, sklepy, restauracje i synagogi. Do wyjazdu zachęcali nas profesor Fabio Parasecoli (Department of Nutrition and Food Studies na Uniwersytecie w Nowym Jorku) oraz Barbara Kirshenblatt-Gimblett, emerytowana profesor Uniwersytetu w Nowym Jorku, a obecnie Główna Kuratorka Wystawy Stałej Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie. Naszym przewodnikiem i reżyserem podczas filmowania materiałów w USA został Sławomir Grünberg, syn znanego uczonego, profesora naszego uniwersytetu, śp. Karola Grünberga.

W naszej relacji pominię przygody związane z transportem setek kilogramów sprzętu filmowego i zaczęć od pierwszego dnia zdjęciowego. Udaliliśmy się najpierw do jednej z najbardziej znanych piekarni żydowskich na Brooklynie: Weiss Kosher Bakery. Szczęście czy pech chciały, że było to w piątek ok. południa i z każdą minutą wokół piekarni i w niej samej gęstniał tłum do klientów. Na ulicy w najróżniejszych i najdziwniejszych miejscach stawały porzucone na chwilę samochody, tworzył się gigantyczny korek, ale wszyscy rozumieli, że przed szabatem nie można nikogo popędzać, bo każdy sam doskonale wie, że trzeba się śpieszyć. Większość klientów kupowała ogromne ilości „himmlische challach”, domowej chałki, której sława docierała do najdalszych zakątków Brooklynu, a jest to już spory kawałek świata. Według Abrahama Weissa, właściciela piekarni, jego chałki są naprawdę domowe, przygotowywane według receptur babci, która pochodziła z Węgier. Przed szabatem klienci kupowali głównie chałki, ale wzięciem cieszą się także „rugelach”, żydowskie rogaliki, faszerowane zwykle makiem, a czasem też i powidłami z bakaliami. Z jednej strony bardzo przypominają one nasze rogaliki z kruchego ciasta, ale próbując je, mamy nieco dziwne wrażenie, jakbyśmy jedli makowiec, notabene też ważny produkt z piekarni Abrahama.

Pan Weiss z podziwu godną gracją manewrował swoją godną posturą między tłumem klientów. Właściciel piekarni znał większość swoich klientów, rozpoznawał i pozdrawiał setki gości w jidisz i po angielsku, a do nas zwracał się nawet po polsku. Abraham zna chyba tysiące ludzi, pamięta ich imiona i nazwiska, imiona ich żon, mężów i dzieci, a oni wszyscy znają oczywiście jego.

Takie miejsce to nie tylko sklep z jedzeniem czy rzemieślniczy warsztat, w którym to jedzenie powstaje. To miejsce spotkań, kontaktów i wymiany informacji, ale też ważny dla konsumentów dowód na autentyczność i jakość jedzenia. Klientom jedzenie wydaje się bezpieczne, bo znają i spotykają jego wytwórcę, a w dzisiejszym zindustrializowanym, globalnym świecie masowej dystrybucji żywności nie jest to łatwe, zwłaszcza w wielkim mieście.

Dzisiaj ogromna większość ludzi nie zna wytwórców swojego jedzenia nie tylko dlatego, że od wytwórców żywności dzieli nas bardzo długi łańcuch produkcji i dystrybucji, ale także dlatego, że ktoś taki jako konkretna, jedna osoba po prostu nie istnieje. W fabryce sera nie ma tak naprawdę serowara, który robiłby dla nas ser: pracują w niej dziesiątki albo



setki osób, z których każda zajmuje się jakąś drobną częścią bardzo długiego i skomplikowanego procesu. Nawet gdy na jedną z tych osób przypadkiem się gdzieś natkniemy, to i tak jej nie rozpoznamy... A takiego spotkania właśnie potrzebujemy, bo gdy za naszym jedzeniem stoi konkretny wytwórca, który na dodatek sam swoje produkty sprzedaje, to czujemy się bezpieczniejsi. Długie łańcuchy żywieniowe i anonimowość jedzenia wzbudza w nas obawy, które rzemieślnik, a jednocześnie sprzedawca skutecznie rozwiewa samą swoją obecnością. Klasyczną wzorcową postacią tego typu był Tewje Mleczarz z powieści Szolema Alejchema i musicalu *Skrzypek na dachu*. Ze swoim mlekiem i nabiałem przemierzał okolicę, odwiedzał swych klientów, zbierał i kolportował informacje, a ta osobista relacja była dla konsumentów gwarancją jakości.

Przy okazji tropienia śladów dawnej polskiej kuchni żydowskiej natykaliśmy się na interesujące przykłady obecności w Nowym Jorku także i polskiego jedzenia i to właśnie związek między tymi dwoma wzorcami wydał nam się najbardziej interesujący. Już wizyta u Abrahama Weissa dała nam przedsmak tego poczucia wspólnoty. Chałki, makowiec, podobny do polskiego chleb, pączki, drożdżówki, ptysie i eklery czy raczej w ogóle pewien sposób wytwarzania ciast i łączenia składników, nadawania im specyficznych kształtów – wszystko to było nam doskonale znane i w większości obecne tak w piekarni Weissa jak i w polskiej cukierni. W każdym razie makowiec od Abrahama wypiekany



przez zatrudnioną u niego Polkę smakował bardzo podobnie do makowca z polskiej cukierni przygotowywanego przez Mario z Hondurasu.

Idąc dalej polskim tropem, zjedliśmy małe co nieco w restauracji Little Poland na Manhattanie, w której spotkaliśmy się z profesorem Barbarą Kirshenblatt-Gimblett. Arcypolski rosół sąsiadował z niemniej swojskim barszczem, w menu była jednak i „matzo soup”, czyli rosół z pulpecikami z macy, jedna z najbardziej znanych w świecie potraw żydowskich. Do tego kapuśniak ze świeżej kapusty, krupnik i ogórkowa, bigos i pierogi (ale tylko z serem i mięsem), naleśniki i placki ziemniaczane, oczywiście schabowy i „kielbasa”, gołąbki i wiele innych, także międzynarodowych dań. Do rangi definicji kuchni polskiej urastał popularny wśród klientów „polski talerz”, na którym znalazły się cztery pierogi, dwa placki ziemniaczane i jeden naleśnik.

Tego typu, jak mówią ludzie kuchni, „koncept”, został jeszcze bardziej rozwinięty w naprawdę niezwykłym miejscu: polskiej restauracji koszernej na Manhattanie, na dodatek wegetariańskiej czy dokładniej mówiąc: „nabiałowej”. B&H Dairy Kosher Restaurant prowadzona jest przez Polkę i Egipcjanina. Przybytek od lat był koszerne, co dla bywalców tej części Manhattanu jest raczej synonimem jakości niż religijności i narodowości.

Nad żydowskim charakterem kuchni czuwają tu nie Żydzi, ale niezwykła para właścicieli i latynoscy pracownicy. Marki koszerne miejsca nie chciał zmienić muzułmanin, a dla Polki barszcz, ro-

sół, krupnik, a nawet „matzo soup”, chałka czy takie żydowskie specjały jak pierogi i placki ziemniaczane nie były wcale jakoś specjalnie obce. W każdym razie restauracja po jej przejściu przez nowych właścicieli pozostała koszerne i stała się odrobinę bardziej polska.

Jej koszerność, choć oficjalna, zatwierdzona i kontrolowana przez mającego odpowiednie uprawnienia rabina, jest jednak dla klientów tak samo umowna jak jej polskość. Nie spotkamy tu ortodoksyjnych Żydów, a i Polacy trafiają się rzadko. Dla bywalców tego miejsca jest to jedna z wielu, na dodatek uświęconych lokalną tradycją, restauracji etnicznych, a właściwie regionalnych i lokalnych (lokalne jedzenie to coś w knajpce za rogiem, jak odpowiadali na pytania prof. Fabio Parasecoli jego respondenci). A polskie i żydowskie zawsze jakoś się tu ze sobą kojarzyło tym nielicznym konsumentom, którzy temat próbowali zgłębiać.

My próbowaliśmy to zgłębiać w towarzystwie profesora Barbary Kirshenblatt-Gimblett, która dzielnie wspierała nas już w konsumpcji chłodnika i opróżnianiu zawartości kolejnych talerzy z pierogami, plackami ziemniaczanymi, naleśnikami itd.

W gościnie u Barbary, mieszkającej niedaleko polskiej, koszernej i na dodatek wegetariańskiej restauracji, mogliśmy się pochylić nad jej kolekcję 8000 książek kucharskich i spróbować potraw z czasów jej dzieciństwa. Był to rodzaj krupniku z rozartym grochem i przede wszystkim czulent, jednogarnkowa potrawa szabasowa, przygotowywana w stygącym piecu chlebowym lub specjalnym „szabaśniku”. Pożywna, jednogarnkowa potrawa składała się zwykle z kaszy, warzyw, jajek i mięsa, w wersji biedniejszej – samych kości czy tłuszczu. Garnek wypełniony tymi składnikami wkładano do powoli stygnącego pieca i potrawa przez wiele godzin, zwykle całą noc i dłużej, powoli dochodziła, a składniki przenikały się specyficznym aromatem. Całość jest przepyszna, choć wymieszane i zapieczone razem składniki zbyt imponująco nie wyglądają. Barbara wyznała nam, że czulentu nie przygotowywała od lat, robiła to tylko na naszą prośbę. Fakt, że jedliśmy czulent akurat w sobotę, czyli właśnie w czasie szabatu, był powodem szczególnych wspomnień i wzruszeń.

Na moje uwagi, że kuchnia żydowska w Nowym Jorku bardzo przypomina mi kuchnię polską i czasem naprawdę trudno by się było zorientować po samych potrawach i produktach, o którą z tych kuchni chodzi – najlepszy przykład to odwiedzona

przez nas razem polska restauracja koszerna – Barbara odparła, że nie zawsze samo jedzenie rozstrzyga o jego klasyfikacji. Często ważniejszy jest użytek, jaki z niego robimy, sens jaki mu nadajemy i oczywiście sami ludzie – konsumenci, którzy takie czy inne jedzenie uznają za swoje. Klasycznym przykładem są tu placki ziemniaczane i słynne żydowskie „latkes” – czyli w zasadzie to samo. Polskie placki ziemniaczane od żydowskich dzieli znacznie mniej niż przepaść między wielbicielami pysznych placków z cukrem czy tych dziwacznych serwowanych podobno z solą czy innymi zaskakującymi dodatkami.

W każdym razie polskie placki ziemniaczane to potrawa (kiedyś) codzienna, tania i zwykła. Dziś, gdy bardziej niż produkt liczy się czas i praca, sytuacja trochę się zmieniła. Placki ziemniaczane nie są jednak dla nas „latkes” – ozdobą chanukowego stołu. Rytuał zapalania świec, świec i oliwnych lampek ma dalszy ciąg w kuchni w postaci potraw smażonych na oliwie lub oleju, takich jak właśnie placki ziemniaczane, ale też naleśniki, racuchy i pączki. Barszcz z buraków Żydom kojarzy się ze świętem Pesach, a my w obchodzoną również wiosną Wielkanoc objadamy się żurkiem. Gefilte fisz Żydzi jedzą na Nowy Rok, a w tradycyjnej kuchni polskiej karp po żydowsku jest ozdobą stołu wigilijnego...

Gefilte fisz, w tym przypadku coś między tak właśnie nazywanymi pulpecikami z karpia, a wigilijnym karpem po żydowsku mieliśmy okazję spróbować w koszernej kuchni Racheli. Przepyszną rybę przyrządziła dla nas Sabina, a spotkanie przy świątecznym stole (akurat wypadało święto Sukkot) stało się dla nas okazją do rozmów i wspomnień, które zaczęliśmy już przy słynnej piekarni specjalizującej się w wyrobie bajgli. Część z naszych rozmówców Polskę opuściło w 1968 r., gdy nagle dowiedzieli się, że są syjonistami, wrogami narodu i w kraju nie ma dla nich miejsca. Zwykle nie znali ani jidysz, ani tym bardziej hebrajskiego, niezbyt orientowali się w żydowskich tradycjach i nie byli wcale religijni. Dopiero na emigracji zetknęli się z żydowską religią i kulturą. Takich opowieści wystuchiwalismy, zając się bajgłem z twarogiem i łośosiem, podziwiając kunszt piekarzy i zastanawiając się, jak to się stało, że skromne pieczywo aszkenazyjskich Żydów zrobiło zawrotną, globalną karierę.

Na świecie rozpoznawalna jest maca i gefilte fisz, bajgle, knysze i „biały”, chałka, placki ziemniaczane, barszcz i inne potrawy. Z Polski, Europy środkowej i wschodniej do Nowego Jorku przywieźli je żydowscy emigranci. W Ameryce stały się one

częścią kuchni etnicznej i tak jak w przypadku innych emigrantów zostały najpierw odrzucone przez pierwsze lub drugie pokolenie urodzone w Ameryce, a potem zaakceptowane przez ich dzieci i wnuki jako oznaka tożsamości i wyróżnik. Dla nas najciekawsze jest to, że większość tych potraw to także dania kuchni polskiej, powszechnie jednak są kojarzone z żydowską kulturą kulinarną.

R. Wolff, *Polska kuchnia koszerna*, Warszawa 1877

Rosół z pulpetami z bułki

Przyrządzenie zwyczajne. Połowa bułki moczy się, druga połowa trze się. Pierwszą dobrze się wyciska i dodaje na trzy bulki dwa jajka, trochę cukru i soli. Można także skórkę od cytryny. Wyciśnięta bułka suszy się w gorącym tłuszczu na patelni. Późem wszystko, leje się do rondla z wyjątkiem jajek, które dopiero dodają się po ochłodzeniu masy. Robią się tedy kluski, które się do rosółu wysypują. Można je także przyrządzić bez cukru, w takim razie dodaje się siekaną cebulę, trochę soli i pieprzu; kluskom też daje się większą formę.

Czolend

Biały bób myje się, kładzie do garnka, w którym kładzie się kilka kawałków szpikowych kości, do tego wysypuje się coś z grubszych krup, wszystko surowe, kładzie jeszcze kawałek tłustego mięsa i soli; zakrywa się to i posyła w piątek, przed wieczorem do piekarza, który polewa to wodą i stawia do pieca,





naumyślnie na ten cel zbudowanego, gdzie się do soboty w południe zostaje, i skąd wychodzi gotowe i bardzo gorące. Lecz robi się to rozmaicie: robi się miękkie ciasto z mąki, krajane tłuszczu, krajanej cebuli, soli i wody, kładzie na dno garnka kawałek tłuszczu, lub szpiku, na to ciasto uformowane na kulę, potem, jak pierwiej, bób i krupy, albo tylko bób, albo krupy, wkłada szpikową kość albo kawał tłustego mięsa z solą i posyła to do piekarza. Albo kładzie się do garnka kość i kiełbasę czosnkową, wysypuje wybrany i myty groch, sól i posyła do piekarza.

Niektóre potrawy, używane na Wielkanoc (Pessach)

Barszcz burakowy

Kilka tygodni przed świętami przyrządzają się buraki, myte i rozkrajane w beczce z wodą; stawiają do ciepłego miejsca, aż się rosół staje kwaśny; wtedy leje się przez serwetę do garneków. Z tego rosółu robi się barszcz, i (o w rozmaity sposób. Najlepszy jest następujący: przystawia się tyle, ile się chce barszczu, można także dolać wody, jeżeli jest zanadto kwaśny; wkłada teraz cukier, skórkę cytrynową i cały cynamon. Gdy się to zagotuje, wysypuje się tyle tłuczonej macy, że się staje dość gęsty i nareszcie zaprawia się żółtkami od jaj. Barszcz ten smakuje jak winna zupa. Inaczej, gęściej przyrządza się w więk-

szej ilości macą i tłuszczem, krajają się do tego także kawałki gotowanego mięsa.

Maca smażona z jajkami

Maca moczy się raz w zimnej wodzie, potem kładzie się do gorącego tłuszczu lub gorącego masła, polewa rozbitymi jajkami, w których znajduje się trochę soli, smaży i obraca na wszystkie strony. Teraz znowu się oblewa, smaży itd., aż wyjdą wszystkie jajka, potem posypuje się cukrem i cynamonem. Do takiej macy można użyć do 15 jajek.

F. Lewando, *Kuchnia djeto-jarska*.

400 potraw wyłącznie z jarzyn i owoców, Wilno 1938

Przystawka z faszerowanych pomidorów

Z 1 kg twardych, niedużych pomidorów wybrać miąższ i smażyć na oliwie z 2 tartymi cebulami. W międzyczasie przetrzeć na tarce buraczkowej 2 marchewki, 2 pietruszki i 2 selery i masę tę również smażyć na oliwie, dodać soli, wszystko razem starannie zmieszać i nadziewać pomidory tą masą. Przy podawaniu do stołu posypać koperkiem, zieloną cebulką i obłożyć zieloną sałatą i plasterkami cytryny.

Gruszki z kartoflami

Obrać 1 kg dużych, zielonych i twardych gruszek, pokrajać na 4 części, włożyć do garnka i dodać 4 łyżki cukru, 10 dkg masła, nieco soli i angielskich korzeni, kilka liści bobkowych, soku z ½ cytryny i ½ pokrajanych kartofli. Przykryć i wstawić do piecyka, by się przydusiło.

Łazanki z grzybami

Zgotować 10 dkg grzybów, odcedzić, dodać smażone na maśle 2 pokrajane cebule i wszystko przemleć na maszynce. Następnie nieco posolić i starannie wymieszać. Potem ugotować 1/2 kg łazanek (makaronów), odcedzić, wymieszać z przemlełą masą, dodać 10 dkg roztopionego masła i znów wymieszać.



Prof. Jarosław Dumanowski — kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarного na Wydziale Nauk Historycznych UMK

Zdjęcia nadesłane



Fot. Marcin Lutomierski

Marcin Lutomierski

Baśnie w życiu dzieci

Długie zimowe wieczory stwarzają doskonałe okazje do słuchania i czytania baśniowych opowieści, w których jest coś tajemniczego, a przez to fascynującego. Dlaczego wciąż warto przekazywać te utwory dzieciom? Odpowiedź jest złożona...

Dawne opowieści

Zacznijmy od przypomnienia, że baśniowe opowieści powstawały znacznie wcześniej, niż wykształciło się samo pojęcie baśni. Ich rodowód sięga mitów i archaicznych obrzędów inicjacyjnych, które z jednej strony wprowadzały człowieka w problematykę egzystencjalną, z drugiej zaś porządkowały wiedzę o świecie, nadawały mu pewne ramy, a tym samym oswajały go.

Przez wieki słuchaczami baśni byli przede wszystkim lub tylko dorośli, którzy znajdowali w tych historiach swoje troski, marzenia i fantazje. Zapewne z tego względu dawne ludowe opowieści

niekoniecznie miały ambicje wychowawcze. Podkreśla to prof. Eliza Pieciul-Karmińska – autorka filologicznych przekładów baśni braci Grimm w postępie do najnowszej edycji wyboru historii z 1812 r. „Cechą szczególną – konstatuje badaczka – większości fabuł z pierwszego wydania [...] jest właśnie brak dydaktycznego zacięcia. W wielu tekstach nie uświadczymy czarno-białej wizji świata, którą obecnie uważamy przecież za jeden z wyznaczników gatunkowych baśni ludowej [...]”¹.

Dodajmy, że te ludowe opowieści – układane i rozpowszechniane często przez ludzi prostych i niewykształconych – były przepełnione różnymi mądrościami życiowymi, z której tylko pewną część zaczęto przekazywać dzieciom. Spod przysłowiowej

¹ E. Pieciul-Karminśka, *Od tłumaczki, w: Żyli długo i szczęśliwie, póki nie umarli. Nieznane baśnie braci Grimm*, wybór i przekład E. Pieciul-Karminśka, Warszawa 2023, s. 258.



Fot. Polona

strzechy czy namiotu baśnie dość szybko zawędrowały do dworów, pałaców, kamienic i zamków, a znacznie później – w skróconej, wysublimowanej i książkowej formie – do szkół.



Fot. Polona

Współczesna recepcja

Z czasem baśnie zaczęły inspirować wielu profesjonalnych pisarzy dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Tak jest do dziś, co na polskim rynku wydawniczym potwierdzają choćby takie książki, jak m.in.: *Plaster czarownicy i inne baśnie* Małgorzaty Strzałkowskiej, cykl *Siedem szczęśliwych. Baśnie nie dość znane* Roksa-ny Jędrzejewskiej-Wróbel, *Współczesny bajarz polski* Zuzanny Orlińskiej czy liczne powieści i opowiadania *fantasy*.

Dziś baśnie jako utwory (zarówno te ludowe, jak i literackie) oraz ich elementy (motywy, symbole, schematy) funkcjonują w różnych wcieleniach. Kultura popularna i kultura masowa bardzo często korzystają z repertuaru baśni lub jej konwencji – zwłaszcza cudowności, heroizmu, metamorfozy, winy i kary czy szczęśliwego zakończenia (choć wiadomo, że nie jest ono cechą każdej historii nazywanej baśnią).

Współcześnie – jak zauważa prof. Violetta Wróblewska – terminem *baśń* lub *bajka magiczna* określa się „[...] opowieść, w której prawa świata nadprzyrodzonego dominują nad prawami fizyki, a ludzki bohater, pozostający w centrum wydarzeń, bez trudu je pokonuje, by osiągnąć spodziewany w finale sukces. Wspomagają go dobrzy ludzie, czasami zwierzęta, więc droga do zwycięstwa, choć niełatwa, wydaje się do pokonania, mimo że przeszkody się mnożą, a antagonistą (przeciwnik), zazwyczaj nadprzyrodzony – smok, czarodziej, czarownica – nie daje za wygraną”².

Wpływ na psychikę

Już w międzywojniu dr Stefan Szuman zwracał uwagę na rzeczywistość fikcyjną bajki (mając na myśli zwłaszcza bajkę magiczną, czyli baśń), która „[...] jest dla dziecka najlepiej zrozumiała, odpowiada potrzebom jego pierwotnego myślenia”³. A zarazem ostrzegał, że świat tych utworów nie powinien ograniczać dziecka w poznawaniu rzeczywistości, tylko przez swoje „przebranie” do niego prowadzić.

Jednak – jak podkreśla prof. Dorota Simonides – „głównym celem baśni nie jest ucieczka w krainę marzeń, nie jest także, jak sądzili niektórzy, realizacja marzeń,

² V. Wróblewska, *Współczesny bajarz polski...*, w: Z. Orlińska, *Współczesny bajarz polski*, Warszawa 2021, s. 14.

³ S. Szuman, *Wpływ bajki na psychikę dziecka*, w: tenże, *Wybór pism estetycznych*, wprowadzenie, wybór i oprac. M. Kielar-Turska, Kraków 2008, s. 153.



Fot. Polona

żyć, lecz jest nim przeżycie przygody"⁴. Mowa tu o „przygodzie” nie tylko jako rozrywce, ale przede wszystkim jako okazji do sprawdzenia wartości bohatera, jakimi się kieruje w życiu.

Prof. Grzegorz Leszczyński – nawiązując do koncepcji Brunona Bettelheima – przypomina o ważnej roli w rozwoju poznawczym dziecka. „Baśń nie oszukuje dziecka – konstatuje badacz – że życie nie wymaga ofiar, że jest pasmem przyjemności, radosnego duchowego lenistwa, że nie zna niebezpieczeństw. Przeciwnie: pokazuje, że wzrasta się wewnętrznie poprzez cierpienia, zmagania ze sobą i z otoczeniem. Droga do piękna prowadzi przez brzydotę, do prawdy – przez obłudę, do dobra – przez bezkresny ocean zła”⁵.

Należy pamiętać, że od początku upowszechniania baśni ludowych w formie książkowej towarzyszą im kontrowersje – aż do dziś. Wśród najczęściej powtarzanych zarzutów są oskarżenia o drastyczność i okrucieństwo (np. okaleczanie lub zabijanie ludzi i zwierząt), negatywne stereotypy (np. złej żony,

złej macochy czy wilka atakującego ludzi). Ponadto przeciwnicy czytania dzieciom i przez dzieci baśni ludowych zwracają uwagę na ich często archaiczny (czyli niezrozumiały) język oraz obce współczesnemu odbiorcy realia historyczno-kulturowe. Nie wdając się w szczegółową polemikę z tymi zarzutami, warto podać trzy kontrargumenty. Pierwszy jest dosyć oczywisty: w niezwykle bogatym zbiorze baśni o rodowodzie ludowym nie wszystkie utwory nadają się do czytania dzieciom i przez dzieci; mamy jednak z czego wybierać lub możemy dokonywać odpowiednich adaptacji. Po drugie, baśniowych opowieści nie należy odbierać dosłownie (realistycznie) i dzieci na ogół czują to intuicyjnie, radząc sobie świetnie ze zrozumieniem baśniowego świata – wbrew obawom dorosłych. Po trzecie, baśnie są nie tylko do słuchania i czytania, ale też – do dyskusowania. Nie powinno się zostawiać dziecięcego odbiorcy samego z różnymi myślami wywoływanymi przez te fantastyczne historie. Należy być otwartym lub nawet subtelnie inicjować rozmowę o przeczytanej bajce magicznej.

Korzyści wynikających z obcowania dzieci z baśniami ludowymi i literackimi jest sporo. Przede wszystkim utwory te porządkują sfery rozwoju: emocjonalną i aksjologiczną. Ponadto poruszając w przystępny sposób skomplikowane problemy



Fot. Polona

⁴ D. Simonides, *Fantastyka baśni i innych tekstów folklorystycznych w życiu dziecka*, Warszawa 1978, s. 119.

⁵ G. Leszczyński, *Wielkie małe książki. Lektury dzieci. I nie tylko*, Poznań 2015, s. 183.



Fot. Marcin Lutomierski

egzystencjalne, przygotowują młodego człowieka do życia w społeczeństwie. Szczególnie ważne jest tutaj ukazanie zła, które pod różnymi postaciami istnieje w świecie. Baśnie oswajają również odbiorcę z głównymi lękami, dając mu jednocześnie poczucie wewnętrznej siły i optymizmu. A przy okazji rozbu-



Fot. Polona

dzają wyobraźnię i ciekawość poznawczą, które tak bardzo przydają się w świadomie przeżywanym życiu.

Oczami dzieci

Biorąc pod uwagę znaczenie baśni dla rozwoju dzieci, warto sprawdzać, jak one odbierają tego typu utwory. W tym celu mgr Anna Ładna we współpracy z piszącym te słowa przeprowadziła badania pilotażowe w formie ankiet i wywiadów wśród 83 uczniów klas 0–III szkół podstawowych powiatu płońskiego⁶.

Na pytanie, czy rodzice czytają im baśnie w domu, zdecydowana większość (84%) dzieci odpowiada: tak, ale połowa z nich – że robią to rzadko. Wśród tytułów opowieści słuchanych przez uczniów najczęściej pojawiają się: *Czerwony Kapturek*, *Kopciuszek* i *Kot w butach*, a także ogólnie nazywane (niekoniecznie tytułowane) zbiory: baśnie braci Grimm i baśnie Andersena. Pojedynczo są wskazywane również konkretne tytuły Grimmowskie i Andersenowskie.

Dzieci pytane o to, czy lubią słuchać, jak rodzice im czytają, prawie zawsze odpowiadają: tak. Uzasadniają to najczęściej takimi lub podobnymi argumentami: „bo lubię słuchać bajek”, „mogę się dużo dowiedzieć”, „bo lubię słuchać i później opowiadać”, „bo mnie to uspokaja”, „bo jest miło”, „bo lubię zasypiać przy bajce”, „lepiej rozumiem, jak ktoś mi czyta”.

W odpowiedziach bardzo często występuje postać mamy, co dobrze ilustrują choćby następujące cytaty: „bo moja mama czyta najpiękniej”, „bo wtedy spędzam czas z mamą”, „bo wtedy przytulam się do mamy”. Tylko sporadycznie występują odpowiedzi dotyczące obojga rodziców, np.: „poświęcają mi swój czas, lubię z nimi przebywać”. A propos kontaktu z rodzicami warto jeszcze dodać, że 2/3 pytaných rodziców twierdzi, że zna ulubioną baśń swojego dziecka i wskazuje konkretny tytuł lub tytuły.

Prawie wszyscy (95%) badani uczniowie klas 0–III mówią, że najbardziej interesują ich baśnie z ilustracjami. Wśród argumentacji powtarzają się krótkie odpowiedzi wskazujące na estetykę i ciekawość obrazów, a także na pomoc w wyobrażaniu sobie treści historii i jej bohaterów. „Bo można kogoś poznać po wyglądzie” – odpowiada jedno z dzieci.

⁶ SP im. J. Wybickiego w Baboszewie, SP w Polesiu, SP w Sarbiewie i SP w Mystkowie. Badania zostały przeprowadzone w 2021 r.

Ponadto okazuje się, że większość badanych dzieci zdecydowanie lubi słuchać baśni czytanych w szkole (78%), a niektóre (20%) – tylko czasem, choć obie grupy rzadko wskazują powody. Jeśli już pada odpowiedź, to mowa jest o tym, że dzieci lubią, jak ktoś im czyta baśnie albo: „bo panie nauczycielki przyjemnie czytają”.

Z punktu widzenia edukacyjno-wychowawczego istotny jest również fakt, że większość (76%) dzieci pytanych o to, czy rozmawiają z kimś na temat słuchanych lub czytanych baśni, twierdzi, że tak – najczęściej z mamą, rzadziej z rodzeństwem, najrzadziej z koleżankami/kolegami, nauczycielem, babcią.

Oczywiście przedstawione tu uwagi i wyniki badania stanowią zaledwie kolejny przyczynek do recepcji i zarazem refleksji na temat baśni oraz ich miejsca i roli w życiu współczesnych dzieci.

Jednym z najważniejszych wniosków jest fakt, że zdecydowana większość badanych dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym wykazuje zainteresowanie baśniowymi historiami, ponieważ lubi, jak ktoś im je czyta. Potwierdza to istotną rolę czytania dzieciom, o czym w ostatniej dekadzie mówi się dosyć dużo. A z drugiej strony – ilustracje baśni w książkach są przez dzieci odbierane bardzo pozytywnie i wywierają istotny wpływ na odbiór tych opowieści.

*Dr Marcin Lutomierski — Wydawnictwo Naukowe UMK,
Pracownia Badań Kultury i Literatury Dziecięco-Młodzieżowej na Wydziale Humanistycznym UMK*

Współpraca merytoryczna: Mgr Anna Ładna — Szkoła Podstawowa im. Józefa Wybickiego w Baboszewie

Zbyszek Jędrzejczyk

33. Toruń Blues Meeting 2023

Toruń Blues Meeting to jeden z najstarszych festiwali bluesowych w mieście i jednocześnie jedyny w Polsce organizowany przez jednostkę uniwersytecką. Znany jest z dobrego bluesa i wspaniałej atmosfery, która przypomina coroczne spotkania dawnych przyjaciół. Festiwal, na który zjeżdżają się fani z całej Polski i nie tylko, odbywa się zawsze w przedostatni weekend listopada i trwa dwa dni.

Ideą imprezy jest prezentacja różnorodnych form i stylów bluesa. Na estradzie pojawiają się wykonawcy reprezentujący bluesa elektrycznego i akustycznego, boogie, jump, west coast, blues-rocka, country bluesa i oczywiście bluesa chicagowskiego. Pojawiają, tak jak na przykład w tym roku, również elementy innych gatunków, jak jazz, soul, funky, a nawet rap!

Od samego początku rolę gospodarza festiwalu pełni Maurycy Męczekalski – szef klubu „Od Nowa”



Jamiah Rogers (USA)



Jamiah Rogers (USA)



Joanna Dudkowska & Chuc Frazier (USA)

i lider toruńskiej grupy Tortilla (dawniej Tortilla Flat). Dzięki jego staraniom na klubowej scenie wystąpili już chyba wszyscy nasi czołowi bluesmani z Tadeuszem Nalepą, Janem „Kyksem” Skrzekiem czy Boogie Boys na czele, a także wielu znakomitych gości z USA, jak choćby Johnny Winter, Walter Trout czy Eric Sardinias oraz artyści z innych krajów świata.

W tym roku, jak i w każdej poprzedniej edycji festiwalu, zarówno muzycy, jak i bluesfani pokazali doskonałą kondycję bluesa w Polsce. Przez dwa wieczory na scenie można było zobaczyć dziesięć zespołów, a publiczność szczerze wypełniała całą salę widowiskową, jak również salę barową. Zróżnicowanie i poziom artystyczny wszystkich wykonawców, a także wyjątkowa atmosfera legendarnego klubu sprawiły, że wszystkie koncerty były gorące i niepowtarzalne.

Tradycją Toruń Blues Meeting są nocne jam sessions na małej scenie klubu. Nie obyło się więc bez nich i tym razem. Prowadzą je zawsze wyznaczone zespoły, które najpierw grają swoje główne koncerty, a po nich rozpoczynają jam. W tym roku w piątek był to warszawski Double Crafter, a w sobotę Bydgoscy Bluesmani. Brali w nich udział muzycy z różnych występujących na dużej scenie formacji, a również „przedstawiciele” publiczności. Jak to na klasycznym jam session bywa, nigdy nie wiadomo, kto z kim i jak zagra, a wspólne muzykowanie trwało do bardzo późnych godzin nocnych.

W piątek prowadzący od lat festiwal, Krzysztof Ranus po występie Double Crafter, jako pierwszych zaprosił powstałe 31 lat temu, ale praktycznie od tamtej pory niewidziane trio, Acoustic Fly. Grupa ta pod dyktando naszego redakcyjnego kolegi, Roberta Lenerta zagrała akustyczną wersję bluesa, ale nie tę z Delta Mississippi, a raczej klubowo-balladową, którą świetnie wyśpiewała przybyła z Wielkiej Brytanii Joanna Mendyka. Usłyszeliśmy kilka standardów, jak *Nobody Loves You* Jimmie Coxa, czy *Black Cat Moan* Dona Nixa, a występ zakończyli bisem w postaci znanej ballady *Me And Bobby McGee* Chrisa Kristofersona.

Następni wykonawcy, Why Ducky, to duży, znany i popularny skład z Ciechanowa. Why Ducky brawurowo rozpoczęli soulowym numerem *Knock On Wood* Eddie Floyda, a potem było już tylko lepiej. Doskonała sekcja instrumentów dętych stwarzała znakomite klimaty zarówno w takich, jak i bluesowych numerach. W połowie występu pojawił się kapitalny, długi wolny blues, który niespodzianie wyłonił się z rockowego utworu. „Łajdaki” zakończyli

koncert bisem, którym okazała się świetna wersja *Modlitwy Nalepy i Loebła*.

Po nich na scenie pojawił się, całkiem w pojedynkę, John Porter. Dla tych, którzy pamiętają Porter Band z końca lat 70., mogła być to mała niespodzianka. Jednak John fantastycznie poradził sobie z samotnością, zwłaszcza że z nawiązywaniem kontaktu z publicznością nie ma żadnego problemu! Spotkałem się z opiniami, że po prostu „czarował”. Wykonał wiele ballad ze znakomitymi tekstami, a nawet, czym ujął m.in. mnie, słynną, mocno rockową kompozycją *Ain't Got My Music* ze słynnej płyty *Helikopters* właśnie Porter Band. Wersja, którą przedstawił sam, wcale nie ustępowała tej nagranej z zespołem.

Niezwykle mocnym, dynamicznym i wielce energetycznym finałem pierwszego dnia był występ power-tria, prowadzonego przez młodego chędogowskiego gitarzystę i wokalistę, Jamiaha Rogersa. Lider sprawiał wrażenie, że był jednocześnie w trzech miejscach sceny, skacząc, biegając i śmiesznie dokazując, a przy tym nie uronił ani jednej nuty. Usłyszeliśmy niezwykle i wielce ciekawe wersje znanych tematów bluesowych, jak choćby rozpoczynający występ, bardzo długi *Hootchie Cootchie Man* Dixona, który niespodziewanie przeszedł w inny klasyk – *Baby Please Don't Go*. Przez cały koncert wyróżniała się niezwykle motoryczna i pulsująca sekcja rytmiczna, która precyzyjnie podążała za dość nieprzewidywalnym liderem. Nagłe zmiany metrum, pulsu i ekspresji nie stanowiły dla niej żadnego problemu. Na koniec tego iście szalonego, ale jakże doskonałego, występu znaleźli się i Beatles z *Come Together*, i Stones z *Miss You* odśpiewanym z całą salą oraz niektórymi widzami solo. Na bis poszła równie zaskakująca jak inne utwory, wersja *What'd I say* Raya Charlesa. Po tym akcie zastanawialiśmy się z przyjaciółmi, czy to jest w ogóle sens iść na jam session, ale ponieważ prowadzili go przyjaciele z Double Crafter, poszliśmy i nawet zagraliśmy...

Drugiego dnia, po wstępie dobrze grających standardy bluesowe Bydgoskich Bluesmanów, Krzysztof wywołał na scenę drugiego solistę tegorocznego festiwalu, przybyłego z Ukrainy Alexa Dolgova. Do ballad i bluesów akompaniował sobie na ostro brzmiącej gitarze elektrycznej gitarze, co skłoniło mnie do zastanowienia, czy nie lepiej sprawdzałyby się w tej muzyce akustyczna.

Po nim sceną zawładnęła znana i uznana, od lat znajdująca poczesne miejsce na polskiej scenie bluesowej, formacja dyrektora festiwalu, Maury-



John Porter

cego Męczekalskiego, Tortilla. W zespole pojawiło się dwóch nowych muzyków, co wielce urozmaiciło występ. Na harmonijce grał znany i popularny Igor Łojko, a na klawiszach gościnnie Robert Robaszkiewicz. Zespół ciekawie zagrał wiele standardów, jak choćby *Messin' With The Kid* Juniora Wellsa czy *My Babe* Little Waltera, ale już klasyk Johna Mayalla *Room To Move* został chyba za lekko i za delikatnie zaśpiewany przez Polę, wokalistkę grupy. Były też zupełnie nowe utwory.

Z wielce profesjonalnym podejściem do muzyki pokazała się Joanna Dudkowska ze swoim zespołem. Nie widziałem jej wiele lat i pamiętam tylko jako ciekawą, „dobrze zapowiadającą się” basistkę, a tu proszę! – świetnie przygotowany występ, opiewający nie tylko na blues, ale na szeroko pojęty jazz, soul i funk. Dziś dojrzała artystka stworzyła ze swym mężem, pianistą Mateuszem Urbaniakiem, rewelacyjny zespół, doskonale się rozumiejący na scenie i sprawnie poruszający się po wielu gatunkach muzycznych jednocześnie. Znakomite duety basowo-gitarowe, obfitujące w wiele solówek stały się udziałem Joanny na basie i czarnoskórego gitarzysty i wokalisty mieszkającego w Polsce, Chucka Fraziera, znanego choćby z zespołu Blues Fighters. Świetnie zagrali wiele bardzo różnych utworów, żeby wymienić tylko *I Shot The Sheriff* Marleya, *Purple Rain* Prince'a, *Got My Mojo Working* Fostera (z nie wiedzieć czemu zmienionym przez Fraziera stanem Louizjana na Mississippi w 2. zwrotce...). Doszło do tego, że na tym zacnym festiwalu bluesowym poja-



Joanna Dudkowska & Chuc Frazier (USA)

wił się... rap! Dodatkową ciekawostką było, że w tej stylistyce przedstawili artyści znany, rockowy standard Stevie Winwooda *Gimme Some Of Lovin'*...!

Finałem tegorocznego Spotkania Bluesowego w Toruniu był występ kolejnych gości zza oceanu, a mianowicie bardzo ciekawej grupy z Seattle, grającej może nie konkretnie i do końca, ale jednak w konwencji „hill country bluesa”. Nie pojawiły się standardy, muzycy grali własne utwory. Spotkałem się z opiniami, że grali „bardzo monotennie”, ale wydaje się, że pochodziły one od słuchaczy, którzy niekoniecznie gustują w tym specyficznym gatunku bluesa, wywodzącym się z północnych rejonów Mississippi.

Podsumowując, uważam, że tegoroczna, 33. już, odsłona tego znanego i popularnego festiwalu wypadła znakomicie i tylko należy trzymać kciuki, aby następne były równie doskonałe.

Toruń Blues Meeting to spotkanie kilku pokoleń, dla których najważniejszy jest blues. Zatem do zobaczenia w przyszłym, 2024 roku!

Zdjęcia Anna Jankowska



Tortilla

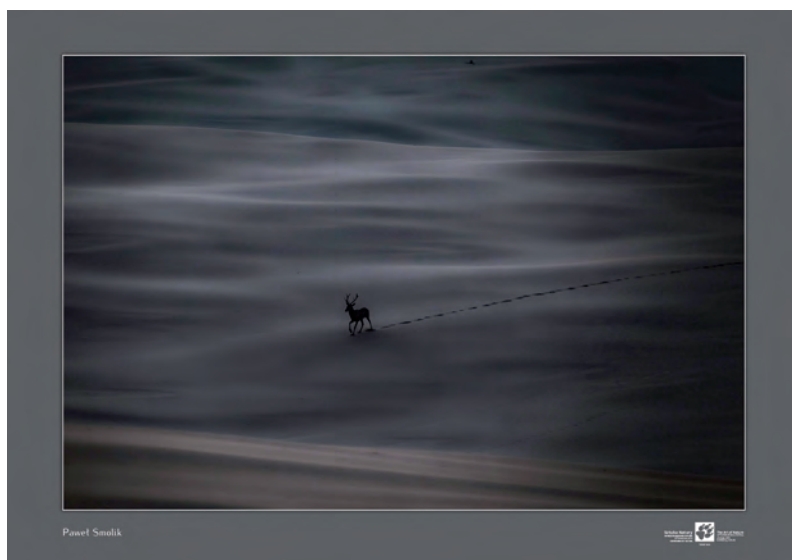
Kajetan Szmul

Sztuka w naturze

Festiwal „Sztuka Natury” w 2023 r. po raz kolejny zgromadził w Toruniu liczną grupę sympatyków przyrody i pasjonatów sztuki fotograficznej. Grudniowa edycja festiwalu była już 16. odsłoną Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Wizualnych Inspirowanych Naturą, nazywaną w skrócie właśnie – „Sztuką Natury”.

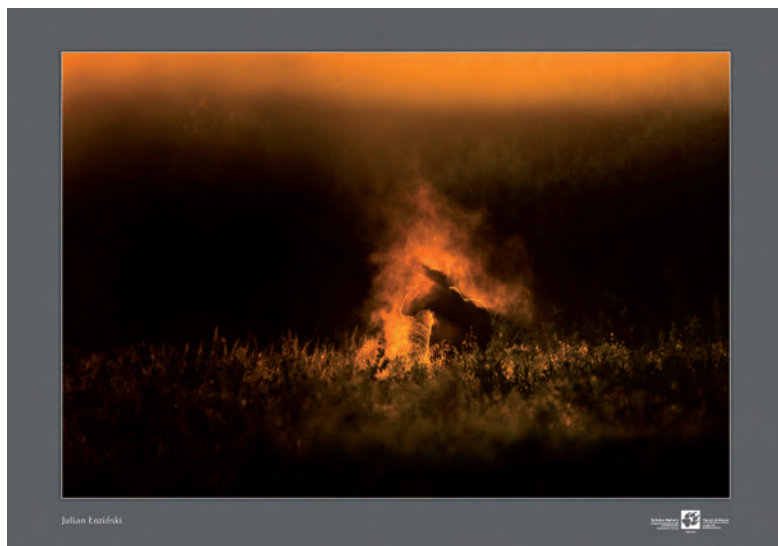
Prace pełne inspiracji przyrodą można było obserwować, zarówno na wystawach zdjęć, jak i podczas prelekcji zaproszonych na festiwal gości. Tym razem, podobnie jak bywało to w poprzednich latach, fotografowie udowadniali na każdym kroku, że w naturze kryje się wiele piękna. Przekonywali, że wystarczy tylko odpowiednie uchwycenie jej w obiektywie, które potem przekłada się na zapierające dech w piersiach obrazy.

Program wydarzenia był wypełniony licznymi aktywnościami. Za początek imprezy trzeba uznać oficjalne rozpoczęcie festiwalu w postaci wernisażu wystawy fotograficznej o nazwie: „Puszcza Białowieska – czas zatrzymany”. Została ona zorganizowana w Galerii Sztuki Przyrodniczej Ogrodu Zoobotanicznego w Toruniu. Autorem prezentowanych tam zdjęć był **Grzegorz Okołowa**. Jeszcze tego samego dnia uczestnicy festiwalu musieli przemieścić się do kilku innych lokalizacji, w których organizatorzy przewidzieli kolejne wernisaże. Prace zbiorowe zatytułowane „Inspiracje 2023”, autorstwa **Katarzyny Łaty** i **Tytusa Grodzickiego**, zostały zgromadzone w Katedrze Grafiki Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Z kolei, niezwykle ciekawe przedstawienie fotografii podwodnej, zaprezentował fotograf **Wojtek Męczyński**. Stworzenia z morskich głębin, które były bohaterami jego zdjęć, mierzyły zaledwie od kilku do kilkunastu milimetrów. Jedno z nich stało się niejako motywem przewodnim całego festiwalu – uchwyciona na fotografii ryba głębinowa, zdawać by się mogło w ogromnym zaskoczeniu, znalazła swoje miejsce na plakacie tej edycji. Wystarczy raz spojrzeć na jego autorskie dzieła, a zapadają one na długo w pamięć. Są bowiem nieczęsto spotykaną możliwością



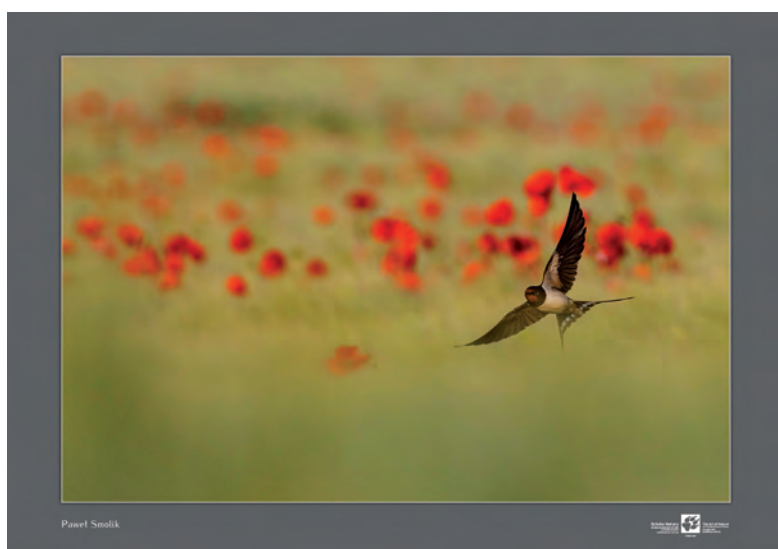
zajrzenia w głąb podwodnego świata. Wystawa zatytułowana „Podwodny mikrokosmos” była dostępna dla zwiedzających w jednym z oddziałów Muzeum Okręgowego w Toruniu – w Muzeum Podróżników im. Tony’ego Halika. Te trzy wspomniane wernisaże, przygotowane specjalnie z okazji Sztuki Natury, pokazują jak różne może być spojrzenia na fotografię przyrodniczą. Wybór prezentowanych na festiwalu zdjęć stanowi przykład rozpiętości technik i możliwości, jakie mają przed sobą fotografowie przyrodniczy.

W ciągu trzech dni trwania „Sztuki Natury” odbyły się liczne spotkania i prelekcje zaproszonych gości, których ugościło Akademickie Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa”. Za kulminacyjny punkt pierwszego dnia festiwalu trzeba uznać uroczyste otwarcie festiwalu połączone z rozstrzygnięciem konkursu fotograficznego i wręczeniem nagród. Wyboru zdjęć konkursowych, które zresztą zostały zaprezentowane na wystawie w „Od Nowie”, dokonało Jury Konkursu Fotograficznego „Sztuka Natury 2023”. Nagroda za II miejsce w konkursie powędrowała do fotografa **Juliana Łozińskiego**, natomiast autorem zdjęć, które zostały wyróżnione zarówno III, jak i I miejscem, okazał się być **Paweł Smolik**. Zebrani mieli też okazję poznać werdykt Jury w Kon-



kursie Pokazów Cyfrowych zorganizowanym przez Ogród Zoobotaniczny w Toruniu. Nagrodzeni zostali kolejno: **Karol Woźniakowski** (III miejsce), **Łukasz Gwiżdziel** (II miejsce) oraz **Elżbieta Kaps** (I miejsce). Specjalną nagrodą, wręczoną przez Prezydenta Miasta Torunia Michała Zaleskiego, uhonorowany został młody pasjonat sztuki fotografii, **Mateusz Piesiak**. Organizatorzy postanowili docenić go za znaczący wkład w rozwój polskiej fotografii i filmu przyrodniczego.

Z rozmów prowadzonych przy porozwieszanych wokół Galerii Dworzec Zachodni zdjęciach, można było usłyszeć m.in., jak ważna w tej profesji jest cierpliwość, wytrwałość i konsekwencja. Uczestnicy



nie kryli zachwyty nad fotografiami oraz wspólnie z ich autorami rozmawiali na temat tego, w jaki sposób udało im się wydobyć prawdziwą sztukę z natury. O tym, że festiwal jest przestrzenią otwartą na rozmowę i wymianę doświadczeń, opowiedział jego dyrektor, dr. hab. Adam Adamski: „Festiwal jest adresowany do szerokiego grona odbiorców, nie zawężamy go tylko do osób, które zajmują się fotografią. Staramy się pokazać to piękno natury osobom, dla których ta natura jest najważniejsza, a nie mają żadnych inklinacji do jej uwieczniania. To jest jeden z filarów festiwalu. Drugim jest wymiana doświadczeń między profesjonalistami, których na sali było bardzo dużo”. To, co było zauważalne na pierwszy rzut oka, to zainteresowanie mieszkańców Torunia, którzy licznie uczestniczyli w spotkaniach przy okazji festiwalu. Każdego dnia wypełniali oni salę, w której odbywały się prelekcje.

„Pozytywnie zaskoczył mnie wzrost frekwencji. Cieszę się, że cały czas na tym festiwalu udaje się utrzymać taką ciepłą atmosferę, fajnych relacji międzyludzkich. Wydaje się, że nie ma granicy między gośćmi festiwalu a odbiorcami. Ta granica, jak można było zauważyć podczas prelekcji, właściwie nie istnieje. Ta bezpośredniość prelegentów w stosunku do widzów, ewentualne pytania, itd. – to wszystko powoduje, że wytwarza się tu pewien klimat bardzo przyjacielski, wręcz towarzyski, a może nawet rodzinny” – dodał pomysłodawca festiwalu, Adam Adamski.

Organizatorzy festiwalu „Sztuka Natury” po dobrze przyjętej 16. edycji już teraz zapowiadają jego kolejną odsłonę. Jeśli więc posiadacie w sobie wrażliwość na naturę, to koniecznie sprawdźcie informacje na ten temat, dostępne na stronie internetowej sztukanatury.pl. Jedno jest pewne – w przyrodzie kryje się wiele piękna, a fotografowie za pomocą bystrego oka i dobrego obiektywu, są w stanie je uchwycić i zaprezentować całemu światu.

W kolejnym numerze „Głosu” opublikujemy wywiad z Mateusem Piesakiem – laureatem nagrody specjalnej festiwalu.

Mgr Kajetan Szmul — Kino Studenckie „Niebieski Kocyk”

Zdjęcia nadesłane

A photograph of a man with long grey hair and sunglasses, wearing a black jacket with white paint splatters. He is holding a microphone to his mouth and has his right hand raised in the air. The background is dark with blue stage lighting.

Ogrodnik rocka

Z Markiem Piekarczykiem – wokalistą legendarnej grupy TSA, autorem tekstów, osobowością telewizyjną, gościem ostatniego Koncertu Specjalnego Pamięci Grzegorza Ciechowskiego, który odbył się w ACKiS „Od Nowa” – rozmawia Maurycy Męczekalski

– Jesteś doskonale znany w Toruniu, w tym w środowisku akademickim, nie tylko jako osobowość telewizyjna, ale przede wszystkim jako wokalista, ponieważ wiele razy koncertowałeś w „Od Nowie”. Niewiele jednak wiemy o Twoim dzieciństwie. Urodziłeś się w Poznaniu. Opowiedz nam trochę o rodzinie, dzieciństwie, Twoich początkach?

– Jestem dzieciakiem z lewa, czyli synem oficera Wojska Polskiego, który poszedł do wojska, żeby uratować swoją mamę przed nieprzyjemnościami, bo rodziny żołnierzy miały lepiej. Ojciec nigdy nie należał do partii, a jego ojciec, który zginął we wrześniu, był antykomunistą. Dziadek był artystą, pisał książki, założył Radio Poznań. Mój ojciec nigdy nie był pijakiem, co w wojsku było normą i nigdy nie był czerwony. Dlatego w armii miał przerąbane. Doszedł tylko do stopnia kapitana, chociaż szedł równo z Jaruzelskim. Ponieważ ojciec nie należał do partii, ciągle go przenosili. Ja się akurat urodziłem w Po-

znaniu, moja siostra we Wrocławiu, a brat w Głogowie i później mieszkaliśmy w Gnieźnie.

– Rozumiem, że ojciec w związku z tym przenosił rodzinę w kolejne miejsca.

– Jego wyrzucali z kolejnych jednostek. A poza tym miał najpiękniejszą kobietę w armii polskiej, moją mamusię. Piękna, świetnie się ubierała. Kapelusze, wysokie buty na prawdziwym korku, halki krochmalone, rękawice powyżej łokcia w grochy, ramiona odsłonięte. Inne kobiety po prostu jej nienawidziły, bo ona nie dosyć, że była piękna, szlachetnej urody, to jeszcze była bardzo elegancka. W dodatku potrafiła nakrzyknąć na dowódców ojca, kiedy coś jej się nie podobało, dlatego po prostu ciągle miał kłopoty przez to.

– Wynika z tego, że w związku z sytuacją rodzinną nie chodziłeś do jednej podstawówki, tylko się przenosiłeś?

– W końcu trafiliśmy do Gniezna i tam byłem przez cały czas w jednej podstawówce. Pamiętam, jeszcze, że do drugiej klasy miałem religię, ksiądz nas bił linijką po łapach, strasznie było. Cieszyliśmy się, jak zlikwidowali religię, bo on był sadystą. Jakiś jezuita chyba. No i skończyłem w Gnieźnie podstawówkę i poszedłem do pierwszej klasy ogólniaka imienia Chrobrego. To była jedna z najlepszych szkół w Polsce, wszystko bardzo takie dystyngowane. Chodziłem w butach wypastowanych, spodnie w kant, marynareczka, czapka ze znakami szkoły, tarcza na rękawie marynarki, była to w ogóle duma, że tam szedłem. No i byłem dobry, nagle się stałem dobrym uczniem w tym ogólniaku. Ale przyszedł rok 1966, czyli Tysiąclecie Chrztu Polski, wtedy mówiło się – Państwa Polskiego, i ojca wywalili od razu. Przenieśli go do Bochni, do jednej z najgorszych jednostek, sami pijacy, czerwone twarze. A ja zatoczyłem koło, bo Bochnia jest koło Lipnicy, a tam był mój dziadek. Pradziad był nauczycielem miejskim, szlacheckim, chodził we fraku.

– Twoja rodzina pochodziła więc z okolic Bochni, czyli z Galicji?

– No jasne. Ten mój szlachecki pradziad, który we fraku chodził, bo to nie był taki zwykły nauczyciel surdutowy, przeniósł się potem do Krakowa i tam się urodził ojciec ojca, czyli mój dziadek, ten który zginął we wrześniu 1939. On z kolei uwiódł hrabiankę Niewodowską z Poznania. A zadawał się z Przybyszewskim i spłacał jego weksle, bo ciągle biegała za nim policja austriacka, bo miał długie wszędzie. W końcu z powodów finansowych rodzina sprowadziła hrabiankę Niewodowską do Poznania razem z Kazimierzem Piekarczykiem, który tam się zaprzyjaźnił znowu z artystami, no i założył to radio razem z nimi. Taka dziwna, poplątana historia.

– Bardzo ciekawa jest Twoja rodzinna historia, ale interesuje mnie, kiedy ten porządny uczeń z dobrym pochodzeniem, Marek Piekarczyk, się zbuntował i został hippieciem?

– W 1968 roku jeszcze nie wiedziałem, co to są hippiesi, nawet nie wiedziałem rok później o Woodstocku, bo do nas to nie docierało, dopiero później się dowiedzieliśmy. Chodzi o to, że myśmy wychowywali się na poligonie. Strzelaliśmy z karabinów w siódmym roku życia, przysmakiem była wojskowa kawa zbożowa w kostkach i suchary wojsko-

we. To były nasze słodycze, nasze chipsy. I nagle moi żołnierze ukochani w 1968 pojechali na Czechosłowację z ruskimi. A ja byłem wychowany na książkach dziadka. Tam zawsze był jakiś bolszewik, wróg i wiedziałem, że współdziałanie z bolszewikami to jest niedobra sprawa, a jeszcze jednoczyć się z nimi? Uświadomiłem sobie wtedy, że żyjemy w złym kraju.

– Ale jak do Ciebie dotarł ten impuls hippiesowski? Gdzieś z Zachodu, Radio Luksemburg czy znajomi?

– Radia Luksemburg czasami słuchałem, to było jedyne wtedy dojście do dobrej muzyki, ale głównie chodziło o moje odkrycie, że nic tak nie wkurza nauczycieli i otoczenia jak to, że masz długie włosy, jak tylko ci uszy zakrywało, zaraz się czepiali do ciebie. No to ja zapuściłem długie włosy i przestałem być grzecznym chłopcem. Wtedy jeszcze dowiedziałem się o zajęciach na Sorbonie i w całym Paryżu. Stałem się buntownikiem, bo byłem już poetą i rysownikiem. To był rok przed maturą. Nie należałem do TPPR, czyli Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej jako jedyny w klasie. Zapuściłem wtedy długie włosy i pomyślałem, że jak mam długie włosy, to z daleka będzie widać, że nie mam nic do czynienia z tym systemem. A potem się jeszcze dowiedziałem, że w Warszawie Żydów wyrzucali w tym samym roku, a w marcu bili studentów w Krakowie. Wszędzie było pełno ormowców, więc ja się zbuntowałem.

– Zostałeś więc hippieciem i przejdźmy już do muzyki. Czego słuchałeś, jakie były Twoje ulubione zespoły wtedy, jacyś konkretni wykonawcy?

– Czego ja słuchałem? Wcześniej jedyną płytą, jaką tatuś kupił do adapteru, to była Irena Santor *Pada śnieg*, to jest bostoński walc. Zaśpiewałem go nawet w duecie z Ireną (uśmiech).

– To piękna jest piosenka, ale mnie interesuje oczywiście muzyka rockowa. Jak do niej dotarłeś? Miałeś dostęp do płyt z Zachodu?

– To przez kolegów. Do klasy przyszli drugorocznicy i siedzieli ze mną. To był basista i gitarzysta. Trzeci był mistrzem Europy w zapasach, który mnie bronił przed całym złem. Siedział koło mnie, ja mu pisałem ściągę i niech mnie tylko tknie ktoś, on mnie ratował. Chłopcy powiedzieli mi, że mają

zespół rockowy. Poszedłem do basisty i on mi puścił Boba Dylana.

– Akustycznego czy elektrycznego?

– Elektrycznego. Myślałem, że oszaleję. Pamiętam, jak stałem na Małym Rynku w Krakowie, bo dowiedziałem się, że Supraphon wydał płytę Boba Dylana. I ja stałem tam dwie noce i dwa dni, żeby ją kupić. Poza tym kiedyś byłem w klubie. Tam się odbywały tzw. fajfy, różne zespoły grały na żywo do tańca. Przy płytach nikt nie tańczył, tylko na imprezach w domu i przy pocztówkach dźwiękowych. O, pocztówki dźwiękowe, ha ha..., The Shadows, Animals, The Troggs, ja takich rzeczy słuchałem wtedy. No i pamiętam, że jakiś zespół, nawet nie wiem jaki, nagle zaczął grać riff *Whole Lotta Love* Led Zeppelin. A ja zeszytniałem. Normalnie zwariowałem nagle, nigdy tego nie słyszałem. Porwałem mikrofon i zacząłem się wydzierać. Cały klub padł na podłogę, bo to były takie wtedy czasy, że jak była ekstaza to wszyscy się tarzali jak konie (śmiech). I ja tam coś śpiewałem, jakieś swoje wrzaski, a ludziom się to strasznie podobało. Drugi numer, który zagrali, to było *Hey Joe* Hendrixa, nigdy wcześniej też go nie słyszałem. Chłopaki z tego zespołu zaproponowali mi, żebym napisał im jakiś tekst. Napisałem pierw-

szy tekst – to był protest przeciwko ścinaniu drzew. Oni zaprosili mnie na próbę, żebym posłuchał, co oni zrobili z tym tekstem. Jak usłyszałem, mówię im: „O Jezu, ludzie. Odbieram tekst, tak się tego nie śpiewa. To jest protest song”. Wtedy oni: „jak taki mądry, to pokaż”. I siadłem, wziąłem mikrofon. Wiesz, jak się musiałem drzeć wtedy? I zaśpiewałem, a oni? Zatkano ich, więc mówię do wokalisty: „dobra, tak masz zaśpiewać”, a on na to: „Nie, nie. Tak ty zaśpiewasz. Tylko ty umiesz tak zaśpiewać, zostajesz”.

– Czyli to był Twój pierwszy zespół?

– Tak.

– A jak się nazywał, pamiętasz?

– Cechy, a ja potem zmieniłem nazwę na Biała 21. To był adres tej świetlicy, w której graliśmy. Potem się zmienili wszyscy, oni poszli gdzieś indziej, ja poszedłem gdzieś dalej.

– To wszystko oczywiście działo się już w Bochni?

– W Bochni, już tylko w Bochni. Gdybym został w Gnieźnie, to pewnie bym został naukowcem na



100%. Matematykiem. Chemia organiczna też mnie interesowała. Robiłem eksperymenty, o mało bloku nie wysadziłem (śmiech).

– Teraz przenieśmy się w czasie. Jako młodzieniec, zanim zacząłem sam grać na poważnie, jeździłem na różne festiwale. Do Jarocina, Poznania, Katowic. Trafiłem też, to był chyba pamiętny rok 1981 rok, na Pop Session w Sopocie, w Operze Leśnej. Tam wystąpił zespół TSA, ale instrumentalnie. Opowiedz jak trafiłeś do TSA?

– Poznałem ich w Nysie. Wcześniej grałem w zespole, też TSA, czyli Tarnowski Sektor A (zbieżność nazw to czysty przypadek). Pojechaliśmy do Jarocina, nie spodobał się, ale na mnie zwrócono uwagę. Bardzo poważną. Wtedy wygrał zespół instrumentalny TSA z Opola. Ale wcześniej ich poznałem w Nysie. Pojechaliśmy z naszym zespołem i wygraliśmy konkurs. No i tam, w pierwszy dzień jako gwiazdy zagrało jakieś Tajne Stowarzyszenie A. Oni byli takimi obdartusami, w trampkach, mieli brudne, stare wzmacniacze, gitary obdarte. Ja sobie myślę: „co to?”. A oni jak walnęli..., ja po prostu onie miałem. Machel, Nowak, Niekrasz i na zastępstwie był Kapłoni. Ich perkusistę wzięli do wojska. Tam byli sami muzycy na tej sali, ale same pyszałki, takie wiesz bufony powiatowe. Nikt chyba nie zauważył, że to jest genialny zespół. Ja po prostu usłyszałem wtedy zespół moich marzeń, że grają tak jak nikt na świecie, że czekałem na to tyle lat. Ale sobie pomyślałem, oni w Opolu, ja w Bochni, co ja zrobić. Ale poszedłem do ich garderoby, a oni wyglądali jak żołnierze w okopach czyszczący broń. Inni to dziewczy-

ny, wino, wódka, a oni cisza, czyszczą gitary, takie wiesz, normalnie wojsko rockowe. Naprawdę tacy skupieni po koncercie jeszcze oni byli. Kiedy wygrali w Jarocinie, Jacek Sylwin powiedział: „Wiecie co, jak byście mieli takiego wokalistę jak Piekarczyk, to kariera światowa. Helikopterami będą was wozić na koncerty”. Wtedy był czas „Solidarności”, wiesz, otworzył się świat, nagle wszystko było przed nami. Potem spieprzyli to stanem wojennym, ale chłopaki z TSA mieli mądrą muzykę i naprawdę dobrze ją wymyślili. To wszystko świetne było, nie do podrobienia. Oparte na prawdziwych korzeniach bluesowych i rockowych. Ja w ogóle nie wiedziałem, co to jest heavy metal przed nimi. Ale TSA nie wybrali propozycji wielkich gwiazd, nie będę nazwisk wymieniał wokalistów, którzy chcieli natychmiast odejść od swoich wielkich zespołów, będących wtedy u szczytu sławy. Oni wybrali nieznanego koleśia z Bochni.

– Marka Piekarczyka.

– Tak i dzięki temu do dzisiaj mogą grać, bo ja miałem inne podejście. Ja byłem już wtedy spokojnym gościem, 30-letnim, który wiedział, o co chodzi. Ja wiedziałem, czemu z nimi jestem. Ja nie czekałem na karierę, ja czekałem na taką muzykę, miałem pojęcia o tekstach i jak się chcę wyrażać, jak wyglądać i tak dalej. TSA jako jedną z nagród mieli występ na Pop Session w Sopocie w Operze Leśnej. Fama poszła w Polskę, poczta pantoflowa działała. Prasa, dziennikarze obudzili się dopiero po roku, bo odkryli, że to jest biznes. A ja przyjechałem autostopem w ostatnich brudnych spodniach, jakichś potąpanych, koszulka brudna od betonu, bo na ciężarówce jakiejś jechałem, nie miałem kasy w ogóle. Przyje-



chałem, jakieś dziewczyny mi pożyczyły t-shirt, taki w paseczki, zrobiły mi jakieś tam warkoczyki. Wy-szedłem na scenę i miałem się tylko ukłonić, że będę wokalistą TSA, a ja mówię: „Nie, nie, nie. Muszę zaśpiewać.” Ale co zaśpiewać, nie mieliśmy próby. „Zagrajcie bluesa. Ja zaśpiewam, ja zaimprovizuję”. Miałem doświadczenie – improwizowałem na ulicy. I tak powstały *Trzy zapałki*. Wcześniej śpiewałem ten tekst w Sektorze A, ale to była całkiem inna muzyka. To pierwsze nagranie mam. Tak powstał ten utwór.

**– I właśnie wtedy stałeś się profesjonalnym wokali-
stą. Ale wcześniej imiałeś się różnych zawodów.**

– Tak. 46 różnych zawodów policzył mi jeden dziennikarz.

**– A podobno przysłowiowa „Cyganka”, jak mówi le-
genda, przepowiedziała ci, że będziesz śpiewał.**

– Indianka. Ja tak ją nazywam. Romka.

– Wiec to jest prawda?

– Tak. Później w końcu wywalili mnie z domu, bo byłem hippiesem. Przynosiłem wstyd ojcu i mie-
li na niego haka komuniści. Więc dogadaliśmy się,
że muszę opuścić ich dom i już nie byłem na jego
utrzymaniu. Zapytał: „Czemu masz takie długie wło-
sy?”, a ja mówię: „Bo chcę być wolny”. A on: „Synu,
jak chcesz być wolny, to bądź wolny na własny ra-
chunek, pamiętaj wolność nigdy nie jest za darmo,
zawsze kosztuje”. No i opuściłem dom. Ojciec był
bardzo mądrym człowiekiem, dobrym, uczciwym
i naprawdę zrobił świetną rzecz, a ja musiałem rozła-
dowywać wagony z węglem, ale poczułem wolność.

**– W jakimś sensie trochę ci pomógł, wypychając
Cię z domu?**

– Bardzo mi pomógł, ponieważ stałem się wol-
nym człowiekiem, naprawdę. Nauczyłem się praco-
wać w wielu zawodach, zawsze liczyłem na siebie
i zawsze pracowałem, nie dlatego, że miałem znajo-
mości albo że byłem ładny i grzeczny, a dlatego, że
dobrze pracowałem i za to mnie szanowali. Najwię-
cej pracowałem w rolnictwie. Chłop mnie zatrudniał.
On miał gdzieś, czy ja mam długie włosy, czy nie.
Jak ja chciałem pracować, to proszę bardzo. Umiem
kosić, umiem robić powrósł, wiązać snopki, zada-
wać do maszyny do młockarni, kopać buraki, ziem-

niaki zbierać, ścinać kukurydzę. No i tak naprawdę
dużo rzeczy potrafię w rolnictwie. A na budowach
woziłem taką pieprzoną taczka, wiesz, drewnianą
z drewnianym kołem, beton po deskach. No, bo nic
mi nie chcieli dać innego do roboty.

**– Kończąc wątek TSA, powiedz dosłownie parę
zdań o Twoich, czasami trudnych, relacjach z An-
drzejem Nowakiem.**

– Czy ja wiem? Ja grałem Chrystusa. To nie jest
tak, że grasz Chrystusa, a tu jesteś skurwysynem. On
mi zrobił dużo krzywdy, był takim psychopata trochę,
myślał tylko o sobie i wszystko musiało wyglądać
tak, jak on sobie wymyślił. Był znakomitym gitarzy-
stą, który czarował na scenie, czasami odlatywał
w inną tonację, ale na szczęście był Stefan Machel
i trzymał to wszystko jakoś, ten cały zespół i do dzi-
siaj trzyma, bo on jest konkretem tego zespołu i na-
prawdę tym myślicielem ciężkiego, dobrego brzmie-
nia, twórcą dobrego brzmienia TSA. A Andrzej był
bluesowy i on dodawał takiego czegoś, takiej poezji
gitarą. Wiesz, ja na szczęście nie byłem taki meta-
lowy, tylko byłem bardziej soulowy i poezję nawet
śpiewałem i lubiłem inne teksty, więc ja w zderzeniu
z Jackiem Rzehakiem, który pisał takie teksty, które
jak jedna pani napisała: „brzmia jak wolne tłuma-
czenie z norweskiego”, dodawałem trochę poezji.
Jak widzisz, gdzieś poezję w tekstach TSA, to jestem
ja, zawsze. Tak to się zrównoważyło, to było coś na-
szego, a nie jakieś skrajne AC/DC o tych facetach
w ciężarówkach pijących piwo gdzieś tam i o dziew-
czynach tylko.

**– Ale gdzieś tam znowu zesłicie się z Andrzejem,
wróciliście do grania razem.**

– Graliśmy w Stanach, trochę mnie wyrębał na
kasę, nieważne. No cóż, ja nie mam czegoś takie-
go, że noszę w sercu urazę. Andrzej miał oczywiście
zawsze głupie pomysły, takie personalne, on chciał
grać z chłopakami z Budki Suflera. Ja się nie zgo-
dziłem.

Ale w przypadku TSA jakoś nie umiałem odma-
wiać. Miałem ten zespół w moim sercu. Kiedy napi-
sał do mnie Andrzej i podpisał się „Andrzej Nowak
i Stefan Machel”, to wymiękłem od razu, jak zoba-
czyłem te dwa nazwiska. Wtedy odpisałem i zor-
ganizowałem koncert w Jarocinie z okazji 40-lecia
festiwalu. To był 2021 rok. Później graliśmy jeszcze
razem. Niestety w styczniu 2022 Andrzej zmarł.

– Wspomniałeś o Chrystusie. Powiedz coś o swoim dość długim epizodzie w rock operze *Jesus Christ Superstar*. Śpiewałeś tę partię przez wiele lat. Pasałeś do tej roli Chrystusa, jak sądzę idealnie! Powiedz coś o tym. Jak Gruza Cię odnalazł, jak to było?

– Pierwsze moje spotkanie z *Jesus Christ Superstar* to było wtedy, kiedy byłem hippiesem i chodziłem do Beczki w Krakowie. To był klub przy kościele, chyba franciszkanów albo dominikanów. I tam przyjeżdżali zakonnicy i przywozili różne rzeczy ze swoich wyjazdów, a jeden przywiózł *Jesus Christ Superstar*. Siedzieliśmy tam, a on na ekranie prezentował przeźrocza ze zdjęciami z tej płyty, teksty i puszczał muzykę. Ja po prostu zamarłem. Normalnie oszalałem. Tylko, że najlepsza rola tam, to była rola Judasza. Mnie się światełko zapaliło. Nie wszyscy wiedzą, ale nawet chciałem się dostać do szkoły teatralnej, żeby zostać aktorem, ale zrezygnowałem po egzaminach, które zdałem.

– Zdawałeś do szkoły teatralnej w Krakowie?

– W Krakowie. Studiowałbym razem z Anią Dymną, bo to mój rocznik jest. Potem sobie uświadomiłem, że grałbym piąte drzewo, w siódmym rzędzie przez ileś tam lat, zanim coś mi dadzą i wycofałem się. Ale pewnego dnia zadzwonił do mnie Jerzy Gruza i mówi: „Czy Marek Piekarczyk? Słyszałem, że pan śpiewa?”. Wojtek Korzeniewski (impresario, produ-

cent telewizyjny, manager zespołu Kombi – przyp. autor) powiedział mu o mnie. W 1985 roku Gruza zatelefonował do niego, byli kolegami i powiedział: „Wiesz co, ja tutaj *Jesus Christ Superstar* realizuję w Gdyni. Ty masz zespół Kombi. Dałbyś mi zespół, to podpiszemy kontrakt, zarobią sobie chłopa. Wiesz, potrzebuję rockowy zespół, bo to jest rock opera”. A Wojtek mówi: „Co ty! Weź TSA, to jest zespół idealny, hippiesi! A wokalista to prawdziwy Jezus!”. Gruza na to: „Jezus? Ja mam tu takich dwóch, ale oni ciency jacyś są. To niech do mnie przyjedzie”. Pojechałem przed Sylwestrem do Gdyni. No i jak stanąłem przed nim, to spojrzał na mnie i mówi: „No, mam Jezusa”. Od razu! Nawet nie wiedział, jak śpiewam. Jakąś kasetę mu przywiozłem, on tak słucha, mówi „Ja nie rozumiem, co ty tam śpiewasz” i myślał, że ja będę takim heavy metalowym Jezusem. Będę siedzieć w skórze, buciorach, szarpał się z Judaszem. A ja Pismo Święte, apokryfy, ikonografia, szata biała, taka chałata zwykła, prosta szmata. Jak mu wyszedłem, to go zatkało. Mówi: „Mam Jezusa, powiedz mi jeszcze, że Twój ojciec ma na imię Józef, a matka Maria”. Odpowiedziałem: „Tak, panie reżyserze!”.

I pamiętam, że Gruza wyjechał do Londynu po licencję żebraczą, nie było go trzy miesiące. Ja namówiłem kolegów, żeby przyjechali i robili próby. Oryginalną muzykę z płyty trzeba było wyprostować, żeby się dało z orkiestrą zagrać, żeby balet mógł zatańczyć, soliści zaśpiewać, chór. Było strasznie dużo elementów. Kiedy w teatrze ogłosili na tablicy skład *Jesus Christ Superstar*, to początkowo mnie tam nie było. Zatrudniono w ogóle innych muzyków. Ale



kiedy Gruza wrócił, to zrobił „porządek”. Od razu zapytał: „Gdzie jest Piekarczyk? Gdzie jest TSA? Z sali prób orkiestrę z TSA proszę!”. Wszystko poustawiał. Nawet dyrygentowi orkiestry powiedział, że ma mnie słuchać. Ja wtedy na scenę wszedłem boso. Ludzie w teatrze pytali mnie „A pan co tak ściągnął te buty?”. Wtedy im powiedziałem: „Wpuściliście mnie na waszą scenę, to nie wejdę w buciorach. Na boso, ja uszanuję to miejsce”.

– Nie mogę tego pytania nie zadać. Jesteś w ciągu ostatnich lat najbardziej rozpoznawalny jako osobowość telewizyjna znana z *The Voice of Poland*. Powiedz mi, jak się odnajdujesz w telewizji, czy uważasz, że te programy typu „talent show”, rzeczywiście są dobrą ścieżką i dają możliwość rozwoju kariery, czy to jest tak, że tylko bardzo niewielu się udaje, a tak naprawdę to jest tylko zwykłe show telewizyjne?

– Wiesz, to jest takie na dwoje babka wróżyła. Jeśli chodzi o telewizję najpierw powiem tak – ja nie lubię być w telewizji, ale mam takie szczęście, że jej nie zauważam. Dla mnie nie ma znaczenia, czy rozmawiam z tobą, czy dookoła mnie są kamery. Ja tego w ogóle nie widzę, ja nie wiem, co się dzieje ze mną. Ale ja taki jestem. Wszędzie jestem ten Marek.

– Nie przejmujesz się kamerami po prostu.

– Ja widzę, że są, ale nie zwracam na nie uwagi. W ogóle mnie nie męczy, że tam siedzi siedem milionów ludzi przed telewizorami, czy tam ileś, i ogląda to. Nie interesuje mnie to. Ja widzę jednego człowieka. Zawsze się śpiewa do jednego człowieka w największej hali i zawsze się mówi do jednego, tak jak teraz mówię do ciebie. Wracając do pytania. Byłem w tarapatkach finansowych, kiedy zadzwonili do mnie z telewizji. Na kredyt we frankach na starość dom kupiłem, z ogromnym ogrodem, pięknym. Zima przyszła, słuchaj przerażane, i zadzwonili! „Chcilibyśmy pana zaprosić do *The Voice of Poland*”, a ja nie wiedziałem w ogóle, co to jest. Ja mówię „Ja się nie nadaję”. „Panie Marku, prosimy, tak długo pana szukaliśmy”. Szukały mnie dziewczyny z firmy Rochstar – producenta programu. Nikt nie chciał im dać numeru mojego telefonu. Mówię: „Dobra. Wyślijcie mi na adres maila linki do tego programu, mniej więcej jak to wygląda, ja się muszę zorientować i kiedy mam decyzję podjąć?”. „Dzisiaj, bo w poniedziałek pan musi być na castingu”. „Castingu? W życiu nie

pójdę na żaden casting!”. „Panie Marku, ale tu chodzi o dobranie zespołu. Nie, chodzi o pana. Pan Rinke Rooyens, szef firmy Rochstar, się uparł i dyrektor telewizji to samo. Musi pan być, ale chodzi o to, żeby dopasować całą grupę. Myślę sobie: „Jezu, ty głupku, twoja teściowa poszła do Częstochowy, poszła modlić się, żebym dostał jakąś propozycję, która mnie uratuje finansowo. A ty tu teraz marudzisz”. No i zdecydowałem się. Spodobały mi się przesłuchania w ciemno. Siedzisz sobie, a tam z tyłu ktoś śpiewa. Nie wiesz, kto to, czy to dziewczyna, czy jakiś facet, który udaje dziewczynę? Tylko słuchasz i musisz wybrać. Spodobało mi się. A jeszcze odzyskałem płynność finansową dzięki temu.

Ja tego nie nazywam „talent show”. To jest właściwie okazja dla ludzi, którzy kochają śpiewać. Mają jednak odwagę, bo ja bym nie miał, ja ich podziwiam. To jest okazja, żeby zaśpiewać, nawet jak się nie odwrócisz. To i tak pokazują niektórych ciekawszych, że fajnie zaśpiewali i widzi ich kilka milionów ludzi. Gdzie masz takie studio? Nie ma. Piękne światła, dobrze zagrane. Zespół świetnie gra. Świetne aranżacje. Fajnie ubrani. Wszystko jest takie wiesz, dobre. To, co z tego wyniknie, to jest całkowicie inna sprawa. Ja uważam, że to jest dobry start dla każdego, jak się dobrze przedstawi. Tylko większość z tych ludzi debiutujących raczej chce się popisywać, a to trzeba pokazać, kim jestem, trzeba pokazać siebie. Swoją osobowość, bo tylko wtedy ludzie cię pokochają. Ja im to tłumaczę. Bądź sobą, ty jesteś najważniejszy, najcenniejszy. Ludzie czekają na ciebie, a nie na jakiegoś kopistę Zbigniewa Wodeckiego.

– Jest taka legenda, że to zawsze Ciebie rzucały kobiety, a nie Ty, i że podobno gdyby jedna z nich tego nie zrobiła, to zostałbyś magazynierem.

– W Hucie Lenina. Pierwsza moja miłość, największa, Krysia, która była zakochana, chodziła taka zakochana i w końcu sam się zakochałem, przepadłem. Kiedy mnie rzuciła, taki byłem nieszczęśliwy, że przez dwa lata nic nie robiłem. Studiowałem filozofię, psychologię, no i Dostojewskiego całego przeczytałem, plus takie rzeczy jak Ericha Fromma *Zapomniany język*. Chodziłem na seanse w DKF. Widziałem filmy Felliniego, wszystkie. Kiedyś przez jeden miesiąc oglądaliśmy wszystkie najważniejsze filmy skandynawskie z kolegami. Całego Bergmana widziałem. Kto widział wtedy *Siódmą pieczęć*?

– To wszystko działo się, już kiedy rzuciła Cię Twoja miłość?

– Tak! I ja wtedy byłem w szoku. Kupiłem sobie gitarę za pierwszą robotę, w magazynie spożywczym skrzynki nosiłem, jako jedyny maturzysta i jedyny, który nie należał do partyjnych związków młodzieżowych, nie pił. Wszyscy mieli wrażenie, że jestem kapuś. No, nieważne i za nich musiałem pracować, a oni leżeli pijani. Ważne jest to, że zacząłem grać. Rom Maciek, fajny, jedyny, którego ja potrafiłem opanować, kiedy wywijał stołkiem w knajpie, to po mnie dzwonili, bo był bezbronny przy mnie. Nie wiem, lubił mnie i ja go bardzo lubiłem. A on czuł, że ja go szanuję, on taki przystojny, taki skurczybyk, tylko wódkę lubił, niestety. Jak to Indianin. I on mi sprzedał gitarę, i pokazał mi kilka akordów, i te kilka akordów wystarczyło, żebym siadł sobie na ławce i zaczął śpiewać piosenki. I zacząłem wtedy wymyślać, znaczy wcześniej troszkę to robiłem, jeszcze jak byłem z nią, ale wtedy tak zacząłem na poważnie. Pisałem teksty, dużo poezji, eseje jakieś. Do teatru zacząłem chodzić. Czyli po prostu dostałem takie podwaliny. W świecie rockowym, kiedy się pojawiło TSA, to ja byłem gościem trzydziestoletnim, żona i dziecko, który już jadł z niejednego pieca, nie bałem się życia, spałem na podłodze, nie martwiłem się tym. Potrafiłem gotować, prać, sprzątać. wszystko potrafiłem. Zarobić pieniądze na wszystkim i nie wstydziłem się tego, ale też miałem podstawy. Filozofia, psychologia, poezja, wspaniała poezja, taka największa, światowa.

– Można powiedzieć, że Ty na tle innych rockmanów byłeś wtedy intelektualistą?

– Właśnie chyba taki byłem, ale nie obnosiłem się z tym. Ludzie, którzy jadą gdzieś indziej, na inny biegun, w kosmos latają, bez narkotyków, bez alkoholu czują się lepsi. A ja nawet nie wpadłem na pomysł, żeby się tak czuć. Dla mnie to była moja siła. Ja po prostu miałem taki świat i nie uważałem, że to jest lepszy świat od innego świata. Po prostu moi koledzy mieli swój. Miałem podwaliny. Popatrz na tekst *Maratończyka*: „Wciąż biegnę i biegnę, i dobrze mi z tym. Nic co biegnące, nie jest mi obce. Biegnę, więc jestem, lecz nie wiem kim. Biegnę, choć czasem brakuje mi sił. Przed nikim nie uciekam, po prostu gnam. Nikogo nie gonię, biegnę więc nie stoję.

W tym swoim biegu mam własny styl. Kto biegnie, nie grzeszy, uwierzcie mi”.

– Marek, jesteś znakomitym rozmówcą, naprawdę wspaniale się z Tobą rozmawia, ale już czas na ostatnie pytanie. Wiem, że Twoją pasją jest dom i ogród. Ale powiedz, co jeszcze robi Marek Piekarczyk w domu. Czym się interesujesz? Zbierasz znaczki?

– Nie. Kiedyś grałem w piłkę. Byłem lewonożny, strzelałem bramki. Byłem chyba dobry. Miałem dwanaście lat, kiedy strzeliłem gola lewą nogą przez głowę do tyłu nożycami. Nie zdarza się na świecie. Jak walnąłem w prawe okienko...

– Kiedy już się zmęczysz pracą w ogrodzie, to czytasz, słuchasz muzyki?

– Mam 5 tysięcy książek, wszystkie kupiłem, są moje. Część mi ukradli, tyle zostało. Ale wciąż kupuję.

– Czyli dużo czytasz?

– Właśnie nie mam czasu. Mam tak dużo pracy, że zasypiam od razu. Czytam, czytam i zaraz odjeżdżam. Ale jestem taki, że ciągle wracam do *Stu lat samotności*. Jestem walnięty. Kupiłem chyba 15 albo 20 egzemplarzy. Daję w prezentach i zawsze piszę: „Nie pożyczaj, bo nie wraca”. W ogóle lubię Márqueza, chociaż pieprzonym komunistą jest. To jest jedyny komunist, którego kocham.

– A Twój ogród?

– Duży jest. 25 arów. 200 hortensji. Jak jest jakiś gatunek, którego nie mam, to przynoszę i sadzę, i kwitnie wszystko. Szklarnia 14 metrów długa, 4,5 wysoka, 7,5 szeroka. Wiesz, jakie pomidory, jakie zioła, jakie ogóreczki. Praca w nim to czysta przyjemność dla mnie. Marzenie.

– Dziękuję Ci bardzo za rozmowę. Do zobaczenia przy okazji kolejnego koncertu.

Współpraca: Julia Liecau i Kacper Chojnowski — Radio Sfera

Zdjęcia Tomasz Dorawa

Mariusz Wołos, Katarzyna Osowska-Wołos

Seminarium im. Profesora Jerzego Wojciecha Borejszy

To było znaczące wydarzenie nie tylko dla toruńskich historyków – inauguracyjne spotkanie Seminarium im. Profesora Jerzego Wojciecha Borejszy (1935–2019) – wybitnego historyka, badacza dziejów XIX i XX wieku, w latach 1991–1996 dyrektora Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Jego publikacje mają fundamentalne znaczenie dla badań nad dziejami emigracji polskiej po powstaniu styczniowym, światopoglądem Benita Mussoliniego i Adolfa Hitlera, a w szerszym ujęciu nad historią systemów totalitarnych i autorytarnych w minionym stuleciu.

Spotkanie, które odbyło się 19 października 2023 r. w Sali Rady Wydziału im. Karola Górskiego w Collegium Humanisticum UMK, zagał dziekan Wydziału Nauk Historycznych prof. Stanisław Roszak, który podkreślił, że celem Seminarium będzie prowadzenie działalności naukowej związanej z dorobkiem prof. Borejszy, zwłaszcza w zakresie dziejów systemów totalitarnych i autorytarnych. Dodał również, że Wydział posiada odpowiednie zaplecze

ze wskazaniem na kadrę naukową oraz zasób biblioteczny, które będą służyć osobom chcącym pracować w ramach Seminarium.

Dyrektor Archiwum UMK dr hab. Anna Supruniuk przedstawiła zebranym spuściznę przekazaną przez rodzinę i współpracowników prof. Borejszy do kierowanej przez nią placówki. Dodała, że kolejna partia materiałów dotarła do Archiwum w dniu inauguracji Seminarium i zostanie włączona jako integralna część do dokumentów otrzymanych już wcześniej. Przekazanie prywatnego archiwum było decyzją samego prof. Borejszy. Prelegentka krótko przedstawiła zasób, podkreślając jego znaczenie dla badań nad dziejami XIX i XX wieku. Jako szczególnie cenne, niekiedy wręcz unikatowe materiały wskazała korespondencję prowadzoną przez prof. Borejszę z szeregiem wybitnych postaci życia intelektualnego oraz kopie i odpisy dokumentów przywiezione przez niego z różnych krajów. Wśród tych ostatnich są m.in. źródła dotyczące Kominternu, polskich komunistów represjonowanych w Związku Sowieckim i emigracji polskiej w XIX wieku przechowywane do



Przy mównicy prof. Mariusz Wołos

Fot. Katarzyna Osowska-Wołos

tej pory w Rosji, które z przyczyn politycznych pozostają poza naukowym obiegiem.

Jako następny głos zabrał prof. Mariusz Wołos (Kraków–Warszawa), długoletni współpracownik patrona Seminarium. Prelegent przypomniał zebranym, że prof. Borejsza w latach 2004–2012 był pracownikiem UMK, a przez kolejne dwa lata kontynuował pracę seminaryjną, promując w Toruniu magistrantów i doktorantów. To właśnie on wprowadził do historiografii takie pojęcia jak „piękny wiek XIX” czy „antyslawizm” („antysłowiańskość”). Odnosząc się do dorobku naukowego patrona Seminarium, zwrócił uwagę na te obszary badań, które nie tylko żywo interesowały prof. Borejszę, ale także nie zostały przez niego do końca eksplorowane, na co sam wielokrotnie zwracał uwagę. Prof. Wołos wymienił m.in. wojnę krymską (1853–1856), dzieje komunizmu, zwłaszcza zaś bolszewizmu i stalinizmu, oraz nieudane próby zbudowania międzynarodówki faszystowskiej, co z kolei ściśle wiązało się ze studiami nad sojusznikami Benita Mussoliniego i Adolfa Hitlera w wielu krajach, bynajmniej nie tylko europejskich.

W dyskusji prowadzonej przez dr. hab. Krzysztofa Kanię, prof. UMK, głos zabrali Katarzyna Dunin-Borejsza, prof. Janusz Małtek (Toruń), prof. Tomasz Schramm (Poznań), prof. Bogusław Dybaś (Toruń), dr hab. Grzegorz P. Bąbiak, prof. UW, dr Łukasz Adamski (Warszawa), dr Piotr Głuszkowski (Warszawa). Uczestnicy dyskusji przypomnieli osiągnięcia naukowe, dydaktyczne i organizacyjne prof. Borejszy, ale również jego pasję badań nad historią „długiego” XIX i „krótkiego” XX wieku.

W Bibliotece Collegium Humanisticum zebrani mieli możliwość zapoznania się ze zbiorami dotyczącymi studiów nad totalitaryzmem, które zgodnie z wolą prof. Borejszy również trafiły to Torunia. To około 4,5 tysiąca woluminów wydanych w wielu językach, w tym prace niedostępne lub trudno dostępne w polskich bibliotekach. Księgozbiór, przekazany do Torunia przez bliskich patrona Seminarium, omówili kustosz mgr Monika Ostrowska i dr Mateusz Magalski.

Podczas inauguracyjnego posiedzenia Seminarium ukonstytuowała się jego Rada Naukowa,

w skład której weszli Katarzyna Dunin-Borejsza, prof. Janusz Małtek, prof. Tomasz Schramm, prof. Mariusz Wołos (przewodniczący), dr hab. Krzysztof Kania, prof. UMK (sekretarz naukowy), dr hab. Joanna Nalewajko-Kulikova, prof. IH PAN, dr hab. Grzegorz P. Bąbiak, prof. UW, dr Łukasz Adamski (Centrum im. Juliusza Mieroszewskiego w Warszawie), dr Alicja Bartnicka (UMK), dr Piotr Głuszkowski (UW), dr Marcin Przeglętko (Biuro Badań Historycznych IPN w Warszawie). Ponadto ex officio w skład Rady Naukowej Seminarium weszli dziekan Wydziału Nauk Historycznych i dyrektor Instytutu Historii i Archiwistyki UMK. W trakcie pierwszego spotkania członkowie Rady uzgodnili, że tematyka spotkań seminaryjnych będzie dotyczyć szeroko rozumianych dziejów systemów totalitarnych oraz autorytarnych w XX i XXI wieku z uwzględnieniem ich współczesnego oblicza, ale także korzeni sięgających do XIX stulecia. Posiedzenia będą miały charakter otwarty. Zamysłem organizatorów jest, aby były one adresowane do uczonych, doktorantów, studentów i miłośników historii, prowokując do naukowych dysput oraz dalszych badań nad zagadnieniami, którymi zajmował się prof. Borejsza. Wśród prelegentów znajdą się zarówno doświadczeni, jak i młodzi badacze z Polski oraz zagranicy. Ustalono, że spotkania seminaryjne odbywać się będą w trybie hybrydowym (z możliwością udziału zdalnego) dwa razy w roku, a najbliższe zostało zaplanowane na wiosnę 2024 roku. Jako referenci wystąpią dr Alicja Bartnicka i dr Marcin Przeglętko, prezentując wyniki swoich badań nad dziejami hitlerizmu.

Prof. Mariusz Wołos — kierownik Katedry Historii Najnowszej i Edukacji Historycznej w Instytucie Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie oraz pracownik naukowy Instytutu Historii PAN w Warszawie

Mgr Katarzyna Osowska-Wołos — historyk, absolwentka Wydziału Nauk Historycznych UMK

Danuta Janicka

Wręczenie pierwszej Nagrody im. Profesora Stanisława Salmonowicza

W listopadzie 2023 r. w gmachu Urzędu Marszałkowskiego w Toruniu na początku sesji Sejmiku Województwa Kujawsko-Pomorskiego odbyła się znacząca uroczystość – wręczenie Nagrody Marszałka Województwa im. Profesora Stanisława Salmonowicza.

Przypomnijmy, że to nowe wyróżnienie zostało ustanowione dla upamiętnienia osoby i dorobku naukowego zmarłego w 2022 roku Profesora, długoletniego wykładowcy naszego Uniwersytetu, który był jednocześnie pracownikiem toruńskiego Zakładu Historii Pomorza, należącego do Instytutu Historii PAN¹.

Patrona Nagrody, Profesora Stanisława Salmonowicza, nie trzeba chyba nikomu przypominać. Był bowiem nie tylko wybitnym, ale przede wszystkim wszechstronnym uczonym – znawcą dziejów ustroju, prawa i kultury. Badał przemiany prawa europejskiego i polskiego oraz ewolucję polityczną Polski i państw europejskich. Zajmował się dziejami szkolnictwa, nauki, czasopiśmiennictwa i stosunków religijnych, czyli szeroko pojętym dziedzictwem kulturowym, a ponadto historią II wojny światowej. Pozostawił po sobie ogromny dorobek liczony w setkach opracowań naukowych i popularnonaukowych oraz dziesiątkach książek.

W 2023 r. nagroda im. Profesora Stanisława Salmonowicza trafiła do rąk doktora Marcina Owsińskiego, autora książki pt. *Lagrowi ludzie. Śledztwo i pierwszy proces stutthofski (1945–1946). Opowieść o przemianie* (Wydawnictwo Region: Gdynia 2022). Kapituła, obradująca pod przewodnictwem piszącej te słowa, doceniła nie tylko wysoki poziom merytoryczny tej publikacji, liczącej blisko 700 stron, ale i oryginalność tematu, nowatorstwo podjętych badań oraz ich znaczenie dla historiografii Pomorza Nadwiślańskiego.



Otwarcie wystawy poświęconej prof. Salmonowiczowi. Fot. Mikołaj Kuras dla UMWKP, (źródło: <https://kujawsko-pomorskie.pl/aktualnosci/w-holdzie-prof-salmonowiczowi/>)

Przyjrzyjmy się nieco bliżej walorom nagrodzonego opracowania, a następnie zastanówmy się, czy i co łączy twórczość obu naukowców – Patrona nagrody oraz jej laureata.

Doktor Owsiński zgłosił do konkursu książkę przedstawiającą biografie szesnastu funkcjonariuszy obozu koncentracyjnego w Stutthofie oraz ich proces karny. Ludzie ci uczestniczyli czynnie w wyniszczaniu i zagładzie więźniów obozowych, pełniąc funkcje dozorców (kapo), blokowych i nadzorców; jest wśród nich jeden SS-man. Przedstawieni funkcjonariusze stanęli w 1946 r. przed specjalnym sądem karnym w Gdańsku. Rozprawa zakończyła się surowym wyrokiem: jedenastu oskarżonych zbrodniarzy skazano na śmierć, w tym sześciu mężczyzn i pięć kobiet, dwie osoby otrzymały kary więzienia. Specjalny sąd gdański był w tym czasie nazywany „polską Norymbergą”, w nawiązaniu do działającego ówczesnie Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, który osądził głównych zbrodniarzy III Rzeszy.

¹ Por. D. Janicka, *Profesor Stanisław Salmonowicz patronem nagrody*, „Głos Uczelni” nr 1-2/2023, s. 78–79.

Autor nagrodzonej książki szczegółowo opisał śledztwo w tej głośnej sprawie i postępowanie sądowe, a ponadto głośną na cały kraj zbiorową egzekucję, wykonaną publicznie w Gdańsku w obecności kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Jednocześnie podjął próbę odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób zwykli ludzie, żyjący do 1939 r. w czasach pokoju, stali się oprawcami w niemieckim obozie zagłady.

Należałoby jeszcze wyjaśnić, że dr Marcin Owsieński zajmuje się tematyką wojenną ze względu na swoje wykształcenie oraz miejsce i charakter pracy zawodowej. Ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, poświęcając pracę magisterską, napisaną pod kierunkiem prof. Jana Szilinga, nazistowskiemu obozowi koncentracyjnemu Stutthof. Następnie podjął pracę w Muzeum Stutthof w Sztutowie, prowadząc badania indywidualne i zespołowe, kontynuowane do chwili obecnej. W ramach doktoratu, opracowanego pod opieką prof. Mirosława Golona, przedstawił dzieje Sztutowa jako gminy oraz miejsca martyrologii i upamiętnienia dziesiątków tysięcy ofiar nazistowskich zbrodniarzy. Obecnie pełni funkcję kierownika Działu Naukowego Muzeum Stutthof i nadal bada historię okupacji na Pomorzu, a zwłaszcza eksterminację Polaków i więźniów innych narodowości w obozie koncentracyjnym Stutthof i jego podobozach. Swoje publikacje opiera na szerokiej podstawie źródłowej: archiwaliach, pamiętnikach, relacjach naocznych świadków, zdjęciach. Naukowiec zgłębia tragiczne i mroczne wydarzenia, a jego artykuły i książki, w tym zwłaszcza nagrodzona publikacja, wypełniają istotne luki badawcze w zakresie historii zbrodni wojennych.

Warto też krótko przypomnieć, w jakich okolicznościach prof. Salmonowicz zajął się badaniami nad historią II wojny światowej. Zadecydowały o tym głównie doświadczenia osobiste – jego rodzina była silnie zaangażowana w działalność konspiracyjną. Pierwszorzędną rolę odegrał tu ppłk. Ludwik Muzyczka, członek Komendy Głównej

Armii Krajowej, brat matki Stanisława Salmonowicza. To on wprowadził siostrzeńca, już jako młodego naukowca, w kręgi wyższych oficerów AK, a ci wtajemniczyli go w sekrety życia konspiracyjnego pod okupacją hitlerowską. Dzięki zdobytej wiedzy i dokumentom prof. Salmonowicz rozwinął badania nad wojskowym ruchem oporu w okupowanej Polsce, powstaniem warszawskim oraz podziemną działalnością Polaków – cywilów, kierowaną przez rząd polski w Londynie, czyli organizacją Polskiego Państwa Podziemnego. Profesor zbadał wiele zagadnień wojskowych, społecznych i politycznych okupowanej Polski, w tym kwestię położenia prawnego Polaków pod okupacją hitlerowską, które było nieporównywalnie gorsze niż sytuacja prawna ludności w innych państwach europejskich poddanych okupacji. Warto jeszcze dodać, że Patron nagrody współtworzył, razem z kapitan Elżbietą Zawacką, cichociemną i emisariuszką, członkinią Komendy Głównej AK, unikalną instytucję – Archiwum Pomorskie Armii Krajowej, czyli dzisiejszą Fundację Generał Elżbiety Zawackiej.

Podsumowując, należy podkreślić, że prof. Salmonowicz skupiał się na badaniach polskiego ruchu oporu w latach 1939–1945, podczas gdy dr Owsieński poświęca cały swój wysiłek badaniu martyrologii naszego narodu w czasie wojny. Nikt jednak nie zaprzeczy, że walka i martyrologia to dwie najważniejsze karty najnowszej historii Polski oraz istotny element naszej tożsamości narodowej. Wobec przedstawionych zasług prof. Salmonowicza i dra Owsieńskiego dla badań nad historią okupacji hitlerowskiej, Laureata pierwszej edycji nagrody możemy wprost nazwać kontynuatorem dzieła Patrona nagrody.

Prof. dr hab. Danuta Janicka — Katedra Historii Doktryn Polityczno-Prawnych i Prawa Niemieckiego Wydziału Prawa i Administracji UMK

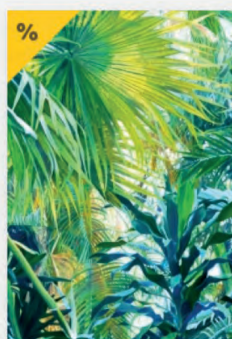


Jeśli ktoś w toruńskim sporcie zasłużył na miano postaci kultowej, to właśnie on. Marian Rose to nie tylko zdobywca Drużynowego Mistrzostwa Świata i żużlowiec, który przez lata był w ścisłej krajowej czołówce

DANIEL LUDWIŃSKI

Rose. Legenda żużla

PROMOCJA CENOWA



SERIA LITERACKA POZA

JERZY ROCHOWIAK

Dobra wiadomość



ETNOLOGIA I KULTUROZNAWSTWO

MAŁGORZATA LISECKA

Głos, ciało, scena.
Afektywność teatru
operowego we francusko-
włoskim dyskursie
słownikowym 1768–1826



HISTORIA NAJNOWSZA

DANIEL LUDWIŃSKI

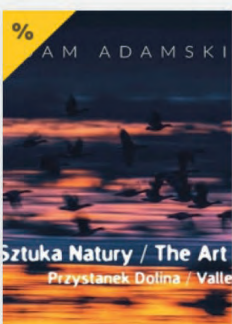
Rose. Legenda żużla



EKONOMIA I ZARZĄDZANIE

IWONA WASIELEWSKA-
MARSZAŁKOWSKA

Innowacyjne formy obsługi
logistycznej współczesnych
łańcuchów dostaw



BIOLOGIA

Sztuka Natury / The Art of
Nature. Przystanek Dolina /
Valley Junction



HISTORIA ŚREDNIOWIECZNA

UDO ARNOLD

Zakon niemiecki. Podstawy,
regiony, osoby



FILOZOFIA

TOMASZ KUPŚ, JOANNA
USAKIEWICZ, DALIUS VILIŪNAS, -
OPRAC.

Johann Heinrich Abicht –
filozof wileński. Działalność
naukowa i dydaktyczna
(1804–1816). Badania i
źródła



HISTORIA SZTUKI

MACIEJ PRARAT

Młyny wodne, wiatraki i
kieraty w XIX i I. połowie XX
w. na terenie Pomorza (w
granicach dawnych Prus
Zachodnich). Technika i
architektura

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**

 **KOMPAS**
AGENCJA TURYSTYCZNA



kliknij do nas:
www.bilety-lotnicze.com.pl



Accredited
Agent

